BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXXIII.



SOŁDAT

CZYLI

SZEŚĆ LAT W ORENBURGU I URALSKU.

NOWE PAMIĘTNIKI

J. GORDONA.

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I DOPEŁNIONE.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1865.

BRACIOM

dotkniętym proskrypcyą caratu

przypisuje

AUTOR.

DO AUTORA.

(Wyjątek z Dziennika Poznańskiego.)

I tak, chodziłeś po trzech lądach świata,
Z towarzyszami: Męztwem i Tęsknotą!
Wspomnienia Twoje, jak więzienna krata,
  Z węzłów żelaznych się plotą.

Bywają soki, których wrząca władza
Swe kryształowe zamknięcie roztrąca;
Podobnie, prawdy moc rozdzierająca
  Twą książkę bólem rozsadza.

To nie jest zbladła z lat Nerońskich karta,
To nie fantazyi dzikość rozbujała;
To strzała, wczoraj z serc naszych wydarta,
  To łza, co dzisiaj się lała!

I jakże wątpić, że wkrótce się schyli,
Szala, na której cierń ważą anieli,
Patrząc na takich, co jak Ty cierpieli,
  I co jak Ty nie zwątpili?!...

Bogobojna.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I.

PODRÓŻ Z ORENBURGA DO URALSKA.
NOCLEG W KOSZARACH NA ZIEMI UCISKU.

I.

Kraj tam cały był grobowcem;
Słońce gasło . . : chmury za niem
Szły, jak smutki za wędrowcem.

Rok 1849. W przeciągu dni szesnastu przeleciałem w kibitce przeszło 3000 wiorst, kosztem cesarza Wszech Rosyi — przestrzeń, dzielącą cytadelę warszawską od Orenburga.

Lecz nie dosyć było tej podróży z musu; zachciało się gubernatorowi orenburgskiemu, Obruczewowi, naznaczyć mię do 1go liniowego batalionu swego korpusu. Upadający na siłach, pędziłem więc jeszcze czterysta wiorst dalej: do miasta Uralska, stolicy tamecznych kozaków, gdzie pierwszy batalion stał główną kwaterą.

Kibitka toczyła się szybko po płaszczyźnie stepowej, kozak woźnica nucił tęskną piosenkę, dzwonki, uczepione do hołobli wtórowały; a przydany mi w Orenburgu anioł-stróż, poczciwy weteran, mazur z urodzenia, biadał, przypominając sobie lepsze czasy, wioskę, w której się wychował, czeladkę, której pomnił imiona, i skwapliwie dopytywał, co się święci w Polsce?

— Mój bracie — rzekłem — tęsknota zatruwa ostatnie dni życia twojego; — służyłeś długo, raniono cię wiele razy, a za całą nagrodę naszyto na rękawie tasiemek, szewronów; toć byłby już czas proprosić o odstawkę i powrócić do chałupy!...

— Oj! zda wam się, że to tak łatwo zrobić — odrzekł staruszek, potrząsając głową. — I nas wojenno-plennych z 31go roku uważają jako zesłanych za politykę. Gdy nas przypędzono, było tu naszej wiary dużo; Moskale się bali, bo nie umieli tak karabinem robić jak my — to się od nas uczyli i byli

cicho. Choć który z braci co zawinił, podchmielił sobie na frasunek, nawymyślał, dał kułaka feldfeblowi, choć go Moskale nazywali buntowszczykiem, tośmy go osądzili po swojemu, a nie dali się cudzym wścibiać; lecz po trosze jedni bracia wymarli, trudzy wyginęli, innych rozesłano po różnych fortecach, gdy zaś liczba się ich zmniejszyła, dopiero Moskale zaczęli nam czytać formularne spiski (stan służby) i pokazało się, że prawie wszyscy byliśmy sztrofowani za grubość (za hardość); a kto w Moskwie osztrofowany, niech nie myśli o odstawce.

Poczciwy Dziuba wyrażał się zepsutym, zmoskwiconym językiem, z uczuciem starego wiarusa.

— I dużo też naszych powróciło do domu z Orenburga? — zapytałem.

— Bardzo mało paniczu. Ja możebym teraz i mógł powrócić, ale jakąbym tam miał minę pomiędzy swoimi? Starsi krewni już pewnie wymarli, młodsiby mię nie poznali, gadać się po polsku zapomniało, od radła odwykło, to by chyba żebrać u sąsiadów na starość trzeba, od czego niech Matka Boska uchroni człeka!

Słowa smutku, dzwonki, przeciągłe tony dumy kozackiej, przyszłość, uczucie trwogi, senność, pochodząca z utrudzenia, towarzyszyły mi w tej całej podróży — nikt mi jej zapewne nie pozazdrości.

Jechałem dwa dni i dwie nocy ponad brzegiem rzeki Uralu, stanowiącej granicę europejsko-azyatycką, która na przemiany ukazywała się i w oddaleniu nikła. Tam natura snem ujęta. Nic przy drodze nie postrzegłem, oprócz stanic kozaczych, złożonych z drewnianych domów i lepianek, gdzie przesiadałem z kibitki do kibitki, oprócz równin bez końca, zarosłych chwastem, i piasczystych ogrodów, zasadzonych arbuzami, melonami, ogórkami i dyniami; — są to jedyne owoce w tamtych stronach, gdzie drzewa rzadko rosną. Gdzie niegdzie dawały się spostrzegać pikiety i słupy z zawieszonemi baryłkami smoły, które zapalone służą na linii granicznej za telegrafy, na wypadek zagrażającego niebezpieczeństwa ze strony Kirgizów, koczujących z przeciwnej strony Uralu.

Zaledwie co kilka mil można tam ujrzeć twarz człowieczą; kiedy niekiedy można spotkać kozaka, kłusującego na dzikim

rumaku, po ścieżce wiodącej z jednej stanicy do drugiej. A gdy nakoniec, znudzony jednostajnością podróży w trzęsącej bibitce zbliżasz się do nędznej chaty, zwanej domem pocztowym, nic tam nie rozjaśni twego czoła, nie zajmie uwagi. Spostrzeżesz kilka rozrzuconych wozów przed chatą, i samotnego koguta, zdającego się oczekiwać na twe przybycie.

Dymy wszakże, ulatujące z kominów gdzieniegdzie, przeświadczają, że stanica nie jest zupełnie cmentarzem, i że tylko rzadcy jęj mieszkańcy zamknęli się jak ślimaki w skorupach. Na kilkakrotny okrzyk woźnicy ukaże się wreszcie niewiasta w jaskrawym ubiorze szczególnego kroju, za nią kilkoro dzieci, z których najstarsze ujrzawszy wędrowców, bieży na pustynię i w przestrzeni ginie; za pół godziny dopiero powraca ze swym dziadkiem. Dziadek prowadzi za sobą szkapy stepowe, zaprzęga je w milczeniu, siada do kibitki i wiezie cię dalej, z taką szybkością, jak gdyby nie miał nadziei powrotu. Końce wąsów sterczą mu z po za uszów, a nie obejrzy się ani razu.

Po długiej w ten sposób podróży, ukazały się kopuły, kąpiące się w obłokach, i miasto, cel mojej podróży, coraz wyraźniejszem się stawało. Nie jest otoczone przedmieściami i wioskami jak nasze miasta, lecz stoi jak samotny pień na pustyni. Jednem rzutem oka objąć go można. Patrząc na nie z oddalenia, zdaje się być dosyć wielkie, choć mieści tylko kilkanaście tysięcy mieszkańców.

W ogóle grody w posiadłościach moskiewskich, które nie zostały zdobyte na obcych, ale były zakładane przez samychże Moskali, łudzą pozornym ogromem; bowiem są w wielkich rozmiarach, z szerokiemi ulicami, licznemi placami. Brakuje im tylko dwóch rzeczy: osób do zaludnienia i kapitałów do porządnego zabudowania. Zdają się być założone dla jakichś następnych, ludnych, gdyby chińskich pokoleń. Zagadka przyszłości!..

Pytałem pewnego chorążego, co on też myśli o planach wielkich miast na pustyni?

— Car dla tego każe je budować — rzecze z uśmiechem — aby miał gdzie pomieścić Polskę, jak się zbuntuje.

— Kto, jak się zbuntuje: Polska czy car?

— Rozumie się, że Polska.

— Doskonale! lecz przypuściwszy, że Moskwa zbuntuje się przeciw carowi, gdzie ją wówczas pomieści?

Wierny poddany zdawał się nierozumieć ostatniego pytania. Kibitka, zbliżywszy się do Uralska, skręciła z drogi i stanęła przed wrotami parkanu, po nad którym wznosiły się dachy.

— Kto jedzie? — ozwał się żołnierz, stojący na warcie.

— Nieszczęśliwy! — odrzekł woźnica.

Na to znane hasło, obie połowy wrót obróciły się na hakach, i wjechałem na wielki, czworoboczny dziedziniec, otoczony drewnianemi, bezpiętrowemi domami, zbudowanemi z kloców ociosanych; — konie zatrzymały się pod jednym z tych domów; przybyliśmy do koszar.

Przewodnik Dziuba przywołał deżurnego podoficera, polecił mię jego względności do dalszych rozkazów władz miejscowych, a sam udał się do kancelaryi batalionnej, aby wręczyć papiery. Koszary były puste, bo wojsko w części wystąpiło na musztrę, w części zajmowało warty. Kilka przekupek ciekawie mi się przyglądały, zapraszając na świeże kołacze i sliwki (śmietankę). Wstąpiłem do najbliższej izby; deżurny szepnął coś do stojącego w niej sołdata i wyszedł — domyśliłem się, że zostałem pod nadzorem.

Trzeba się pożegnać z nadzieją!...

Znużony długą bezsennością i uciążliwą podróżą, ległem na drewnianej pryczy, pewien rodzaj gorączki mię opanował i w tej zasnąłem. Dziwne widziadła niepokoiły mię we śnie: słyszałem brzęk łańcuchów i wycia szatańskie. Widać, że sen ten pochodził z wrażeń rzeczywistości, bo gdy się przebudziłem, ujrzałem obraz, godzien zbogacenia Dantoskiego piekła:

Izba była napełniona żołnierstwem.

Jedni, rozebrani do koszuli, oblani potem trudu służbowego, czyścili karabiny z piskiem nie do opisania.

Drudzy rozwalając się, palili fajki zgniłego tytuniu.

Inni zawieszali mi nad głową mundury i rzemienie, lub obierali się z egipskich baranków i smarowali dziegciem.

Inni naprawiali obuwie, stukając młotkami nielitościwie.

Byli i tacy, którzy wśród pospolitego charmidru raczyli się blaszankami wódki, wyskakiwali prisiudy, jak szaleni szpitalu, szczęsnymi się zowiąc.

Kilkanaście kobiet uralskich, strojnych w sarafany, czyniły honory plugawej bachanalii.

W pośrodku przechadzał się kapral, poskramiający krzykiem: smirno! smirno! hałas ogólny; a u nóg moich siedzieli w milczeniu trzej młodzi żołnierze, na których z razu nie zwróciłem był uwagi; zdawali się szanować me chwilowe wrażenia. Byli to moi przyszli towarzysze broni i niedoli razem: Sonców, Leszczyński i Zygmunt Sierakowski (Dołęga). Po krótkiem a tkliwem powitaniu musieli rozstać się ze mną, gdyż kapral, oczekujący na przybycie deżurnego kapitana, który był zarazem i naczelnikiem kompanii, gdzie znajdowałem się, wydalił ich do innej izby, właściwej ich kwatery, mówiąc, iż kapitan uważałby im za złe zbliżenie się do mnie zaraz na wstępie, a jego kazałby oćwiczyć. Tak więc znowu zostałem sam wśród sołdackiej ciżby.

Wyszedłem do sieni, aby się otrząść z podróżnego pyłu, wydobyłem z woreczka mydło i umywałem się pochylony nad cebrzykiem; lecz gdy powtórnie po nie sięgnąłem z zamrużonemi oczyma, mydło już z miejsca znikło, ktoś go sobie kunsztownie pożyczył.

Ale otóż zawołano: jedzie!

Na ten odgłos w koszarach ciszej się zrobiło. Wszystkie rozczochrane bachantki pierzchnęły na strony, gdyby myszy na zjawienie się kota, kryjąc się pod prycze, za piec, pod szynele sołdackie; znikły także flaszki i blaszanki, ucichły piosenki; tarcie tylko cegły o mosiądze i żelastwo wydawało ciągłe jęki, i młotki szewckie pukały.

Kapitan Menszów napuszony, ukazał się w progu; kapral przyprowadził go do mnie.

Skłoniłem się, ale obrażony tą poufałością, zakazał mi to czynić na drugi raz, polecił patrzeć sobie w oczy wesoło, przeprowadzać go wzrokiem gdy iść będzie; a zniżając mą brodę do kołnierza żebym nie podnosił głowy, i prostując me ręce równo ze szwami pantalonów (ruki po szwam), oznajmić raczył, że to jest właśnie najprzyzwoitsza i ustawą szkoły rekruckiej przepisana stójka, którą sołdat zachowywać winien przy spotkaniu każdego starszego, nietylko oficera, jego błagorodja, ale i galonowanego pisarza, feldfebla, lub podoficera. Oświadczył

przytem, że każdy niżny czyn, to jest człowiek najniższej rangi czyli sołdat, uważany jest urzędowo jako niedorosl (niedorostek), a chociażby miał lat czterdzieści, pozwalać sobie nie powinien żadnej fantazyi, ukłonów, a wykonywać ślepo wolę naczelnika.

Słuchałem Menszowa, starającego się przybrać podczas perory minę wielkiego człowieka. Język jego był tak dla mnie nowy! każde słowo padało mi ukropem na serce, starałem się ukryć cierpkie wrażenie, lecz musiał je postrzedz Menszów, gdyż wzrok mu się zaiskrzył i rzekł na odchodne:

— Kol skoro naczalnik szczekotliw i strog, nużno jemu w połnie powinowat'sia. Co się po polsku tłumaczy: Gdy naczelnik łechczywy i srogi, potrzeba mu zupełnie być posłusznym.

Po oddaleniu się onego szorstkiego kaznodziei, wyszedłem na dziedziniec, bo duszno mi w izbie było; ztamtąd postępowałem zwolna i bez celu po na zewnątrz okręgu koszarowego. Silne postanowienie znoszenia filozoficznie zawistnego losu, by nie upaść na duchu, świeże powietrze, przechadzka w krainie nieznanej, widok poważny, uroczysty, ogromnej natury stepowej, przyniosły mi nieco ulgi. Trwoga zwykle ustępuje z serca, gdy jesteśmy otoczeni żywiołami przyrody i umiemy korzystać z błogich jej darów. Ale jakież to dwie sprzeczności! Z jednej strony bolesny dramat życia człowieczego, te koszary zatruwające umysł i ciało, ten naczalnik szczekotliw i strog, obraz cierpkiej przyszłości; — z drugiej, boska poezya przyrody i pokój w niej rozlany. Jakaż to zmiana w przeciągu kilku minut, gdyby senne złudzenie!

Wieczór pogodny i cisza dokoła. Księżyc tak wielki i świetny, o jakim nie mają wyobrażenia mieszkańcy Zachodu, oświecający od chwili do chwili część nagiej pustyni. Przemykająca się czajka po srebrzystych smugach Uralu i smętny brzęk gitary, ginący z biegiem wody, urozmaicały krajobraz.

To Azya! Migocące w oddaleniu ogniska, a na ich tle ruchome sylwetki ludzkich postaci i wielbłądów, przedstawiały widok biblijny, tak różny od tego, do którego oko moje nawykło niegdyś na wielkim, cywilizowanym świecie. Przeniesionemu nagle bez pożegnania się ze swoimi, z ziemi rodzinnej, z innego

świata uczuć i wyobrażeń, w kirgiz-kajsackie stepy, domowa strzecha przyszła na pamięć — cały zastopiłem się w rozwadze. Dźwięki przeszłości, drogie wspomnienia, wolność, drgały w mem łonie; — a smutna rzeczywistość stała o kilka kroków.

Zauważyłem cień człowieczy, posuwający się za mną; później drugi podobnyż zbliżył się ku niemu i obadwa zdążały ku mnie; rozpoznałem w nich dwóch sołdatów. Pierwszy był wysłany, aby mię miał na baczności; drugi przybył z oznajmieniem od feldfebla, że mam się udać na spoczynek i nigdy nie wychodzić bez wyraźnego na to pozwolenia, mianowicie po przebiciu czapstrzyku.

Chcąc niechcąc, trzeba było powrócić do koszar.

W pośrodku izby żołnierstwo rozłożone rzędami jak śledzie, jeden przy drugim, na wyniesieniu z desek, chrapało ujęte snem po całodziennem wartowaniu w mieście. Szczególniejszy rodzaj sypialni, rusztowania, czy pryczy (nie wiem jak go nazwać, po moskiewsku zowie się nary) zajmował niemal całą salę. Odstępy przy ścianach były tylko próżne, którędy można było przechodzić naokoło.

Na wstępie zaduch uderzył tak silnie me powonienie, że mimowolnie cofnąłem się nazad. Łojówka, uczepiona przy ścianie, zaledwie rzucała blade promienie światła w zgęszczonem powietrzu. Zdaje się, że jeden tylko heroizm niewoli może zmusić człowieka do podobnego legowiska.

Patrząc na ten lud poddanych carskich, na owego lwa, drzemiącego o głodzie i nędzy, nastręcza się myśl, że prędzej lub później przyjdzie chwila, gdzie przywiedziony do ostateczności a poznawszy swą siłę, zdruzgocze twarde wędzidła i we krwi ciemiężców utopi swe jarzmo.

Utykałem czas jakiś, szukając gdzieby skłonić głowę.

Sierakowski przyniósł mi kawałek wojłoka na posłanie, i znalazł kącik na wspólnych narach pomiędzy żołnierstwem. Nie mogłem sobie wyobrazić, dla czego ów lud, nagromadzony jak mrówisko, woli się dusić w zepsutej atmosferze, niżeli otworzyć okno, aby korzystać ze świeżej. Zygmunt objaśnił mię, że nędza biedaków jest przyczyną tego zwyczaju, który zamienił się w nałóg; że noce w stepie będąc najczęściej bardzo chłodne po dziennych upałach, zmuszeni by byli odziewać się płaszczami,

które powinny wystarczyć na trzy lata — a zniszczenie ich przedwczesne narażałoby nieboraków na cielesne kary. Dodał, że w porze zimowej takie zagrzewanie się ludzi od własnych wyziewów, jest szczególniej pożądane przez majora, naczelnego wodza batalionu; a to dla oszczędności drzewa, którego dostawa w stepy kosztuje drogo i stanowi jeden z głównych jego dochodów prywatnych, zwanych ekonomią gospodarczą. Wreszcie, rzecze, jest w zasadzie władz wojskowych moskiewskich, okradać sołdata pod pozorem hartowania go.

Wyznaję, że bynajmniej nie miałem ochoty do podobnego hartu, z tem wszystkiem, nie mając się gdzie podziać, rad nierad położyłem się na narach!

Nocleg ów pamiętny mi będzie na zawsze. Sen kleił me powieki, a zasnąć nie mogłem; gdyż co chwila przewracający lub drapiący się obok sołdat budził mię dotknięciem, gorącym oddechem, sapaniem lub chrapaniem mi nad uszami. Wówczas dopiero zacząłem oceniać przyjemności więzienia stanu w cytadeli, gdzie chociaż ciało więźnia ulega zgniliźnie, spocząć przynajmniej i myśleć może swobodnie, mając oddzielną komórkę.

Powstałem i chodziłem długo na palcach na około śpiących, odziałem się wreszcie ciepło i postanowiłem przenocować w sieni lub na dworze pod gołem niebem; atoli nowa ku temu przeszkoda! Stróż, postawiony wedle zwyczaju u drzwi, zabronił mi wyjścia, mówiąc, że jeśli zamierzałem wydalić się tylko na czas krótki, nie potrzebowałem się ubierać, gdyby na wędrówkę. Wtedy zacząłem tracić cierpliwość. Myśl, że stan mój będąc jakąś ostatecznością, zbliżającą się do kresu, trwać długo nie może, ale przesilić się musi, miotała mną ciągle, choć nie umiałem sobie poradzić, co mi w rzeczy samej przedsięwziąść należy? Wszystkie me funkcye żywotne odbywały się, a nie mogłem powiedzieć, że żyję.

Przyszła przecież idea urządzenia sypialni: wydobyłem prześcieradło i przyczepiwszy je szpilkami pod pryczą, aby kurzawa z wojłoków żołdackich, padająca przez szpary desek z góry, nie zapruszyła mi twarzy, ległem na podłodze pod prześcieradłem, jakby pod baldachinem; poodsuwałem od siebie cuchnące obuwia żołnierskie; para wydobywająca się z ludzi, ulatniając się

wysoko, dochodzić mię nie mogła, oddychałem więc swobodniej; a uszczęśliwiony z wynalazku, zasnąłem, polecając się Bogu.

Níe wiem jak długo spałem, to tylko sobie przypominam, że czarny rój szatanów przemienionych w pchły ogromnej wielkości napadł na me biedne cìało. Skąsany, wyskoczyłem z pod desek, złorzecząc wszystkiemu, co żyje na świecie.

— Wy czto szumitie? — odezwał się przebudzony gefrejter.

Opowiedziałem mu pokrótce moje tarapaty.

— Z tymi panami Polakami — rzecze — to zawsze u nas bieda. Przysyłają ich z końca świata, a nie pozwalają mieszkać na kwaterach, żeby nie buntowali kozaków... No! wy widać dobry mały; jeśli chcecie, za trzy ruble sprzedam wam moje miejsce i siennik.

Gefrejter, jako nauczyciel musztry, miał przywilej sypiać na brzegu pryczy — i do tego na sienniku!

Ofiara jego była dla mnie dobrodziejstwem; pospieszyłem wsunąć mu w rękę bumażkę bankową i rozciągnąłem się na nabytej pościeli z twarzą ku ścianie obróconą.

Nikt przynajmniej nie chuchał mi w oczy, to też zasnąłem głęboko — snem sprawiedliwego....

II.

NAPAŚĆ TAŁAKANÓW. MUSZTRA.

II.

— Odiewatsia na uczenie! — zawołano nazajutrz.

Na kilkakrotny ten okrzyk o rannej porze, ocknąłem się i zacząłem rozpatrywać w nowem mieszkaniu.

Sen pokrzepił siły żywotne, ale stan ducha mojego był w dziwnem rozstrojeniu: złożony byłem z dwóch istot, że tak powiem; jedna z nich czuła całą rzeczywistość położenia, druga ulatała w inne, szczęśliwsze krainy.

Słońce zaglądało przez drobne, zakopcone szyby, żołnierze krzątali się, przygotowując mundury na musztrę, przekupki wołające: .baranie pierożki! gorące pierożki! po kopiejce sztuka! wałęsały się po izbie z donicami, przykrytemi szmatami flaneli podejrzanego koloru; a gefrejter podchodził do tych, co nie wstawali, i biorąc każdego za nogę, zapytał o zdrowie.

Przyszła kolej i na mnie.

Powiedziałem, iż utrudzony podróżą, chciałbym jeszcze spoczywać.

Uczyniono uwagę, że ponieważ nary winny być oczyszczone z pościeli, mogę, jeżeli chcę, przenieść się z siennikiem na poddasze.

Wziąwszy go na plecy, zaniosłem na strych, ale widząc wszędzie gęste pokłady kurzu, pozostawiłem siennik i sam powróciłem do izby. Niezadługo wojsko z niej wystąpiło, pozostawiwszy z pomiędzy siebie kilku kandydatów do lazaretu, po większej części rekrutów. Na ich zżółkłych i zwiędłych obliczach była choroba. Jeden z nich odznaczał się większą od innych pojętnością, lecz po zapadłych jego policzkach, pargaminowej cerze, nadprzyrodzonym blasku w oczach i ciągłem pokaszliwa-

niu, można było wnosić, że choć ciałem na ziemi, należał już do innego świata. Radziłem mu, aby szedł co prędzej do lazaretu, gdzie pomoc lekarska ulżyłaby cierpieniom piersiowym.

— Wy jeszcze nie wiecie — rzecze do mnie z gorżkim lecz spokojnym wyrazem — że tu najpierwszym lekarzem jest dowódzca batalionu, a najużywańszym sposobem są pałki; że ażeby chory docisnął się do prawdziwego doktora w szpitalu, musi wytrzymać pierwej przegląd majora zwierzchnika. Ten wyrokuje wedle swego widzimisię o każdym; i tak: jednego każe osmagać za to, że niby zmyśla chorobę, aby się uwolnić od musztry i od ciężkich robót, innego sam upoliczkuje pięściami; niekiedy dwóch na dziesięciu odeszle na kuracyę.

Nieszczęśliwy nie umiał mi objaśnić przyczyny tych okropnych nadużyć, pociągających za sobą liczną śmiertelność; późniejsze me badania pod tym względem dały mi poznać, że ta przyczyna mieści się w ogólnej wszechprzyczynie, na której polega ruch społeczny w warstwach urzędników w Moskwie, a która zowie się kradzież.

Tam władza wojskowa zostaje w nieporozumieniu z lekarską. Ta ostatnia, pragnąc mieć jak najwięcej słabych, (dla zysków osobistych, mianowicie z leków, które albo nie dochodzą chorego, albo są mu dane sfałszowane z aptek, będących w porozumieniu z medykami), przyjmuje do szpitali każdego przysłanego żołnierza; ale będąc w swej gałęzi niezależną od dowódzców batalionów, nie przypuszcza ich do pokątnych korzyści. — Z drugiej strony, interes dowódzcy jest wprost przeciwny lekarskiemu; bo chcąc on przedewszystkiem napchać swe kieszenie kosztem sołdackim, wysyła jak najmniej słabych; wie z doświadczenia, że im większa będzie ich liczba na papierze, tem więcej poniesie wymówek za niedozór od wyższej zwierzchności, i tem więcej musi się jej opłacać, żeby go nie mijały czyny i chresty; wie nadto, że dochody jego zmniejszają się stosunkowo do liczby indywiduów, przeniesionych na listę szpitalną, czyli jaśniej mówiąc, stosunkowo do ubytku racyi, przeznaczonych budżetem, na których zwykł sobie przywłaszczać wilczą porcyę.

Koszary czyniły na mnie zawsze i wszędzie przykre wrażenie, ilekroć razy przechodząc około nich, usłyszałem zgiełk soł-

dacki; na ten raz, jeden nocleg w nich spędzony przejął mię strachem i obrzydzeniem.

Nagadawszy się z rekrutami, owymi nieszczęśliwymi kandydatami na cmentarz, jeden z nich, który służył we dworze, zanim został obrońcą ojczyzny, widząc, że się zabierałem do nastawienia podróżnego samowarka, wyręczył mię w zatrudnieniu, oświadczając, że zrobi czaj doskonały. Samowar postawiono około pieca, do którego otwartych drzwiczek ulatał gaz węglowy z dymem; woda zakipiała, a wyrażała się radość na twarzach rekrutów z nadziei posilenia się przy mnie herbata.

Lecz niebawem obskoczyli mię inni, a nieproszeni goście.

Jakież było me zadziwienie, gdy spostrzegłem wychodzące nagle z za pieca, z różnych szczelin, i padające z sufitu, gdyby deszcz żyjący, niezliczone mrówia robaków, znęconych ciepłem pary.

Czyste oblężenie!

Odskoczyłem na stronę, pomimo wołań rekrutów, że to są poczciwe robaczki.

Spojrzawszy za piec, gdzie zdawało się mieścić główne ich siedlisko, tudzież na okopcone ściany, obaczyłem — mówię to bez przesady — poruszające się ich roje, gdyby lśniące płachty kasztanowatego koloru; słowem, zjawisko, jakie mi przedstawiły po raz pierwszy t a r a k a n y.

Zbliżają się one podobieństwem do chrabąszczów, znacznie jednak mniejsze, podługowatsze i delikatniejsze. Znajdują się w całej niemal środkowej i wschodniej Moskwie, w niektórych okolicach są prawdziwą plagą dla mieszkańców. Wszędzie się wcisnać potrafią, kuferki nawet bywają niemi napełnione. Natręctwu ich nie ma granic; nie szkodzą atoli człowiekowi i rzadko włażą mu na twarz i ręce, jeżeli nie trzyma zapalonej świecy.

Tarakany tak lubią światło i ciepło, pomimo tego nie widziałem ich w strefach gorących świata, jak n. p. w Nowym Orleanie w Ameryce, ani też w Europie południowej. Zdaje się, że Moskwa jest ich wyłącznem gniazdem, pomimo twardej zimy.

Po skończeniu badań zoologicznych, zbliżyłem się do okna, aby zobaczyć, rychło stado innego rodzaju zwierząt, zwierząt dwunożnych, wkroczy do izby.

Tym razem ujrzałem je na dziedzińcu uszykowane w pary, szeregi i równoległe gromady, zdobne szychem, mosiądzem i różnokolorową pstrocizną, sznurujące tam i nazad, to znowu mieszające się w różne linie i figury. Były to ćwiczenia siły zbrojnej najmiłościwszego cesarza; sołdaci uczyli się nabić i zabić, gdy muzykanci, stojący na stronie, przygrywali im wesołego marsza z Frajszyca. Potem grajki ucichli, szeregi stanęły; widać tylko było ustopniowanych żołdaków, krążących tu ówdzie, i słychać pięści b i j ą c y c h druzgocące szczęki b i t y c h męczenników musztry. Słychać było ów znany przycisk rozwścieklonej mowy, właściwy tylko językowi moskiewskiemu; okropny przycisk wywierania osobistości na drugość. To znowu bęben zaczął swą przegrywkę, komenda rozlegała się na dworcu, a sprzęża ludu rozwijała się i skupiała, posuwając się na prawo, na lewo, wtył i naprzód. Gdy budynek lub płot stanął na przeszkodzie, zawracała się raptem — i dalej maszerować!

Poglądałem na te ruchome zagony, uzbrojone w groty, najeżone szpiczastem żelazem, jak na szalonych, biegających bez celu.

I taż to horda, mówiłem sobie, ta uorganizowana plaga ludzkości, utrzymuje w niewoli narody całe, pod pozorem obrony ojczyzny, gwałcąc wszystko, co jest najświętsze?...

I w czemże jest rzeczywista potęga owej czeredy, grożącej światu zaborem, przeistoczeniem cywilizowanej Europy w Kozaczyznę?

— W jedności. —

Stoi chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu; cała zaś maszyna idzie w ogień na jedno skinienie herszta.

Czyż nie dałeś nam, o wielki Boże, wyższej potęgi, silniejszego zastępu nad jedno żelazo i spiże? czy jej nie ma na tym padole smutku, płaczu i mozołu?

O jest! jest! i w niebie, i na ziemi, i w piersiach głęboko.

Spójrzyjcie na tę postać, otoczoną promieniami — wyciągnięte jej ramiona i krew płynie z boku. Niechaj każdy ugnie przed nią kolano, ukorzy swe czoło, a pozna tę potęgę — potęgą jest krzyż!

Potęgą jest naród nasz, ów wielki zakon rycerski walczący wiecznie o chwałę Boga i prawa człowieka!...

III.

TOWARZYSZE WYGNANIA. DIADKA. NIEKTÓRE RADY DLA ODDANYCH W SOŁDATY.

III.

Bębny ucichły, musztra się skończyła, dowódzca kompanii skinął, żołnierstwo rozsypało się, zdążając do koszar z dzikim okrzykiem hurra!

W oka mgnieniu izba zamieniła się w mrowisko sołdackie — wyszedłem na podwórze, żeby ustąpić rozgrzanej ciżbie; brała ochota udać się w stepy, lecz myśl, że prosić trzeba feldfebla, aby mi chodzić dozwolił, była cierpką!

Znowu też same co i wczoraj koszary do koła, też same parkany!

Stało się. Jesteś wepchnięty — rzekłem — do zagrody, której mijać samowolnie nie możesz bez narażenia się na biczowanie. Bicz jest jedyną karą dla sołdata, — pod nim więc dźwigać musisz jarzmo szarej numerowanej siermięgi.

W całem z wygnańcami postępowaniu obrachowane jest ono przez władcę na to, ażeby ich poniżyć, zubożyć, przyzwyczaić do znoszenia bez szemrania wszelkiego rodzaju krzywd, pomiatań i znęcań się nad nimi; a to wszystko ma wyzuć z serca godność ludzką, zabić na duchu, zdeptać uczucie wyssane z piersi macierzyńskiej, i stworzyć wybornego niewolnika. Nie ma więcej gorszących zamiarów nad te, które uwydatniają się w postępowaniu więziennem rządu moskiewskiego. Rzadko on jednak dopina na swej haniebnej drodze zamierzonego celu.

Otóż i gromadka młodzieży, w podobnych do mojej siermięgach, zbliża się ku mnie.

Szlachetne oblicza, oczy myślące, postawa przyzwoita, słowem wszystkie cechy wolnych, wykształconych ludzi! Trzebaby było nie być Polakiem, aby się pytać, kto oni tacy? żeby nie

rozpoznać w nich, na pierwszy rzut oka, synów jednej matki Ojczyzny. Rzuciliśmy się sobie w objęcia, postąpiliśmy w milczeniu kilkanaście kroków, i jako jedna rodzina, pokrewniona związkiem męczeństwa, zasiedliśmy społem na schodach przed jednym z budynków koszarowych.

Ten się pyta o nowiny z kraju, tamten chce wiedzieć, co słychać w całym świecie, kto tam na świeczniku stoi? ów nalega o wiadomości o jego krewnym lub przyjacielu, jak gdyby przybywający świeżo do ich grona, wiedzieć o tem wszystkiem powinien i mógł zaspokoić ich ciekawość w ogóle i każdego po szczególe.

Radość moja była wielka, jakkolwiek względna, że znalazłem na puszczy mały światek z poczciwych serc bratnich. Jedyna pociecha dla wygnańca, gdy może przelewać myśli i uczucia do podobnych sobie istot.

Znośniejszą się stała niewola...

W murach cytadeli warszawskiej podejrzenie zatruwa uciechę, jakiej więzień doznaje na odgłos bratniej a niewidomej dłoni, przemawiającej do niego tajemniczym stukiem; — na wygnaniu, patrzysz w jasne oblicza swych kolegów i widzisz ich serca jak na dłoni.

Polak w wielu rzeczach bywa słabym, lecz w poczuciu godności wolnego człowieka jest twardy, i złamać się nie da żadnem prześladowaniem. Cierniowa korona mąk niezasłużonych ożywia ducha jego. Spokojny wyraz twarzy wygnańców był dowodem, iż mężnie wytrwali próby i nie zbrudzili się niewolniczem błotem.

Oddaleni od towarzystwa, samotni, zamknięci w ich przeszłości, skazani na trawienie dusz własnych, życie ich jest ciągłą myślą, z której wytryskują iskry światła. W życiu tem cichem a strasznych dziejów znajdują najżywotniejszą siłę w sobie samych, i spotężniają ją do nieskończoności. Upadające męstwo jednego podtrzymuje drugi, smutek każdego niknie w przyjacielskiem kółku, niepewność ustępuje przed światłem starszych myślicieli, których poorane twarze promienieją doświadczeniem, wytrwałością i mądrąścią.

Jakże wydatne było owe polskie grono pośród gromady plemienia mongolskiego! Posłannictwo tam Polaka zrozumie jeno

ten, co Chrystusa nosi w sercu, który wierzy, że wielkie cierpienia są wielkimi orędownikami.

Służyć z uwłaczającą pokorą najzaciętszemu wrogowi; nie śmieć uronić łzy żalu, ani wydać okrzyku boleści i oburzenia; spędzać dni bez pożywnego chleba, nocy bez snu, wieczory bez światła, tygodnie bez ożywiającej pracy; widzieć przyszłość bez nadziei; odziewać się w różnokolorowe łachmany na pośmiewisko gamenów; nie módz wejść do pierwszego lepszego handlu dla kupienia najpotrzebniejszej drobnostki, aby się nie spotkać z przerażonemi oczyma kupca, — oto są pokarmy, któremi się wygnańcy nasycać muszą.

W wieku, gdy młodość nadyma ich serca dumą szlachetną, zmuszeni są uczuwać wstyd niesprawiedliwy i czerwienić się dotkliwym rumieńcem nędzy.

Straszne próby, pod któremi upadają słabsi, a z których wychodzą hohaterami mocniejsi!

Mówię b o h a t e r a m i, gdyż drobne na pozór ich walki, wymagają wielkich czynów, wytrwałości niepojętej. Zaprawdę, wielkie są, choć tajemnicze ich tryumfy, których nikt nie widzi, żadna sława nie nagrodzi, żadna trąba nie rozgłosi. Nieszczęście, opuszczenie, kajdany, nędza, są to szranki wydające rycerzy, pokrytych chmurą niewidzialności. Są oni gdyby kwiaty, rzucone na pustynię, które kwitły i woniały samemu Bogu.

Pomimo chęci przepędzenia kilku godzin w gronie mych przyjaciół, musiałem rozstać się z nimi wkrótce po przywitaniu.

Jest w systemie zwierzchności utrzymanie świeżo przybyłego przez czas jakiś w odosobnieniu od swoich. Przechodzić on musi nowicyat, podczas którego starają się wmówić w niego, że winien zapomnieć zupełnie o przeszłości, wcielić się do trybu życia na sposób sołdacki.

Nowoprzybyłemu dają za towarzysza starego żołnierza, d i a d k ą zwanego, który winien go pilnować jak oka w głowie, uczyć musztry, wychodzić z nim w razie potrzeby do miasta na bazar po sprawunki, i zdawać świadectwa o jego wyrażeniach, skłonnościach, jako i całem prowadzeniu się w koszarach i po za obrębem tychże.

Rząd używa wszelkich środków do rozciągnięcia szpiegostwa aż do głębi duszy wygnańca.

Co do mnie, miałem wprawdzie przed sobą całą drabinę czynów, począwszy od feldfebla aż do jenerała, przed którymi czapkować mię zmuszano, a z których każdy mógł mię zgubić na mocy prawa, przywiązanego do kołnierza, ale za to przydany mi diadka nie wiele mi czynił kłopotu. Przedstawiał on prawdziwy typ żołnierza moskiewskiego. Niemoralne prowadzenie się sołdata ograniczało się wedle jego pojęć w trzech występkach kardynalnych, a mianowicie:

a) W nieposłuszeństwie woli przełożonego.
b) W złem chowaniu tego, co się ukradło.
c) W pijaństwie i nocnych hałaburdach.

Ponieważ za te postępki najwięcej ponosił plagi, o nich też i wspominał. Pod okiem takiego mentora możnaby prowadzić spisek na głowę cara bez wzbudzenia w nim podejrzenia. Starałem się pozyskać zaufanie i przychylność jego, jako ważnej odtąd dla mnie osoby. Przybierał marsowatą minę, gdy mię uczył maszerować, — atoli widząc mię strudzonym, spoglądał na stronę dla zapewnienia się, czy który z oficerów na nas nie patrzy, w chęci zostawienia mi chwili odpoczynku.

Spostrzegłszy w mym nauczycielu zaród dobrego serca, postanowiłem oświecać go powoli, lecz usiłowania me w tym względzie nietylko okazały się płonnemi, ale wzbudziły jego nieufność, pochodzącą głównie z różnicy religii i narodowości naszej.

Ten sam jednak człowiek miał wysokie wyobrażenie o mnie: a widząc, że jestem po na zewnątrz występków kardynalnych, i że tem samem nie mógł zaprosić mię z sobą do szynku, by tam przy butelce poczubić się i pobratać, czuł wyższość moję, wyższość swego podwładnego, która go korciła. Stara to prawda, że ten jest najlepszy, kto do nas podobny!

Przez wzgląd na stan mój wypadało zjednać dla siebie nietylko diadkę, ale wszystkich przemieszkujących w jednej ze mną izbie, a to przez zastosowanie się ile możności do nich, — co było wszakże rzeczą nader nieprzyjemną. Z drugiej strony zagrażało mi niebezpieczeństwo, gdybym zechciał był utrzymać samodzielność. Byłoby to prawie toż samo, co wypowiedzieć walkę towarzystwu, aby być dolegliwie przez nie gniecionym. Widziałem okropne tego przykłady na wygnańcach, którzy

prześladowaniem i przedwczesną śmiercią okupili mocne postanowienie jawnego oporu barbarzyńcom.

Chłop moskiewski, wyrwany z pod władzy pomieszczyka, obciągnięty kawałkiem sukna z krasnemi wyłogami i wcielony do gromady carskich wyłącznie niewolników, po kilkoletnim w niej pobycie, zaczyna uważać nowe jarzmo nieco lżejsze od dawnego. Należy on odtąd do osobnej kasty, nieprzyjaźnej ku wszystkiemu, co nie jest do niej podobne.

Przytoczę tu jeden z zasmucających, a licznych tego przykładów, których naocznym byłem świadkiem:

Pewnegu razu żołnierz wyglądający przez okno w koszarach zawołał: że mużyk w trepkach i baba w sarafanie spacerują po dziedzińcu. Drudzy, nuż wytykać i naśmiewać się z poważnej pary wieśniaków! Ci ostatni, z odzieży miarkując, przybyli z dalekich stron; dźwigali na barkach węzełki, przeznaczone zapewne dla ich dziecka, oddanego w sołdaty.

— Wszak — rzekłem do krzykaczy — wyście sami tak niegdyś chodzili; tak chodzą wasi bracia, siostry, sędziwi rodzice, których niejeden z was więcej nie obaczy....

— Wszystko to dobrze — przerwał mi któryś — lecz przyjrzyjcie się mużykowi w trepkach, ha! ha! ha! —

Nauczony doświadzeniem przekonałem się, że chcąc uczynić dla się pobyt w koszarach jako tako znośnym, potrzeba przedewszystkiem zamknąć się w sobie, częstokroć w uśmiechu własnym zaprzeć siebie samego, nie wdawać się nadewszystko w długie rozmowy z żołdactwem, bo te rodzą w niem poufałość bardzo dotkliwą najczęściej; nie obrażać niczyjej miłości własnej, szczególniej arystokracyi sołdackiej: diadków, gefrejterów, podoficerów i feldfeblów.

Tym tylko sposobem można uzyskać nad nimi pewną przewagę moralną.

Jeżeli wszędzie, to tam najwięcej, pieniądz jest bożyszczem, torującym drogę do dobrego bytu, niezależności na kilka cali i spokojności osobistej — lecz potrzeba go umieć użyć. Kupienie butów diadce, w porze gdy ma dostać pałki za zdarcie skarbowych przed termimem; pokrzepienie od czasu do czasu sił jego truneczkiem; poniesienie jejmości feldfeblowej na imieniny paczki herbaty i głowy cukru; podarunek z kilku koszul z kolo-

rowego perkalu kapralowi itd. są środkami uwalniającymi na pewne wygnańca od surowej subordynacyi, pod którą upaśćby musiał.

Galonowana arystokracya, gdy okupuje się jej względy, ochronić go w części potrafi od okrutnych praw a raczej bezpraw. Taki pan feldfebel wynagradzając za zaszczyt wyświadczony jego godnej połowicy, gdy czyni apel oddziału, mającego zajmować warty w różnych częściach miasta, pomija moje nazwisko; wtedy zostaję wolny na 24 godzin, mogę iść, gdzie mi się podoba, nikt się o mnie nie dopytuje, władza myśli, żem na warcie — koszary są puste. Strzedz się tylko winienem dnia tego, bym nie wpadł pod oczy dežurnego oficera nad wartami.

Jeżeli feldfebel nie ma wielkiej powagi, a żołnierstwo sarkać zacznie, że odpoczynek winien być raczej dawany starym zasłużonym sołdatom, znajdzie on i wtedy sposób zrobienia mi pewnej ulgi; zamiast naznaczyć mię na posterunek oddalony wśród stepu, gdzie byłbym wystawiony na mroźne uragany, ogromną odpowiedzialność i baczność, bezsenność i trudy, poszle do lazaretu lub innego gmachu publicznego, gdzie w ocieplonym korytarzu usiąść, myśleć, a nawet postawić w kącie karabin, ledz na podłodze i usnąć mogę w nocy swobodnie, dopóki do mnie nie zastukają ci, co na zmianę przyjdą.

Kapral i gefrejter, zawdzięczając także z swej strony, zdają się nie widzieć, jak wybieram się do znajomych w mieście na długą wieczornicę, i kładę zwiniętego bałwana na miejscu, gdzie spać powinienem, aby oszukać czujność kapitana, gdy mu przyjdzie ochota zjechać niespodzianie do koszar, i rachować jak trzodę boży ludek, chrapiący na narach.

Prawda, że czasem szachrajka się wyda, moim protektorom wygarbują skórę, mnie zaś, sołdata-szlachcica, posadzą na odwach; — jednakże obiedwie strony nie tylko nic na tem nie tracą, ale zyskują. Protektorowie, nawykli od dzieciństwa do bizunów, cieszą, się, że zasłoniwszy mię własną skórą, pozyskali tytułem ofiary większe prawo do mojego worka. Ja zaś uszczęśliwiony jestem, że pozbywszy się na dni kilka musztry, wart, koszar i wszelkich obowiązków służbowych, mogę wybrać się z kilkoma książkami do aresztu i szukać w nich lekarstwa na umysł, przytępiony niewolą.

Zazwyczaj w koszarach czułem się być sam, gdy w kozie miałem zawsze przyjaciół: książki moje.

Upływały dni, tygodnie i miesiące, ciągle należałem do szkoły rekruckiej. Diadka uczył mię codziennie wyciągać nogi i stąpać miarowym krokiem; dowódzca kompanii, kapitan Menszow, wykrzykiwał, że ponieważ umiem czytać, pisać, rachować, i gadać po francuzku, a zawsze źle maszeruję, to jest najoczywistszym dowodem mego uporu w nauce wojskowej i nieposłuszeństwa carowi.

Śmieszna ta loika nie zdołała pohamować ciągle wzrastającego wstrętu do sołdaczyzny.

Patrząc na obcisły, pstrokaty mój mundurek, wykręcając się do taktu muzyki, i widząc, jak to czynili drudzy, mężowie, poważni wiekiem i zasługą, ojcowie licznej rodziny, serce mi się krwawiło, wtedy zwłaszcza, gdy zwracano do którego z nas komendę: Głaza weseleje! (Patrz weselej!)

Wytrzeszczałem więc oczy jak mógłem, maszerowałem gdyby automat chodzący, wybijałem tępa karabinem zgodnie z drugimi, dźwigałem na grzbiecie cielęcy tornister, gdy myśl moja ulatała po na zewnątrz wszystkiego co czyniłem i co się koło mnie działo.

Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy, skoro udało mi się wyrwać w stepy, wpatrywać się w stada dzikich gęsi, odlatujących pod jesień, w zeschłe listki, popychane wiatrem, w karłowate drzewa, sterczące jak szkielety przy rzece, lub też szukać zoztargnienia w krainie tęsknoty pośród koczujących Kirgizów z jednej strony Uralu, i Kozaków zajmujących drugie jego wybrzeże.

Kto są Kirgizi, jakie ich zwyczaje, obyczaje, potęga, rząd, itd. opisałem to już w pierwszym tomie niniejszych pamiętników.*)

Kto są Uralcy, opowiem, lecz przedewszystkiem, dla jaśniejszego ich wystawienia, rzucić tu muszę kilka rysów history-

---

* a) Obrazki Caryzmu, tom VI. Biblioteki pisarzy polskich.

b) Mes Prisons ou l'Exil en Sibérie, mémoires de J. Gordon, Genève 1862.

c) Meine Kerker in Russland, 2 Thle. Leipzig 1863.

d) Zlata Praha (Dziennik illustrowany czeski) 1864.

cznych ogólnej Kozaczyzny, owej potężnej niegdyś Kozaczyzny, która roznosiła postrach na Moskwę i groziła jej zaborem.

Począwszy od Wołgi, poglądałem na miejsca, będące głównym teatrem jej wojen i słuchałem z wielkiem zajęciem okropne o niej podania.

Jedno z nich opiewa, jakoby rzeka Ural wykołysała na swen łonie małe dziecię kozacze, igrające z łukiem i strzałami na szpiczastej czajce popychanej falami. Z dziecięcia powstał olbrzym, pan życia i śmierci, a zwano go Pugaczew. Katarzyna II. zadrżała na to imię; Katarzyna nawet ulękła się kozaka z po nad Jaiku! Rząd moskiewski przechrzcił rzekę Jaik na Ural, aby zatrzeć ślady faktów, które go niepokoją, gdyby widma przeszłości. Jaik przechrzczono, widma jednak nie ustąpiły z ich starej siedziby, ale do dziś dnia snują się tam w pewne dni świąteczne, roznosząc po stepie jęki narzekań i groźby.*)

---

*) Mylnie twierdzą Uralcy, jakoby Pugaczew urodził się w ich dzielnicach. Był on prosty kozak doński, należący do sekty starowierców; ze zsyłki uciekł, przybył nad Jaik, zbuntował tam stojących kozaków i wzniecił wojnę domową w ogromnych rozmiarach. (Przyp. aut.)

IV.

KOZACZYZNA.

IV.

Trudno jest oznaczyć epokę najpierwszej organizacyi kozaków. Wedle prawdopodobieństwa sięga ona czasów najazdów tatarskich. Mała rzeczpospolita Zaporożców na wyspach i wybrzeżach Dniepru, zdaje się być wzorem, wedle którego sformowały się inne części kozaczyzny; okazują to ślady jednakowego narzecza w ich mowie ogólnej. Cokolwiek bądź, podstawą stowarzyszeń kozackich była wojaczka. Nie podpada wątpliwości, że pierwsi żołnierze osiedleni na wyspach dnieprowskich, byli ożywieni uczuciem religijnem. Krwawe ich walki z mahometanami stanowią protestacyą prześladowanych chrześcian.

W połowie XVI. wieku stowarzyszenie rozszerzyło się w Mało-Rusi, należącej do Polski. Stefan Batory nadał mu przywileje, odpowiednie jego zwyczajom republikańskim; — w połowie XVII, Kozaczyzna ukraińska, podniecana przez Chmielnickiego, szlachcica polskiego, postanowiła być niezależną i mianowawszy go hetmanem, postawiła u steru. Chmielnicki, nie widząc się dosyć poteżnym do utrzymania niepodległości, oddał się w lennictwo caratu moskiewskiego, lecz pod warunkami, z których jeden brzmi, że: żaden obcy sędzia nie ma prawa mieszać się do spraw kozackich; — tam, gdzieby było trzech kozaków, a jeden z nich uległby sądowi, dwaj pozostali sądzić go będą.

Duma i zemsta Chmielnickiego za urazy osobiste do jednego z magnatów polskich, jakoteż Jezuici, wrzący chęcią nawracania kozaków, były głównemi powodami, że ci niezależni, a popędliwi jak ich rumaki, zwrócili się ku Moskwie. Chmielnicki, obarczony później wyrzutami sumienia, żałował gorżko krzywdy, wyrządzonej ojczyźnie.

Oto jego słowa, wyrzeczone na śmiertelnem łożu:

«Zawiniłem przed Bogiem i przed wami, oddając Kozaczyznę w opiekę cara Alexego: lepszym byłby sprzymierzeńcem bisurmanin carogrodzki, albo Tatar perekopski, jak Moskwa. Wracajcie do Lachów i trzymajcie się z nimi.»

Żale były niewczesne, Polska tracąc Kozaczyznę, dostarczyła wrogom miecza na siebie samę.

Kozacy nie stanowili nigdy osobnego narodu, jakkolwiek obyczajami i prawami różnili się od innych. Był to związek instytucyi. Niepodległość ich była chwilowa. Wzrośli przez napływ ochotników plemion słowiańskich. Polscy malkontenci, zawiedzionych nadziei panowie, zbiegi różnego rodzaju i pochodzenia, biegli szukać wolności i karyery w wojującej siczy. Kroniki podają nazwiska kończące się na cki i ski wielu ich hetmanów (atamanów).

Zakładali osady i nad brzegami Donu, rzucili się na Wołgę, a nawet wkroczyli do Syberyi. Ztąd potworzyły się różnemi czasy rozmaite wojska kozackie, stosownie do krajów, które pozajmowali, jak: Zaporozkie, Dońskie, Orenburgskie, Jaickie czyli dzisiejsze Uralskie, itd.

Jermak, kozak doński, zbuntowawszy się przeciw Iwanowi Groźnemu za jego okrucieństwa, przybył w kilkaset koni do Syberyi i zdobył ją na władzcach Tatarach. Odważny lecz ograniczonego rozumu Jermak, w nagrodę podbicia tak obszernej, odosobnionej, obfitującej w surowc płody i bogatej w kopalnie części Azyi, którą oddał pod wszechwładztwo Iwana, otrzymał od niego przebaczenie swej niby winy za bunt, czyli właściwiej mówiąc: za obronę swobody kozackiej; lecz nie długo korzystał z hańbiącej łaski. Pochwycony przez Tatarów, do których hana na ucztę zaproszony został, w nurtach Irtyszu grób swój znalazł. Rząd moskiewski, nagradzając w nim i po śmierci swego nawróconego poddanego, wzniósł mu pomnik w Tobolsku. Imię jego jest także zapisane w liczbie sławnych wojowników, którymi się dziś szczyci Moskwa, na pomniku Nowogrodzkim.

Po zgonie Jermaka, Kozaczyzna z nad Donu ciągnęła do Syberyi, pod przewodnictwem władzy carskiej; pleniła tam mieszkańców, znosiła głód i zimno, mordowała się między sobą o zdobycze, wymierała z nędzy, aż dopóki w ciągu lat kilkunastu

nie objęła Syberyi po morze lodowate. Jeden zabłąkany jej oddział, kopiąc się przez śniegi, odkrył Kamczatkę i zawładnął nią.

Otumaniona Kozaczyzna poniosła tyle ofiar — a dla kogo? Dla najzaciętszego nieprzyjaciela jej własnych swobód!

Obecnie potomkowie jej, ci błędni rycerze XIX wieku, uzbrojeni kańczugiem, snują się po pustyniach, obozują już przy ujściu rzeki Amur i rozciągają łańcuch po nad granicą chińską. Sami niewolnicy, zapowiadają drugim utratę narodowości.

Obozy, czyli sicze kozackie, dzieliły się niegdyś, podobnie jak i teraz, na stanice, czyli wioski. Pastwiska i ziemia otaczająca stanicę, były własnością wspólną jej mieszkańców W oznaczonym czasie uprawy roli, dzielono ją na równe części; każdemu jednak było wolno rozszerzyć swoję część w polach ogólnych, leżących odłogiem, jeżeli czuł się na siłach obrócić ją na użytek za pomocą własnego przemysłu. Wszyscy byli żołnierzami obowiązanymi brać za oręż na rozkaz hetmana, wybranego głosowaniem publicznem.

Hetman, czyli naczelny ataman, miał władzę dożywotną. Oprócz niego wybierano atamanów tymczasowych do każdej wyprawy wojennej. Każdemu z nich przydawano głównego pomocnika (esauła), jakoteż setników i dziesiętników, którzy po skończonej wojnie powracali do dawnego stanu prostych kozaków.

Najzupełniejsza równość panowała między nimi.

Podczas pokoju zarząd stanicy (wioski) należał do tak zwanego starszyny; zarząd ten atoli był ograniczony: postanowienia mniej więcej ważne podlegały radzie, w której każdy mieszkaniec pełnoletni mógł wziąść udział. Zgromadzenia polityczne lub administracyjne nazywały się kółkiem. Obeszło się bez praw pisanych, — kółko rządziło się dawnemi tradycyami, zapisanemi w sercu każdego kozaka, i powiększało je w miarę potrzeby. Nie było więc wybiegów prawnych. Każdy po szczególe i wszyscy w ogóle byli żywym kodexem.

Łatwo pojąć, że tak łatwym ustawom poddawali się ludzie, mający wrodzony wstręt do wszelkiego przewodnictwa nad sobą. Kozacy, powstańcy przeciw Moskwie, jak n. p. Stenko Razin, rządzili się temiż prawami.

Kozaczyzna, przyuczona początkowo walczyć za wiarę, polubiła z czasem wojaczkę, dla niej samej, podobnie jak się lubi sztukę dla sztuki, — w końcu łupieztwo stało się głównym celem jej wypraw.

W niedostatku Tatarów, zaczęli napadać na swych sąsiadów: Moskali i Polaków.

Carowie patrzyli z radością na zaludniających się po nad Donem, pomimo gwałtów, jakich ci nowi przybysze się dopuszczali; bo widzieli w nich krzepkie hordy, które ich nic nie kosztowały, a często przelewały krew za nich i zakładały osady tam, gdzie były pustynie.

Długi czas Moskwa umizgała się do kozaków dońskich i szanowała ich przywileje. Wprawdzie byli obowiązani dostarczać carowi w czasie wojny posiłków wojskowych, czynili to wszelakoż z ochotą, gdyż wojna, jak mówiłem, była ich rzemiosłem, a nadto środkiem zbogacenia się. Oprócz tego robili samowolnie wycieczki korsarskie, mianowicie na morza: Czarne i Kaspijskie.

Kto chciał być wolnym, szukał opieki i schronienia w stanicach. Atamanowie poczytywali sobie za zaszczyt i obowiązek dawać u siebie przytułek. Otóż przedmiotem najpierwszych sporów między nimi a Moskwą, było dopominanie się ostatniej o wydanie zbiegów. Nalegała zwykle o to w czasie pokoju; wtedy atamanowie zwlekali zadość uczynienie jej woli. W czasie znowu wojennym, Moskwa, potrzebując ich pomocy, zdawała się zapominać o swych żądaniach. Dosyć, że w jeden lub drugi sposób, było jej niepodobna wydostać zbiega, gdy ten stał się obywatelem stanicy.

Dońcy dzielili się na dwa stronnictwa: demokratyczne i arystokratyczne, choć nie było szlachty pomiędzy nimi. Ci, którzy osiedliwszy się z dawna, przyszli do majątków, poglądali niechętnie na przybyszów i wmawiali w nich poszanowanie traktatów i posłuszeństwo dla cara. Drugie bractwo, przeciwnie, przychylało się do wszystkich śmiałków, przedsiębiorców wypraw, mało dbając, czy nadużyją albo nie przywilejów. Starsi nazywali pogardliwie młodszych hołyszami (goł), — młodsi nosili dumnie ten przydomek; a nienawidząc rząd moskiewski,

jednali sobie przychylność jego poddanych, którzy tłumami przechodzili na ich stronę.

Mużyki nie mieli dosyć odwagi zdruzgotać swe pęta o własnych siłach; ale będąc świadkami niepodległości hulaszczych sąsiadów, rozumiejąc ich język, patrząc, jak tamci rabowali ich bojarów i że im z tem dobrze, drgnęła ich żyłka i byli w pogotowiu przyjąć przy zdarzonej sposobności kozaków za swych wybawicieli. Rzadko niewolnik pomyśli o wolności, ale staje zwykle pod wodzą tego, kto się ogłosi jego obrońcą i ma środki ku temu. Jest też godne uwagi, że wszystkie wielkie powstania w Moskwie miały na czele kozaków, jako to: Dymitra Samozwańca, Stenkę Razina, Pugaczewa.

Stenko Razin jest wydatną postacią jako typ powstańca, jako uosobienie zemsty niewolnika, zemsty długo cierpliwej, w kaganiec zakutej, która choć się odwlecze, to nie uciecze. Imię jego obudza krwawe wspomnienia rzezi, co w końcu XVII. stulecia przejęła zgrozą Moskali.

W następnym rozdziale przytoczę pokrótce straszne dzieje tego dzikiego rycerza, brzmiące dotąd nietylko w historyi, ale w podaniach, legendach, pieśniach i poszeptach, nacechowanych wyobraźnią wschodnią moskiewskiego gminu, charakteryzującą częstokroć lepiej uczucia i namiętności, niżeli spisane dokumenta i urzędowe świadectwa.

Piotr I. ogołocił Zaporożców z przywilei, zawarowanych im traktatami, dając za powód, jakoby zdradę hetmana Mazepy (Polaka z urodzenia) przez zawarcie związku z Karolem XII. Następcy Piotra zwrócili im niektóre swobody przez obawę, aby dowiedzeni do ostateczności, nie zerwali przymierza z Moskwą i nie powrócili do Polski, co po kilkakroć razy uczynić usiłowali.

Katarzyna II. widząc, że niebezpieczeństwo minęło i że będzie mogła wyzuć ich bezkarnie ze wszelkich umów, nie wahała się wprowadzić ostatecznie do wolnej od wieków Ukrainy system moskiewskiej niewoli, a na uroczych jej stepach szeroko zaplenić śmierć i spustoszenie.

Przewrotna ta caryca postanowiła odnieść podwójną korzyść z swojej poliyki podstępnej. W tym celu ponowiła kwestyę religijną, przyczynę dawnych zatargów między Polską a Ukrainą; wysłała do ostatniej tajemnych podżegaczy, z poleceniem pobu-

dzenia włościan i kozaków, służących pod rozkazami panów polskich do wojny za wiarę.

Obiecywano podżegaczom zaszczyty, bogactwa i silną protekcyę; koniec końcem, umyślono wyrżnąć najznakomitszą szlachtę, która najdzielniej opierała się zgubnemu wpływowi Moskwy. Ajenci moskiewscy, mianowicie popi, przewodniczący z krzyżem w ręku do rzezi, używając władzy wiary i trunku, szalbierząc imieniem Boga, imieniem wolności ludu, rozdawali poświęcone noże, uzbrajali braci przeciw braciom, podniecając chciwość i zemstę chłopstwa do szlachty i do żydów.

Gdy potoki krwi rozlanej ziściły zamiary carycy, zachychotała ona śmiechem szatańskim; czereda pochlebców dworaków przyklaskiwała jej radości, a wielu morderców zaczęło się dopominać o przyobiecane im nagrody za głowy ludzkie. Wtedy wyparła się ona zbrodniarzy, będących narzędziem, i, o zgrozo! użyła tytułu rzezi do rozproszenia gwałtownego Zaporożców.

Otoczeni niespodzianie jednej nocy przez korpus jenerała Tekeli, zostali w części wypędzeni nad morze Czarne; pozostałych zaś zamieniono ukazem w zwyczajnych poddanych. Tak zwichnięto ostatecznie niepodległość i równość ludu-poety, którego ulubiona śpiewka zaczyna się słowami:

Kozak pana ne znau z wika, urodyu sia na stepiach!

Rząd późniejszy, dla uświęcenia dzieła Katarzyny, zaprzeczył mieszkańcom Mało-Rusi prawa do własności. Posiadacze ziemi, uznani za takich przez samychże carów, otrzymali nagle rozkaz sprzedawania dóbr swoich, a następnie urzędowe zawiadomienie, że ci, którzy przed termimem oznaczonym (1840) nie udowodnią tytułów do własności przez dokumenta autentyczne, zostaną wydziedziczeni. Że zaś większa część obywateli mogła tylko przedstawić tranzakcye kupna swych majątków, zawierane między sobą prywatnie, stosownie do ich starożytnych zwyczajów, tranzakcye te zostały uznane za nielegalne.

Co do kozaków dońskich, ci zachowali dłużej swoje pierwotne instytucye; lecz za panowania Aleksandra I. armia ich została przeistoczona przemocą w niewolnika wojskowego. Berło cesarskie wprowadziło tam za sobą drabinę czynów,

ordery, galony i wstążki, szlachectwo osobiste i dziedziczne, garnizony, urzędników koronnych i śledczą komisyę. Znikł też wkrótce dobry byt i pomyślność, kwitnąca pod własnym, obieralnym rządem Kozaków. Traktaty i przysięgi zostały zdeptane przez gabinet petersburgski, gdy mu szło o ujarzmienie słabszych od siebie; a honor zamienił się w knut.

Kozaczyzna też niejednokrotnie dała się we znaki Moskalom. W czasie buntu Pugaczewa ucierpieli wiele i jeńcy polscy, to jest ci z niedobitej szlachty konfederatów barskich, którzy po wytrwaniu więzień i katuszy moskiewskich (szczególniej w Kijowie), wydeptawszy tysiącmilową ścieżkę, wiodącą z Polski do Syberyi, zostali wcieleni przez rząd moskiewski, wbrew prawa narodów, na wieczne męczarnie do korpusu dragonów w Omsku. W jednej bitwie tego korpusu z Pugaczewem, 400 ich razem poległo. Czterech, na fałszywy donos, jakoby chcieli się przyłączyć do Pugaczewa, bito i powieszono.

Pugaczew poraził Moskwę, zagarnął dwie gubernie, ogłosił się Piotrem III., czynił pobór rekruta i garnizony z miast do swych gromad wcielał. Tłumy powstańców do niego się cisnęły. Było to pospolite ruszenie, wystąpienie zbrojne przeciw rządowi, do czego pryczynili się głównie Tatarzy, pragnący wybić się na wolność i przywrócić swoje państwo kazańskie. O mało co ruchawka rewolucyjna nie rozlała się po całej Moskwie.

Pugaczew odzierał żywcem ze skóry dygnitarzy moskiewskich, wyciął 12,000 bojarów. Zdaje się, że był to właśnie najfałszywszy krok, który go dowiódł do zguby.

Zwyciężony przez dwa regularne korpusy: moskiewski Bibikowa i orenburgski, uciekł z małą garstką w popłochu, schronił się między Tatarami i zebrał na nowo między nimi 20,000 ludzi.

Ścigał go Suwarów — była to zajadła walka lwa z tygrysem. Pugaczew spalił Kazań, ale warowni, wznoszącej się nad miastem zdobyć nie mógł, gdyż dzielny Puławski, naczelnik konfederacyi, znajdując się tam wówczas jako jeniec moskiewski, że znaczną liczbą towarzyszy, rzucili się do jej obrony i ocalili ją męztwem i walecznością swoją. Tym czynem, oni sami z liczby 10,000 konfederatów, zagnanych do Syberyi i w szeregi oren-

burgskie, wyjednali, czyli raczej wywalczyli dla siebie, mocą ofiary, pozwolenie powrotu do kraju rodzinnego; reszta na wygnaniu zostawiła swe kości; — a działy się te moskiewskie okrucieństwa w obec istniejącego rządu i niezależności rzeczypospolitej polskiej!...

V.

STENKO RAZIN.

V.

Lud moskiewski wierzy, że Stenko Razin nie zginął, że dotąd żyje, że jest zawsze posiadaczem czarnych książek i że ma stosunki z duchami. Wedle niego, Stenko i Pugaczew nie są to dwie różne postacie, ale jedna i taż sama: Stenko zniknął wprawdzie 1671 r. lecz powrócił w sto lat później pod nazwiskiem Pugaczewa, i byłby zabral Moskwę, gdyby go nie zdradzono; Pugaczew nie był schwytany i śmiercią ukarany, ale zniknął na nowo, przechowuje się i czeka sposobnej chwili do zemsty.

Stenko Razin, był to Doniec z rodziny znakomitej. Brata jego starszego wybrano na atamana wyprawy przeciw Polakom w r. 1665, pod dowództwem księcia Jerzego Dołgorukiego; a jego chrzestny ojciec, Korniło Jakowlew, był naczelnym atamanem całego wojska dońskiego.

Jesień się zbliżała, gdy tabor Razina wzmacniał jeszcze obóz moskiewski; popręgi u koni kozackich stały się za krótkie i nie mogły objąć zdobyczy składanych pod siodła. Było to zwyczajną oznaką, że wypadało zawrzeć pokój. Dołgoruki nie podzielał jednak tego zdania. Razin, jakkolwiek czuł się niezależnym, uważał za rzecz przyzwoitą prosić go o pozwolenie powrotu do stanic — a gdy mu tego odmówiono, porzucił obóz ze swym oddziałem. Puszczono się za nim w pogoń, pojmano, i dla przykładu, ataman Razin został powieszonym.

Dwaj jego bracia: Stenko i Frolka, oburzeni tą zgrozą, poprzysięgli zemstę.

Jedna z ballad opiewa, że przed tym wypadkiem, Stenko Razin był już sławnym rycerzem, postrachem Tatarów i Turków; że ścigany losem był już w niewoli i że wrzucono go do

lochu w Azowie: «Drzwi są żelazne, kłódka waży 120 funtów, straż jest ze stali, a wrzeciądze z bronzu.» Przechodzi około więzienia car turecki:

— Eh Sułtan Sułtanowicz! — woła doń Stenko. — Każ mi dać pić i jeść, a potem mię wbijesz na pal albo wypuścisz!

Sułtan jest w dobrym humorze, oswobadza więźnia, daje mu piękne dary, częstuje likierami z po za morza, i odsyła do Moskwy, wielkiego miasta z kamienia.

«Ale Doniec woli pójść wałęsać się koło matuszki Wołgi: nie idzie do wielkiego miasta z kamienia.»

Stenko potrzebował w zamiarze pomsty, zrobić sobie przedewszystkiem imię, aby pozyskać jak najwięcej stronników. Wiedząc, że trudno by mu było zostać nietylko atamanem, ale nawet starszyną, przedłożył przyjaciołom wycieczkę.

— Niegdyś — mówił do nich — wychował się tu, bracia moi, dziarski chłopak (udałyj mołodiec), a zwał się Stenko Razin Tymofiejewicz (Szczepanek Razin, syn Tymoteusza). Szczepanek nie chodzi wcale do kółka kozaków, ale zagląda do szynkowni carskiej i przemawia tam pięknie do hołyszów: Panowie hołysze, bracia moi, golcy szynkowni! Pójdźmy pohulać na morze Niebieskie (Kaspijskie). Będziemy rabować statki pogańskie i zbierzemy skarby! —

Zjednawszy zwolenników między ubogimi kozakami i przyjęty za ich atamana, umyślił popłynąć Donem, dostać się na morze Azowskie i napadać na brzegach Turcyi. Przedsięwzięcie było niebezpieczne, wypadało przemykać się przy ujściu rzeki obok twierdzy tureckiej, najeżonej działami; z tem wszystkiem nieulękniony Stenko puścił się w podróż na czterech statkach, gdy nagle otrzymał doniesienie, że jego chrzestny ojciec, wielki ataman Korniło, czynił przygotowania do pochwycenia go.

W rzeczy samej, Korniło, niechętny ku golcom, przypomniawszy sobie zakaz carski, starał się w myśl takowego przeszkodzić im wkroczyć do Turcyi, zostającej w przymierzu z Moskwą.

Stenko ujrzał się zmuszonym zmienić plan wyprawy, i zamiast płynąć biegiem rzeki, skierował się w stronę przeciwną dla uniknięcia zasadzki. Żeglował z całym pospiechem na jaki się mógł zdobyć, to jednak nie przeszkadzało mu zatrzy-

mywać się w niektórych miejscach dla rabunku bogatych ko zaków.

Korniło wysłał wprawdzie przeciw niemu silny oddział, ale przez wzgląd na swego chrześniaka przyjął środki, by go nie dogoniono. Przybył więc Stenko szczęśliwie do punktu, gdzie przesmyk pięćdziesiąt wiorst szeroki oddziela Don o Wołgi, a przeciągnąwszy przezeń statki (po piasku), wypłynął na Wołgę i osiadł w małej warowni Kaczalińsk, znanej pod nazwaniem miasta rozbójników. W przeciągu dni kilku ujrzał się na czele 3000 bandytów; — wiedział, że karawana miała tamtędy płynąć i rozstawił na nią czaty.

Karawaną zowiono statki obserwacyjne, rodzaj zbrojnej flotylli, przepływającej po Wołdze, w celu niesienia postrachu na korsarzy złożonych z kozaków, z dezerterów wojskowych i z poddanych bojarskich; jakoteż na hordy koczujących Tatarów i Kałmuków, roznoszących mord i pożogę. Czyniła ona dwa kursa do roku, na wiosnę i w jesieni, z Niższego Nowogrodu do Astrachania. Opatrywała miasta nadbrzeżne w zapasy żywności, wiozła sumy skarbowe, jeńców i rozlicznych przestępców skazanych na wygnanie. Mnóstwo kupców z nią się łączyło, szukając ochrony pod jej zasłoną.

Na ten raz, ciężki statek, dobrze naładowany, należący do patryarchy, sunął się poważnie z biegiem wody, pod przewodnictwem mnicha. — Zdaje się, że prawosławny patryarcha nie miał wstrętu do handlu.

Karawana żeglowała najbezpieczniej w przekonaniu, że korsarze nie ośmieliliby się zbliżyć do niej na widok flagi carskiej i patryarchalnej. Ale mołodcy dońscy na nic nie uważali — car, kupiec, batiuszka, czy mnich, to wszystko dla nich jedno! Zanim flotylla zdołała rozwinąć się w szyku bojowym na ich widok, już Stenko z drużyną napadł na nią, od cięcia jego szabli odskoczyła głowa mnicha, kilku majtków, broniących się, powieszono na masztach — takiż los spotkał kapitana, oficerów i dozorców pieniędzy rządowych; a do reszty rzekł ataman:

— Jesteście wolni — nie zatrzymuję was! Kto pójdzie za mną, zostanie niepodległym kozakiem. Przybyłem, aby mordować bojarów i bogaczów, a dzielić się z biednymi.

Załoga zawołała społem, że towarzyszyć mu będzie, choćby na koniec świata.

Tak głoszą świadectwa urzędowe o zabraniu karawany astrachańskiej. Rybacy upoetyzowali ten wypadek. Wedle nich, Stenko miał zaczarowany kapelusz o dwóch końcach, który mu służył do pływania i do fruwania. Gdy ujrzał statek, wznósił się w powietrze nad nim, i spuszczał jak krogulec na zdobycz, wołając: Saryn na kiczku! Zaklęte te wyrazy, niewiadomego znaczenia, miały moc wstrzymania okrętu na miejscu, silniej od kotwicy, i zamienienia w kamień całego ekwipaża; pozostawało tylko atamanowi zabierać wszystko, co mu się najlepiej podobało.

Karawana dostarczyła łupieżcom drobnych statków, ludzi, broni, amunicyi i pieniędzy.

Gubernator Carycyna, miasta oszańcowanego, znajdującego się w okolicy, gdzie zdarzenie miało miejsce, poczuł się w obowiązku dania ognia do napastników; lecz — że dostał kubana, czy też, że działa zaczarowano, dosyć, że żadne z nich nie wystrzeliło.

Stenko kazał sobie wydać z miasta kowadło i wszystkie narzędzia, należące do kuźni.

Potem ruszył dalej, minął Czarny Jar, nie będąc zaczepiany i nie zaczepiając nikogo; wschodnią odnogą Wołgi wpłynął na morze Kaspijskie, pozostawiwszy Astrachań na stronie.

Statki miał uszkodzone, wypadało pomyśleć o ich naprawie, a przedewszystkiem o przystani.

Kozaczyzna cholowała brzegiem morza do ujścia rzeki Uralu; lecz twierdza tam strzeżona przez Moskali była zawadą. Odważny ataman wylądował w pewnej od niej odległości, wybrał trzech najśmielszych towarzyszy, zbliżył się z nimi do bramy fortecznej i prosił pokornie straż o dozwolenie przejścia do kościoła. Zaledwie ich wpuszczono, przez szybką napaść, do której im niezwłocznie pomogli zostawieni w tyle wspólnicy, rozbroili warty przy wnijściu. Część garnizonu przeszła z ochotą na ich stronę, zaczęło się mordowanie oficerów i wszystkich, co opierać się usiłowali. Do pozostałych przy życiu ataman przemówił zwyczajnym językiem, że im daje wolność zupełną. Biada jednak temu, kto w prostocie ducha usłuchał słów jego

wspaniałomyślnych, i opuścił stanowisko; kozactwo puszczało się za nim w pogoń i siekało na sztuki.

Stenko rozłożył obóz na zimowe leże w zdobytym porcie, a jako rabuś-polityk, zaprzyjaźnił się wprędce z koczującymi po nad Uralem Kałmukami, którym dopomógł do zniweczenia zawistnej im sąsiedniej hordy mongolskiej; zkąd przypędził tabuni koni, wielbłądów, bydła, mnóstwo niewolników.

Zaprowadził z Kałmukami zamianę zdobyczy na wiktuały.

Gubernator Astrachański, książe Prozorowski, dowiaduje się z trwogą o niebezpiecznych przybyszach. Obawiając się zaczepiać ich w obronnym porcie, wysyła do nich na zwiady szpiegów i posłów. Stenko kazał jednych potopić w przerębli, a drugich wywieszać — za najszczęśliwszych poczytywali się ci, których tylko obito.

Wśród zimy kilku kozaków dońskich przybyło z depeszami od cara do Prozorowskiego. Zwiastowały one najmiłościwszą łaskę i przebaczenie dla rokoszan, jeżeli przyrzekną posłuszeństwo na przyszłość. Książe-gubernator, dopisawszy w depeszach niektóre warunki, odesłał poselstwo do Stenki. Ten, chcąc wykazać różnicę, jaką czynił między ziomkami a dygnitarzami moskiewskimi, przyjął posłów z honorami i wprowadził do kółka.

List carski został w zgromadzeniu odczytany. Posłowie oświadczyli, że wszystko dałoby się naprawić, byle ataman zgodził się na wydanie dezerterów; że kozacy mogą powrócić, drogą amnestyi, do krainy dońskiej. Słuchał ich cierpliwie Stenko i rzekł:

— Gdy car uczyni mi zaszczyt napisania wprost do mnie, będę się starał wypełnić jego rozkazy; ale rządzca Astrachania nic nie wskura odemnie.

Całe kółko przyklasnęło tym słowom, posłowie powrócili do Astrachania, wychwalając nowego atamana, Stenkę Razina.

Dnia 23. marca 1668 r. powstańcy puścili się na morze Kaspijskie. Niewiadoma ich siła nie mogła być wielka. To pewna, że byli ożywieni zapałem wojennym i religijnym. Większa ich część wierzyła, że przez walkę z niewiernymi odpokutują za grzechy, popełnione przez rabunek i mordy na jednowiercach. Ufni w odwagę i szczęśliwą gwiazdę wodza, nie zra-

żali się trudem i nędzą, które ich oczekiwały. Całe lato i część jesieni 1668 r. spędzili na wycieczkach na brzegi zachodnie morza Kaspijskiego. Uprzedzając donośny odgłos o sobie, wylądowywali z nadzwyczajną szybkością. Częstokroć uginali się pod ciężarem łupów, gdy zaś im brakło sposobności do zdzierstwa, chwytali ludzi i sprzedawali ich za niewolników.

Czasami ścigani przez siłę przemagającą, chronili się ucieczką na morze, i rozpoczynali harce w innem miejscu. Wyprawiali biesiady w pałacu zamordowanego lub okutego przez nich w kajdany książątka perskiego; a nazajutrz, wyparci ztamtąd, karmili się plackiem z utartego prosa i pili wodę z zatęchłej kałuży...

Burzliwa pora roku się zbliżała.

Stenko przybił do małej wysepki, zwanej przez pisarzy moskiewskich wyspą świńską. Otoczył się tam rowami i płotami; kazał ulepić chaty z błota i trzciny, i w nich się rozkwaterował. Korzystając z zawieszenia broni, trudnił się wymianą jeńców muzułmaninów na niewolników chrześcian: powiadają, że dawał jednego bisurmana za kilku chrześcian.

Handel taki nietylko powiększył jego sławę, lecz posłużył mu w sam czas do wzmocnienia swej armii, znacznie zmalałej i wycieńczonej przez bitwy i choroby.

W korsarzu zaczęto upatrywać krzyżaka, rycerza za wiarę. Moskale szemrali, że ich car niedołęga, nie posiada ani jednego statku dla obrony swych poddanych od pogan, gdy jeden mężny ataman potrafi potężnem ramieniem oswobadzać współbraci, a na samo jego imię drżą barbarzyńcy we własnych siedzibach.

Ataman też upojony powodzeniem, obarczony bogactwy, pogromem szacha, jedynego władzcy na morzu Kaspijskiem, postanowił zrzucić z siebie ohydną rolę bandyty, i wystąpić w obec świata jako mściciel uciśnionych.

Dla dopięcia tego zamiaru, umyślił powrócić do ojczyzny i zjednać dla się całą sicz dońską.

Powrót zdawał się zagrażać licznemi niebezpieczeństwami, atoli rozważywszy, że rząd nie ośmieliłby się karcić wolnych kozaków, stowarzyszeńców wielkiej siczy, a do tego idących do domu ze świetnej wyprawy; licząc na współczucie ludu i wojska moskiewskiego, i co najważniejsza, posiadając dosyć złota do

torowania sobie drogi, popłynął z odwrotem śmiało. Wiedział zresztą, że gubernator astrachański przyzwyczajony do widywania kozaków powracających ze zwykłych wycieczek, miał zawsze dla nich do sprzedania carskie listy przebaczenia.

Jednakże, jak to mówią, natura wilka ciągnie do lasu. W powrocie nawet żyłka kozacza nie mogła się wstrzymać od grabieży. Napotkawszy rybołownią, należącą do metropolity astrachańskiego, kozacy wytłumaczyli sobie, że ponieważ przelewali krew w utarczkach z niewiernymi, słusznie mogą korzystać z doczesnych dóbr prałata. Przywłaszczyli więc sobie nietylko zapasy jego ryb i kawioru, lecz i sieci: a oceniając wedle swego pojecia prawo międzynarodowe, posłali metropolicie jako wynagrodzenie, pewną liczbę oswobodzonych chrześcian, tudzież odebranych od nieprzyjaciół ozdób kościelnych.

W dalszej drodze, napotkawszy poselstwo od szacha wiozące dary dla cara, obdarli je bez skrupułu, wysadzili na ląd załogę, zatrzymawszy statek i syna bogatego kupca perskiego, jako zakład okupu w kwocie 5000 rubli, nałożonej na uwolnionych.

Czyny te nie zdawały się Stence dość ważnymi, aby miały stanąć mu na przeszkodzie do zawarcia przymierza z gubernatorem astrachańskim.

Jakoż zbliżył się z flotyllą pod mury Astrachania, kazał zarzucić kotwicę, wysiadł wśród oklasków mieszkańców, i udając największą pewność w siebie, przybył do księcia Prozorowskiego, składając mu swój buńczuk na znak hołdownictwa.

Zaczęły się między nimi umowy z całą zalotnością dworską, pośród uczt i bankietów. Książę miał rzeczywiście listy przebaczenia; lecz w tej okoliczności nałożył warunki następujące:

1) Że kozacy oddadzą mu statki morskie w zamian za barki, któremi popłyną dalej.

2) Oddadzą armaty.

3) Wydadzą dezerterów, jakoteż Persów i łupy na nich zdobyte.

4) Stenko ze swym oddziałem wykonają uroczyście akt posłuszeństwa, i zobowiążą się żyć spokojnie na przyszłość.

Co do ostatniego paragrafu, nie było żadnej trudności. Stenko gotów był przysiądz na wszystko, czego od niego żądano i nie żądano.

Co do statków morskich, ponieważ te były mu odtąd nieużyteczne, przystał chętnie na ich ustąpienie.

Z armat ofiarował te tylko, które zabrał na karawanie i w fortecy moskiewskiej przy ujściu Uralu; lecz, mówił, posiadał inne, będące jego własnością, które miały mu być potrzebne do przebycia bezpiecznie stepu między Wołgą i Donem, plądrowanego przez rozbójników.

Odmówił stanowczo wydania muzułmanów i ich towarów, utrzymując, że ponieważ Kozaczyzna nie pobierała nigdy żołdu od rządu, zdobycze są jej własnością, w skutek zwyczaju wojennego.

Co zaś do zbiegów, o tych ani słuchać nie chciał; nie rozumiał, czego od niego wymagano — miał tylko z sobą wolnych kozaków.

Gubernator, chcąc się przekonać o tem, zamierzał zrobić rewizyę ekwipaża. Ataman nie dozwolił mu gwałcić przywilejów wojska dońskiego, tem więcej, że o żadnej rewizyi nie było wzmianki w liście przebaczenia.

Spór był żywy i długi, ale ukończył się zgodą. Ataman był wspaniałomyślny, gubernator chciwy. Ostatni, jakkolwiek otrzymał podarunki od Stenki, postrzegłszy na nim kosztowne futro, poprosił go o nie, obiecując protekcyę w Moskwie.

— Masz! — rzecze dumnie Stenko, zrzucając z swych ramion szubę na plecy dygnitarza — weź! a bądź cicho.

Ta formalność dopełniona, traktat zawarty został.

Przepych i hojność kozaków oczarowały mieszczan astrachańskich. Żagle u statków kozackich były z szalów kosztownych i tkanin, a liny kręcone z jedwabiu. Kozacy pysznili się na ulicach w szkarłatnych aksamitnych kaftanach; w złotych łańcuchach i w kołpakach szytych bisiorem i drogiemi kamieniami. Stenko był uprzejmy dla wszystkich, zwłaszcza dla biednych; sypał im garściami pieniądze — lud padał przed nim na kolana i nazywał swoim batiuszką.

Gubernator radził mu przed wyjazdem, aby się prowadził nadal przyzwoicie, nie przyjmował do swego wojska poddanych carskich; słowem, żeby nie kompromitował cara i siebie.

Stenko go pilnie słuchał i wszystko przyobiecał; lecz gdy raz ujrzał się na Wołdze, nuż werbować zbiegów z całego świata!

Oficer przydany mu niby za przewodnika podróży, przypominał o zobowiązaniach się; Stenko odpowiadał, że nigdy kozacy nie wykroczyli przeciw prawu gościnności, i nie odmawiali nikomu schronienia. Co większa, przyjmował po drodze zaskarżenia na urzędników koronnych, groził im gniewem swoim i wymierzał sam sprawiedliwość.

Bywały jednak chwile, w których przybrana maska szlachetności spadała mu z oblicza, odsłaniając dzikiego herszta rozbójników. Uwoził on cudownej piękności brankę, córkę admirała perskiego. Branki azyatyckie starają się zazwyczaj podobać zwycięzcom, którym się dostały udziałem wojny. Młoda księżniczka nie była wyjątkiem, osładzała chwile zdobywcy i długi czas była przedmiotem jego względów. Pewnego razu, gdy biesiadował w orszaku podwładnych sobie wodzów, powstał nagle, a sparłszy się o krawędź barki, patrzał zamyślony w nurty rzeki.

— O Wołgo matuszko! — droga przyjaciołko! dałaś mi złota, srebra, rozmaitości; jako najlepsza matka, okryłaś mię sławą i bogactwy, a odemnie nic nie otrzymałaś; ale otóż! ...

I schwyciwszy brankę, zepchnął ją do topieli.

Pewien podróżny Holender, naoczny świadek tego wypadku, zauważył, że nieszczęśliwa miała na sobie mnóstwo kosztowności, z których ataman nie raczył ją obedrzeć przed śmiercią. Kostomarow, autor wielu prac historycznych, zastanawiał się nad tym okrutnym postępkiem i zapytywał siebie, czy był on skutkiem szalu pijaństwa, czyli też, że Stenko Razin chcąc naśladować surowość obyczajów Zaporożców, którzy wypędzali kobiety ze swych obozów, lub wieszali razem z tymi, którzy je sprowadzili, utopił kochankę, aby tym czynem dowieść swoim, że był zdolnym poświęcić miłostki dla utrzymania starej reguły kozackiego bractwa.

Być też może, iż zgładził ją ze świata jedynie przez zadobon, czyniąc z niej ofiarę dla matuszki Wołgi, którą czcił jak bóstwo. Cokolwiek bądź, śmierć branki przybrała w legendzie barwę cudu. Opiewa ona, że żeglował na swym kapeluszu, że nastąpiła burza, bo niewiasta ją sprowadziła — że skoro tę rzucił do wody, natychmiast burza ustała.

Wiadomo, że kozacy, jadący na wojnę, nie brali z sobą trun-

ków, nie dowierzając własnej wstrzemięźliwości; za to powrót ich był ciągłym balem.

Gubernator Carycyna obawiając się, aby podchmieleni nie dopuszczali się gwałtów w okolicy, kazał podwoić za ich przybyciem cenę na wódkę, w nadziei, jak się później tłumaczył, że mniej kupować jej będą. Stenko tem oburzony, napadł na kancelaryę urzędową, i byłby się dał we znaki gubernatorowi, gdyby ten nie był się skrył przed nim. Wtedy kazał pootwierać więzienia w mieście, wypuścił złoczyńców i rabował z nimi barki kupieckie.

Pewien kapitan, wiozący depesze carskie ujął się za kupcami, ukazując groźnie na swe papiery. Kozacy rozśmieli mu się pod nosem i podarli je w kawałki.

Prozorowski, dowiedziawszy się o tem, wysłał gońca z napomnieniem.

— Wracaj! i powiedz twojemu panu — rzecze doń Stenko, że ja go się nie lękam: ani jego, ani wyższego od niego; i że skoro zobaczymy się z sobą, porachujemy się. Dzisiaj zadziera nosa i chce mię traktować jak niewolnika, mnie, wolnego człeka z urodzenia; ale przekonam go, że jestem silniejszy.

Język ten podniecił pospólstwo. Ataman poniżający pysznych, uchodził za mściciela zesłanego z nieba. Moskale porównywali swą nędzę ze swobodą kozacką i mówili sobie, że aby stać się wolnym, dość przypasać szablicę. Słowem, Stenko rzucił ziarno rewolucyjne, które w prędce wydało owoce.

Przebył szczęśliwie Wołgę, a dostawszy się na Don, zamiast udać się do stolicy Czerkaska, gdzie miał żonę i krewnych, osiadł na zimę na wyspie Kagalnik, udając, że zamyśla żyć po trudach wojennych w domowem zaciszu, spokojnie, z dostatków nagromadzonych. Był on w swoim rodzaju dyplomata — używał słów dla zatajenia myśli. Wielce go poważano i lubiono; zrzekł się tytułu atamana, żył jako prosty kozak, wspomagał ubogich i dzielił się z towarzyszami broni. Biedni go błogosławili, możni przybywali z daleka, by ujrzeć bohatera swej rasy, o którym wieść biegła po wszystkich stanicach i nawet w Moskwie: a za powrotem głosili odezwy jego o bojarach, urzędnikach, o swoim chrzestnym ojcu, wielkim atamanie Korniło Jako-

wlewie, który wedle zdania Stenki, był zdolny poświęcić dobro siczy dła widoków osobistych.

Jakowlew mocno tem rozgniewany, żałował, że znosił z początku bezeceństwa synalka, i zamiar tajemnej zemsty zawładnął jego umysłem.

Niezadowolnieni, golcy, przybywali ze wszech stron na wyspę; Stenko przyjmował ich ze zwykłą gościnnością, ale nikomu nie powierzał swych przedsięwzięć na przyszłość, — stał się milczącym i zamknął w dumaniach jak pająk w osnowie. Wojsko jego, tak pochopne do życia hałaśliwego, zmieniło obyczaje za przykładem wodza, — wyspa zaś zamieniła się w nową stolicę, rywalkę starego Czerkaska, i sława nowego atamana zaćmiła sławę dawnego.

O ile Stenko nie cierpiał rządu moskiewskiego, tyle nieszanował obrządków grecko-moskiewskiego wyznania. Gdy zgłoszono się do niego po składkę na cerkiew, zawołał:

— Na co cerkwie? po co popi? czy dla żenienia was? Niechaj państwo młodzi, ująwszy się, potańcują na około wierzby, i obrzęd skończony!

Zawieranie związków małżeńskich przez tańce, na wzór pogan plemienia fińskiego, miało odtąd miejsce w Kozaczyznie, późniejszemi nawet czasy, i uważane było za ważne. Być też może, że zwyczaj ten wynikł z wykładu wedle widzimisię kozackiego, ustępu biblii, gdzie powiedziano jest: bądźcie prości jako dzieci, itd. i że na mocy tych słów kozacy weselili się przy niektórych obrządkach religijnych, podobnie jak to widziałem czyniących Kwakrów pewnej sekty w Stanach zjednoczonych Ameryki, którzy tańczyli w kościele.*)

Gubernator Astrachański otrzymał srogą naganę od rządu za przepuszczenie kozaków. Pisano mu, że powinien był zatrzymać ich, odebrać im zdobycze, a samych oddać w sołdaty.

W końcu zimy 1670 r. gabinet moskiewski wysłał do Czerkaska ajenta w celu porozumienia się ze starym atamanem dla

*) Turgieniew dowodzi, jakoby w ogóle Kozaczyzna wzrosła z rasy moskiewskiej, gdyż po wszystkie czasy — powiedział on — tylko człowiek religii grecko-moskiewskiej mógł być kozakiem. Pozwalam sobie uczynić tu uwagę: czy tańcowanie przy zawieraniu małżeństw należy także do obrządków cerkwi?... (Przyp. autora.)

pochwycenia Stenki. Oprócz tego ajent odczytał w kółku kozackiem odkryte listy. Car życzył w nich dobrego zdrowia siczy dońskiej, chwalił jej wierność i przywiązanie do tronu, i obiecywał nadesłanie zwyczajnych darów. Kółko odpowiedziało grzecznością za grzeczność i odłożyło posiedzenie do dnia następnego, w celu wybrania posłów, mających zawieść komplement dla cara.

Lecz nazajutrz jakiś kozak występuje z zebranego kółka, zapytuje dumnie o powód narady i każe góncowi stanąć przed sobą. Był to Stenko. Kozactwo oniemiałe jego zjawieniem się, popycha gońca naprzód.

— Kto cię tu przysłał? car, czy bojarowie? — rzecze doń Stenko.

— Przynoszę łaskawy list od cara.

— Kłamiesz! jesteś szpiegiem! krzyknął głośno Stenko, stwierdzając swe wyrazy potężnym kułakiem.

Na to wymowne hasło grad pięści kozackich posypał się po karku posła nieboraka.

— Do wody z nim! do wody! zawołano.

Chociaż Jakowlew ujmował się za pochwyconym, na pół umarłego zawiązano do worka i wrzucono do rzeki.

Wtedy to Stenko, widząc kozaków zespolonych ze sobą przez zbrodnię, przemówił do nich, że wybiła godzina zemsty, że trzeba raz skończyć z tyranami. i że wzywa wszystkich mołodców do walnej rady, mającej się odbyć nad bagnami Wołgi.

Stopniały gnuśne lody, nadeszła wiosna, a armia dońska rozlała się po nad Wołgą jak błyskawica — rozpoczęły się znowu straszliwe utarczki. Carycyn został wzięty. Stenko założył tam główną kwaterę, rozesłał emisaryuszów i zaprowadził rząd na sposób kozacki, to jest: na miejscu gubernatora postawił atamana i podzielił ludność na setki, pięćdziesiątki i dziesiątki, zostawiając im prawo wyboru najbliższych naczelników.

Wieść ta gdy przybyła do Astrachania, arystokracya się przeraziła, pospólstwo zaś przyjęło ją śmiechem radości. Książę Prozorowski nie przypuszczał, aby jeden Razin był kiedy w stanie porazić jego rezydencyę.

Astrachań był już podówczas miastem dobrze uzbrojonem, otoczonem grubym murem, pośród których wyglądały dwupię-

trowe baszty. Czterysta sześćdziesiąt dział wychylało paszczę, i magazyny były pełne żywności.

Podejrzliwy Prozorowski kazał załodze ponowić przysięgę na wierność monarsze, wypłacić jej żołd, zamurować bramy twierdzy, aby odjąć sposoby znoszenia się z nieprzyjacielem; porozstawiał wszędzie podwójne warty, rozdał mieszkańcom ochotnikom broń z arsenałów i napisał o posiłki do Moskwy.

Tymczasem Stenko zbliżył się do murów i wysłał do księcia dwóch parlamentarzy, zachęcając do poddania się bez krwi rozlewu. Parlamentarzami byli: pop z Carycyna i wieśniak. Książę rozkazał ich wziąść na inkwizycyę. Pop zeznał, że siła zbrojna kozacka wynosi 8000 ludzi, wieśniak nic nie chciał powiedzieć; pierwszego uwięziono, drugiego śmiercią ukarano.

Kozacy, nieotrzymując odpowiedzi, oblegli miasto, gotując się do szturmu.

Uderzono tam w dzwon trwogi, duchowieństwo szło z procesyą po ulicach, niosąc relikwie świętych, garnizon stanął pod bronią; — walka trwała dni kilka.

Skończyło się na tem, że Stenko podpełznął w nocy do miejsca strzeżonego przez mieszczan, przystawił drabiny; a wtedy sami strażnicy podawali ręce kozakom i wciągali ich na mury.

Astrachań zdobyty został. Całą arystokracyę, nie wyłączając Prozorowskiego i metropolity, w pień wycięto w cerkwi, gdzie się zamknęła; oszczędzono tylko kobiety i dzieci.

Stenko spalił na placu archiwa i papiery urzędowe, mówiąc: — Patrzcie, jak szybko expedyuję interesa carskie.

Potem zaczęły się biesiady, trwające trzy tygodnie, podczas których zwołał wszystkich obywateli za miasto; bo w murach duszno mu było, i tam, na wolnem powietrzu, ogłosił kozacką konstytucyę. Polecił popom przyjmować przysięgę od ludu. Żony i córki poległych poślubiano kozakom. Następnie, naznaczywszy na swoje miejsce atamana, jakiegoś Waśkę, ruszył dalej.

Szczątki pokoleń fińskich: Mordwini, Czeremisy, Czuwasze, biegli pod jego buńczuk, pospolite ruszenie szerzyło sie coraz bardziej; wszyscy sekciarze religijni uznali w nim naturalnego swego obrońcę od prześladowań rządu i duchowieństwa grecko-

moskiewskiego; Tatarzy północni i w ogóle mahometanie naśladowali sekciarzy. Nie dość na tem, Stenko pobudzał szacha perskiego i hana krymskiego do wzięcia za oręż. Rozliczne zgraje formowały się w różnych miejscach, a nawet w okolicach Moskwy, i rabowały, mianując się kozakami. Nie jeden z mieszkańców stolicy drżał na myśl ujrzenia lada chwila przed sobą strasznego atamana.

— Co robić, gdy przyjdzie? — pytano pewnego starego mnicha.

— Co robić? rzecze, oto wyjść z chlebem i solą na jego spotkanie.

Mnicha powieszono, ale niepodobna było wywieszać wszystkich, którzy podobnie jak on myśleli.

Powódź kozacza pochłonęła wprędce, gdyby lawa wulkanu, Samarę i Saratów.

Stenko, zimny w swych rachubach, ambitny w głębi duszy, znający naród moskiewski, postanowił, aby dojść prędzej do celu, iść wzorem Dymitra Samozwańca. Widziano odtąd dwie barki, płynące środkiem Wołgi — jednę obitą aksamitem czerwonym, drugą czarnym. Obiedwie uwoziły postacie tajemnicze. Pobratymcy Stenki dowodzili przed gminem, że w czerwonej płynął carewicz, syn Aleksego, że mylną jest wieść, jakoby on umarł w miesiącu styczniu; że się schował tylko i przybył szukać opieki wielkiego atamana przed okrucieństwami ojca swojego, i że celem powstania było strącenie z tronu barbarzyńcę Aleksego, a namaszczenie młodego królewicza. W czarnej barce miał się znajdować wygnaniec carski, patryarcha Nikon.

Ataman, walcząc bronią i fortelem: stanął u Symbirska.

Ale w tem mieście zgromadziło się, na jego nieszczęście, wszystko, co tchnęło duchem moskiewskim, i opierało się kozaczyznie z męstwem rozpaczy. Już niższa część miasta została szturmem wziętą, gdy Kremlin bronił się jeszcze zapamiętale. W połowie września, Borjatyński przybył na odsiecz oblężonym, z wojskiem, w którem się znajdowało kilka pułków, złożonych po większej części z cudzoziemców, wyćwiczonych w wojnie z Polską.

Fortuna, niestała pani z przyrodzenia, obróciła się na ten raz tyłem do Stenki.

Razin, porażony w stanowczej bitwie, po dokonanych cudach waleczności, ciężko raniony, zaledwie zdołał ujść w kilkaset koni z pobojowiska.

Czyny jego były blade w porównaniu okrucieństw, jakich dzieje narodów chrześciańskich nie dały przykładu, dokonanych przez Moskali na jeńcach.

Trzy miesiące upłynęło im na plądrowaniu prowincyi, które dopomagały Stence, i na karaniu szubienicą, toporem i ostrokończastym palem winnych i podejrzanych o zdradę kraju. Zgładzili wtedy ze świata 11,008 dusz, z zachowaniem przepisów sądowych, a niewiadoma liczba zabitych bez zachowania tychże.

Stenko Razin przekonał się, że w niedoli nie ma przyjaciela. Samara i Saratów, które przyjmowały go z zachwyceniem jako zwycięzcę, zamknęły bramy przed zwyciężonym. Lepiej był przyjęty w Carycynie, dzięki kozakom, których tam pozostawił. Wygoiwszy się z ran, wysłał rozkazy do Waśki, do Astrachania; a sam wrócił na Don, z bratem swoim Frolką, w nadziei zebrania nowej siły. Zdradzeni i pochwyceni przez Korniłę Jakowlewa, wspieranego zawsze przez stronnictwo starych kozaków, zostali wydani Moskwie, w końcu miesiąca kwietnia 1671 r.

Stenko wzięty na tortury, nie wyrzekł ani słowa. Knut i rozpalone katowskie żelazo nie zmusiło go nawet do jęku narzekania. Zdawało się, jakoby chciał zemścić się milczeniem za męki, których nie mógł pomścić mieczem. Zniecierpliwieni kaci odstąpili od ofiary. Stenkę i słabego charakteru Frolkę wrzucono do więzienia i skazano na śmierć.

Wyrok wykonany został.

Z mnóstwa legend, na cześć dzikiego bohatera, które do dziś dnia lud cichaczem powtarza, następująca zdaje się wyrażać groźbę okropną:

«Majtkowie moskiewscy uciekli z niewoli z Persyi i przybyli na brzegi morza kaspijskiego. Nadeszła burza, skryli się więc pod skały i prowadzili rozmowę. W tem usłyszeli szelest za sobą. Obejrzawszy się, postrzegli siwego staruszka, mchem pokrytego, który wysunał się ze szczeliny góry i rzekł do nich:

— Nie moglibyście mi powiedzieć, rodacy, czy w Moskwie zapalają już gromnice woskowe zmieszane z łojem?

— Dawno nie byliśmy w Moskwie i nie wiemy, co się tam dzieje, odpowiedzicli majtkowie.

— A czyście kiedy byli w cerkwi w pierwszą niedzielę postu?

— Bez wątpienia.

— Toż słyszeliście, jak tam przeklinano Stenkę Razina?

— Słyszeliśmy.

— Wiedzcie więc, że ja nim jestem. Ziemia nie chciała mię przyjąć za grzechy moje: jestem przeklęty! Byłem skazany na okropne męki — dwa węże mię pożerały — jeden od północka do południa, drugi od południa do północka. Po upływie stu lat jeden wąż odszedł, a drugi pozostał — przychodzi o północy i ssie mi serce. Umieram w męczarniach do południa i wyglądam jak trup — o południu odżywam. Widzicie, że żyję, że wyszedłem z góry; tylko nie mogę się oddalić, bo by wąż nie pozwolił. Za lat sto grzechy rozmnożą się w Moskwie, naród zapomni o Bogu; a przed obrazami świętych zapalą gromnice woskowe zmieszane z łojem — wtedy powrócę na świat z wielką mocą i sprowadzę burzę, gorszą od pierwszej. Powiedzcie o tem w świętej Moskwie!»

VI.

ROZMYŚLANIA. URALCY. PRZESTRACH ALEKSANDRA II.

VI.

«Za Urałom, za riekoj, kozaki hulajut
. . . . I zywut bohato!»
(Pieśń kozacza.)

Niechaj kozaki hulają, niech żyją bogato, zawsze koniec ich będzie taki, że wyginą marnie pod zatrutem tchnieniem polityki moskiewskiej, jeżeli jakieś wielkie wstrząśnienie nie wybawi ich z jarzma, pod którem upadają.

Potęga Kozaczyzny, oparta na samym tylko orężu, zniknie od oręża, bo to jest naturalnem następstwem. Tak zniknęło wiele plemion, od mocy silniejszego, w głębinach Moskwy, — plemion, które nie posiadały potęgi moralnej. Widziałem tam różnorodne gromady, rasy fińskiej i mongolskiej, których stan zbydlęcenia jest do nieopisania. Ze złotej hordy tatarskiej pozostały niedobitki, którym i piędzi ziemi na grób nie zostawiono.

Jedna tylko Polska na swem wysokiem stanowisku promienieje. Zabić jej nie można, bo jest ożywioną duchem bożym; gdy wróg jej jest tylko grubą warstwą cielska. Jest on potomkiem bratobójcy Kaina, arcywzoru człowięka zwierza, który zbierał bandy i uczył je zbogacać się cudzym kosztem*). Do takiego to bratobójcy, rządzącego się dziś pod znakiem krzyża Chrystusowego, można przyrównać słowa ś. Jana w Objawieniach, XIII. «Widziałem wychodzące z morza zwierzę, mające siedm głów, a dziesięć rogów, a na rogach dziesięć koron, a na głowach imię bluźniercze.»

---

*) Obacz Historyą żydowską Józefa Flawiusza; Paryż, 1836.

Nad tem carat pracuje, aby w niwecz obrócić naszą żywotność i siłę, zerwać nerw, łączący ducha narodowego z ciałem; słowem zamienić nas w carskie popychadło, jak zrobiono z kozakami.

Ale na cóż mu się zdały owe piekielne pomysły wynarodowienia? — Wcielono gwałtem Polskę do Moskwy, zatarto ją na karcie globu ziemskiego, koronę jej przeniesiono do Moskwy, skasowano sejmy narodowe, wojsko, wolność druku i oświaty; wprowadzono różnicę stanów, monetę i kalendarz cudzoziemski, prawa a raczej bezprawia, język i piśmiennictwo moskiewskie; czynowników, będących filarami tronu jego zwierzęcej mości i dowodzących zuchwale, że im naród służyć powinien, a nie oni narodowi; nagoniono do rozkrzyżowanej Polski ćmy siepaczy z granic mongolskich; wycieńczono kraj, tysiące rodzin zesłano na wygnanie, tysiące przechrzczono, wymordowano, zagrzebano żywcem w kopalniach; — a jednak tylu razem zbrodniami nie zdołano zabić ducha narodowego!

Rozwścieklony wróg, chwyta się ostatecznego, szalonego zamiaru, zamiaru proskrypcyi, niepamiętnej w dziejach od czasów Iwana Groźnego. Właśnie gdy tę stronnicę kreślę, poluje on w nocy z bronią i powrozem w ręku, w domach Warszawy na śpiące ofiary.

Te mając przed sobą hańbę lub śmierć, śmierć wybrały dla sławy narodu!...

Powiedział na któremś miejscu Michelet, że uważał zawsze wyrażenie: zabić Polskę za czystą figurę retoryczną; ale że gdy zajrzał do ukazów, które są wydawane w rozwoju postępowego zniszczenia, poznał rzeczywiste cele caryzmu. Michelet zarzuca i dowodzi mu zamiar morderstwa Polski. «I czem się to dzieje — pisze ten zacny historyk — że Polacy nie zebrali i nie ogłosili dotąd drukiem tych okrutnych praw i z ich stosu nie wznieśli dla wroga pomnika, któryby go lepiej uwydatniał, niż wszelkie deklamacye?... Zdobywca tatarski wzniósł, na cześć swoję, około Bagdadu, piramidę ze stu tysięcy głów trupich. O ileż byłby wspanialszym pomnik, złożony z praw morderczych? jakże pyszne byłyby to trofea Śmierci!!...»

A inni monarchowie patrzą na ten stan nasz obojętnie.

Ale i cóż to są monarchowie?

Są to nożyce, których ostrza w zetknięciu się wcale sobie nie szkodzą, lecz krają wszystko, co między niemi staje!...

Z plemion nieoświeconych, niknących powolną śmiercią w głębi Moskwy, zdaje się, że kozacy uralscy najdłużej zachowali swój typ pierwotny. Czują oni zadany im cios przez carów, którzy pracowali nad tem, aby rozwolnić węzeł łączący niegdyś liczne sicze kozackie. Lubią wspominać o Dońcach, jakoteż o dobrych czasach kwitnącej ich republiki.

Szybkość podróży mojej przez dziedziny kozackie była powodem, że przedstawiały mi się one w nader uderzających rysach, podobnie jak się przedstawia teatr przy częstych zmianach dekoracyi. Zbolałe me kości od okropnego strzęsienia, rozpierzchłe myśli, nie zdołały mię uczynić obojętnym na nowe widoki.

W stepach każda rzecz ukazuje się w wydatnej płaskorzeźbie, podobnie jak statek na oceanie. W gubernii orenburgskiej napotykałem gdzieniegdzie gromadki ludu, trudniące się jużto pasterstwem, już rybołostwem. Skóry źrebięce służyły im za odzież, zeschły chwast za opał i łoże, a łódka kołysząca się na brzegu rzeki za okręt, na którym zwykli żeglować po wszystkich zakątkach swej dziedziny. Pod ołowianem niebem mnóstwo ptastwa krążyło tak bezpiecznie, jak gdyby ich nikt nigdy nie płoszył.

Zaledwie co kilkadziesiąt wiorst ujrzałem stanicę.

Rolnictwo przy obecnej organizacyi wojskowej kozaków, gdzie człowiek nie ma przyszłości, zakwitnąć tam nie może, a ziemia leży odłogiem. Podróżnemu mimowolnie nastręcza się podziw, jak też owe rodziny mogą żyć w odosobnieniu od świata, w krainie spustoszenia, i same wystarczyć sobie?...

W stanicach rzadko gdzie napotykałem młodych ludzi — byli oni porozsyłani do rozmaitych rezerw armii cesarstwa. W chatach pozostały niewiasty, dzieci i pewna liczba weteranów, którym w nagrodę kilkudziesięcioletniej służby dozwolono umierać pod rodzinną strzechą.

Pułki korpusów regularnych zdążały pod tę porę ze środkowej Moskwy na pomoc Austryi, dla pognębienia Węgrów;

a szwadrony kozackie posuwały się na ich miejsce. Oprócz tego sztyftowano siepaczy z plemion mongolskich.

Na widok tych jeźdźców brunatnej cery, ze spłaszczonemi nosami, śnieżnej białości zębami, z małemi podługowatemi a dziwnie lśniącemi oczyma, z wejrzeniem dzikiem, zatarła się rzeczywistość w mej wyobraźni, a zdało mi się, że są to ćmy Dżengizhana, ciągnące z Azyi dla zawojowania Moskwy.

Hordy te składały się po większej części z Baszkirów, to jest kozaków tatarskich, wyznania mahometańskiego, przywykłych do władania łukiem; jakoteż z Kałmuków, wyznania Wielkiego Lamy, wierzących w metampsychozę, którzy pławili konie w Sekwanie w 1815 r.

Dzisiejsi Kałmucy wiarę swoję w przechodzenie dusz w inne ciała, w najdziwniejszych, a niezrozumiałych dla nich samych formach mistycznych objawiają. Przyczyną tego są misyonarze popi, którzy zdołali, tłumacząc im ich obrządki, powykrzywiać niektóre z nich wedle obrządków cerkwi. Dzisiejsi zatem kałmucy nie są ani chrześcianami, ani budystami, lecz wyznawcami śmiesznej, niepojętej religii.

Nie uwierzyliby więc może, gdyby im kto dziś powiedział, że dusza Mikołaja nie mogąc wleźć ani w psa, ani w kota, wstąpiła w króla pruskiego.

Miasto Uralsk z okręgiem jest zamieszkałe przez kozaków, z wyjątkiem małej ludności urzędników, kupców, rzemieślników moskiewskich i handlujących Tatarów. Nie widać jeszcze na twarzach Uralców piętna zepsucia i nędzy, jakie zwykle wyciska niewola; nie przedstawiają one tego braku wszelkiego wyrazu, który cechuje sołdata. Bo też nie mają prawie nic wspólnego z Moskalami. Ich starowierska religia, narzecze języka, zwyczaje, obyczaje, sposób życia, wojowania, wszystko ich od tamtych różni. Zbliżają się podobieństwem w niektórych tylko szczegółach, jakie zazwyczaj mają miejsce między ludami sąsiedniemi i złączonemi przez związki polityczne.

Uralcy w ogóle są piękniejszej urody, roślejsi i zręczniejsi od Moskali. Mniej nawykli do poddaństwa, są dumniejsi i śmielsi.

Kozak uralski jest to istota koczująca, wojak i rabuś zarazem; Moskal jest rolnik, domator, handlarz (w handlu oszust).

Kozak jest okrutny w chwili uniesienia; Moskal mściwy z chłodną krwią.

Pierwszy podróżuje w najodleglejsze strony i walczy zawsze na koniu; ostatni jeździ wózkiem lub saniami, albo idzie piechotą.

Rolnictwo nie zajmowało nigdy Uralców; ich kraj, obfity w pastwiska, dostarczał im po wszystkie czasy trzody, a rzeka ryb, co stanowi ich bogactwo.

Poglądają oni z dumą na sąsiadów, kozaków orenburgskich, złożonych z mużyków, przybyłych z różnych gubernii na zaludnienie, i nie chcą wchodzić z nimi w stosunki. Chlubią się ze swego pochodzenia, ze szczepu dońskiego, i nie przypuszczają żadnego cudzoziemca do swej drużyny.

Kozak orenburgski, jest to chłop ograniczony, gdy Uralec mówi o swej historyi, o Stence Razinie i o Pugaczewie, szpera w biblii i nuci piosenkę rodzinną. Ubiór jego paradny jest to kurtka lub spencer granatowy z niebieskiemi wyłogami — Orenburgczyk nosi je z czerwonemi.

Gabinet petersburgski, idący za popędem podejrzliwości i obawy — przymiotów właściwych tyranom — nie dowierzając zawsze rycerstwu kozackiemu, rozsypał liczne jego obozy po różnych zakątach państwa, wcielił jego ziemię do rozmaitych gubernii, zabronił mu prawa wyboru oficerów i uczynił, że tak powiem, popychadłem swych regularnych korpusów.

Czas służby kozaków jest nieograniczony, zależny od okoliczności; żołd zaś albo żaden, albo względny od kaprysu jenerałów moskiewskich. Większa ich część nie powraca do stanic.

Dzisiejsza Kozaczyzna, rozćwiartowana, rozproszona, zbiedniała, straciła w ucisku swój charakter narodowy.

Uralcy, będąc skrajnemi czynnikami azyatyckiemi, potrzebnemi Moskwie do posuwania się na wschód ku Chiwie i Bucharyi, zachowali dotąd niektóre przywileje, które wszechwładny rząd, raz głaszcząc ich, drugi raz przemocą, powoli im odbiera.

Gdy Aleksander II., będąc wielkim księciem, następcą tronu i wielkim hetmanem kozackim, zawitał do Uralska w 1837 r., kozacy wysłali do niego deputacyę, jako do najmiłościwszego opiekuna, z prośbą o naprawienie krzywd im wyrządzonych różnemi czasy. Ataman, przydany im z ramienia moskiewskiego,

nie dopuścił deputatów do podnóżka carewicza, a podanie ich sążnistc, spisane w języku cerkiewnym, podarł na kawałki.

Deputaci napisali inne, i postanowiwszy wręczyć je osobiście Aleksandrowi, czatowali, aby go ujrzeć samego; gdy jednak sposobność ku temu się nie nadarzała, wyszli w dzień jego wyjazdu za miasto, i zaczaili się pod mostem przy drodze.

Powóz cesarski nadjechał, gromada brodaczów wyskoczyła z rowu z papierami w ręku.

Na ich niespodziany widok krew pociekła gębą i nosem cesarzewiczowi. Ochłonąwszy atoli z przestrachu, przyjął podanie Uralców, którzy rzucili się przed nim na kolana, i obiecał im wszystko, o co prosili i nie prosili.

Historyczny ten most był metą mych przechadzek, i na nim właśnie opowiadano mi często i jednogłośnie o tem zdarzeniu.

Niezadługo potem łaski przyobiecane dały się uczuć brodaczom gorzej od kości w gardle. Gubernator wojenny orenburgskiego kraju, Wasyli Alexiewicz Perowski, zjechał niezwłocznie na miejsce. Był to sądny dzień dla Uralców — brakowało tylko sprawiedliwości. Dzień ten stanowi krwawą epokę w ich podaniach, o której ze zgrozą wspominają.

Prostoduszni staruszkowie, spodziewając się, że jenerał-gubernator przybywa do ich gniazda z torbą łask carskich i wiezie im konstytucyę, wyszli na przyjęcie go w uroczystym orszaku; — lecz jakiegoż doznali zawodu, gdy tenże, na czele siły zbrojnej, którą przywiódł z sobą, obległ i zajął miasto. Rozpoczęły się łapania, badania, kary osób pojedyńczych, i plagi ogólne — padło wielu niewinnych. Kilka pułków uralskich rozesłano na służbę w odległe krańce państwa. Miasto zostało wyludnione za obrazę majestatu carskiego. «Czem my tobie zawinili batiuszka gosudar?» nucili żałośnie kozacy, skazani na wygnanie do głębi Sybiru.

Rozmyślając niekiedy o tym wypadku, zapytywałem siebie: i zkądże przychodzi ów przestrach, owa chorobliwa, gorączkowa obawa rządzących? Nosiła ona piętno trwogi tych ludzi, którzy dręczeni wyrzutami sumienia, widzą w każdym człowieku, w każdym przedmiocie swego oskarżyciela; a w końcu drżą na widok własnego cienia.

Drugi, ważny fakt w tradycyach kozaków orenburgskiego kraju, jest następujący:

Perowski wydał do nich polecenie, aby zajęli się uprawą zbywających gruntów, w celu utworzenia kapitałów zasobowych za sprzedaż zboża, jakoteż założenia magazynów zapaśnych na wypadek nieurodzaju. Była to więc instytucya przezorna. Ale kozacy, przekonani słusznie, że choćby usilną pracą doszli do celu, skorzysta z tego więcej starszyzna niźli oni sami; zresztą, niechętni i niepochopni do wszelkich nowości, mówili sobie, że ich ojcowie i dziadowie nie zakładali magazynów a z głodu nie pomarli, i tak rozumując, opierali się wykonaniu rozkazu. Otóż z jednej stanicy naczelnik doniósł, że kozaki nie zgadzają się na uprawę zbywających gruntów. Odpowiedziano im z korpusu, że od kozaków nie żąda się zgody, lecz posłuszeństwa.

Opór nie ustawał.

Wtedy Perowski dla rzucenia postrachu i przełamania oporu, umyślił zrobić un coup d'autorité. W towarzystwie jednego oficera udał się prostą powózką pocztową na miejsce, i kazał wystąpić kozakom. Jeden z pomiędzy nich, miejscowy Cyceron, zabrał głos w odpowiedzi. Perowski kazał mowcy wyjść naprzód, wołać ludzi z łopatami i popa. Ludzie otrzymali polecenie kopania dołu, a pop spowiadania nieszczęśliwego rzecznika.

Po skończonym akcie, ten ostatni został rozciągnięty, zakatowany nahajkami i pogrzebany.

— Tak wam wszystkim będzie — dodał gubernator, odwrócił się i odjechał.

Porządek przywrócony został w krwawem starciu!...

Obecnie, głównym przywilejem, którego jeszcze nie wydarto Uralcom, jest rybołostwo. Należy ono wyłącznie do nich na części rzeki Uralu, nadzwyczajnie rybnej, począwszy od miasta Uralska, aż do ujścia rzeki, to jest, do morza Kaspijskiego. Przeprowadzili przez wodę drewnianą kratę, przeszkadzającą rybom wypływać po za obręb tej posiadłości.

Rybołostwo na Uralu, stanowiące główne źródło bogactwa i przemysłu krajowego, jest nader ciekawe. Odbywa się w oznaczonych dniach w porze zimowej. Kozak wyrębuje w lodzie tonię i zapuszczając w nią osęk, zaczepia nim rybę; — a jeśli ta

jest ogromnej wielkości, bo niektóra waży 1000 funtów, wyciąga ją z pomocą towarzyszy. Najwięcej się poławia jesiotrów. Zaraz po połowie, ataman wyprawia poselstwo do Petersburga z darami świeżego kawioru dla cara; przy czem i wielu jenerałów się pożywia. Wywożą je stosami, świeże, solone i wędzone. Polędwica wędzona z jesiotra lub łososia, która jest przednią, zowie się bałyk.

Uralcy, jak w ogóle kozacy, niezdolni do szeregów liniowych, są wielce użyteczni do utrzymywania łańcucha granicznego, patrolów, straży, gdyż czujni są bardzo. Suwarów nazywał ich okiem armii; gdyż rzeczywiście liczne ich tłuszcze stanowią niejako atmosferę bezpieczeństwa, otaczającą obozy moskiewskie, chroniąc je od nieprzewidzianego napadu nieprzyjaciela. Dzieci stepu, nic nie uchodzi przed ich okiem i uchem; a jako rabusie z przyrodzenia, przenikają gdyby węchem miejsca zasadzki; poczują po tropie liczbę ludzi i koni; według śladów mniej więcej świeżych umieją oznaczyć czas ich przejścia; słowem, pies gończy nie zdoła lepiej wietrzyć zwierzynę, jak oni wietrzą człowieka.

Nie są bynajmniej straszni orężem, wyjąwszy dla koczującego Kirgiza i ludzi bezbronnych. Drewnianą ich pikę łatwo zgruchotać dobremu kawalerzyście lub kosynierowi; w władaniu pałaszem i bronią palną nie są tędzy; nahajką zaledwie straszyć mogą białogłowy; — ale za to rzeczywista ich potęga mieści się w upartej wytrwałości w prześladowaniu przeciwnika, która znudzi i zmorduje najlepiej wyćwiczone wojsko, zwłaszcza na równinie i bezdrożu.

Konie kozackie są przyzwyczajone do zmian powietrza, głodu, pragnienia, podobnie jak ich jeźdźcy. Przyuczone w zimie nocować pod gołem niebem, same odgrzebują sobie z pod śniegu paszę.

Kozak kwaterujący w kraju obcym, podobnie jak cygan wszędzie się wcisnąć potrafi w chęci zysku; u siebie nie tylko przestaje być rabusiem, lecz nadto poczuwa się do gościnności.

Z kolei rzeczy, jest okradany przez sołdatów, stojących w jego ojczyźnie. Byłem świadkiem, jak pochwyconego w Uralsku na złodziejstwie sołdata odstawiono do koszar. Wybrał on się z kamratami w nocy na zdobycz. Rozebrawszy się wszyscy

do naga i wysmarowawszy mydłem, wleźli cichaczem do chaty pewnego zamożnego Uralca. Zdradzeni przez nieśpiącą na poddaszu dziewczynę, otoczeni i chwytani przez kozaków, wyśliznęli się im gdyby piskorze; jednego tylko z pomiędzy siebie zostawiwszy.

Złodziej mydlany wydał swoich wspólników.

Kozacy, chciwi z natury, są przytem niszczyciele. Gdy w czasie wojennym napadną na bezbronne sioło lub miasteczko i wypróżniają domy, piwnice i szpichlerze, z szybkością im wrodzoną, zwykli wszystkie łupy składać na jednem miejscu (jeśli im czas na to pozwoli), a potem się niemi dzielić, zostawiając najpiękniejsze części oficerom. Dział ten odbywa się w największym porządku. Oficer przekraczający go, bywa z rozkazu pułkownika rozłożony na dywanie i ukarany po ojcowsku. Zdobycze, których zabrać nie mogą, które im się zdają nie mieć wartości, lub których nie znają użytku, natychmiast uszkadzają lub całkowicie niszczą. Bawi ich, gdy z krzykiem i piskiem rąbią meble, tłuką zwierciadła, puszczają z wiatrem pierzyny, rozsypują mąkę w rynsztoki, lub wyrzucają zboże na stratowanie koniom.

Zawołani ci niszczyciele, zostawiający za sobą popioły i gruzy, pomimo usług jakie oddali Moskalom, byli nieraz przeklinani przez tych, których stanowili awangardę, a którzy za przybyciem na miejsce, gdzie kozacy popasali, nie znaleźli w spustoszeniu pokarmu i schronienia. Zdarzało się, że ciż sami kozacy zmuszeni byli po upływie pewnego czasu powrócić na dawne stanowisko i karmić się szczątkami spleśniałego chleba, który niegdyś powrzucali do kałuży.

Głód, niedostatek najokropniejszy, daje się im często uczuć, lecz ich nie poprawia — zapominają o nim, gdy im się dobrze dzieje.

Trafia się, że szwadrony kozaków uralskich błądzą w pogoni za Kirgizami lub Kokańcami pośród rozległego stepu, gdzie dróg żadnych nie ma, gdzie oko nic nie napotyka, oprócz starożytnych grobowców nieznanych plemion, lub błotnistych jezior, trzciny, i trzęsawisk. Wtedy zwykli kierować się po słońcu i po gwiazdach. Gdy te im nie przyświecają szukają jakiego kurhana lub pagórka i odróżniają na nim zioła, mające własność rosnąć

na pochyłości wystawionej na południe, które im zastępują użytek igły magnesowej. Kierunek wiatrów perjodycznych, tak częstych na pustyni, nie osłoniętej żadnemi górami, służy im także za busolę. Czasami nawet szukają wróżby w ptakach: po ich liczbie, gatunku, locie, świegotaniu, poznają bliskość strumienia, jeziora, trzody lub osady ludzkiej.

Podczas wojny, w zwyczajnym porządnym boju, czatują na stronie i oczekują rozwiązania. Gdy bitwa przegrana, zmykają całym taborem, niekiedy rozsypują się jak stado spłoszonych szpaków, a następnie zbierają się w innem miejscu; — gdy wygrana, upędzają się z wyciem za zwyciężonymi, koląc ich z tyłu pikami.

Na pustych równinach odgrywają zazwyczaj ważną rolę, lecz w krajach zaludnionych, cywilizowanych, uzbrojonych, stają się raczej ciężarem, jak pomocą dla armii czynnej moskiewskiej.

O ile są śmieli na nagich płaszczyznach, będąc z niemi obznajomieni, a gdzie łatwo mogą napędzać drugich i uciekać od nich w razie potrzeby; gdzie więcej ufają swym koniom niźli sobie: o tyle stają się tchórzami, gdy się ich wprowadzi do kraju poprzerzynanego wodami, górami, wąwozami, kanałami. Wtedy głupieją — widzą, że na nic się nie zdadzą ich talenta, ostrożności i wybiegi, z którem od dzieciństwa wzrośli.

Konie ich, przywykłe do ziemi miękkiej, do chwastów grubych i wysokich, jakiemi się pasą w stepie, kiedy im się podoba, a przez to uwalniają jeźdźca od szukania dla nich furażu, dozwalając mu być w bezprzestannej czujności, giną na drogach kamienistych, chorują od trawy delikatnej, nie mogą biedz na wzgórza pokryte krzakami, a tembardziej z nich schodzić, jakoteż przeskakiwać rowy i płoty.

Dobrzy strzelcy, rozstawieni po za drzewami w lasach i w ogrodach, mogą bez trudności wytrzebić przemykających się w około nich kozuniów.

W ogóle mówiąc, dzisiejszy kozak skarłowaciały, jestto jeździec włóczęga, przywykły do robienia interesów. Okiełzawszy jego niesforność, odebrawszy nadzieję łupu, będącą bodźcem jego przebiegłości i hardości, nie pozostanie nic z zalet jego wojskowych. Samo przez się rozumie się, że należy wyłączyć z tego ogólnego pewnika, małą liczbę oświeconych koza-

ków, partych żelazną rękawicą cara, którzy czują swą i swych współbraci niedolę.

Kozaczyzna w Turcyi, pod wodzą hetmana Czajkowskiego (Sadyka Baszy) jest zupełnie co innego. Jest to dzisiaj jedyna zbrojna reprezentacya Polaków za granicą. Ma ona wielką misyę przed sobą, i w każdym dobrze myślącym, zwłaszcza Polaku, poparcie znaleźć powinna.

Czajkowski, mówiąc o sobie, wyrzekł, że myśl marzeń jego młodzieńczych, która z wiekiem wzrosła na święte przykazanie kozacze do wykonania, jest następująca:

1) Rycerską hulaszcznością kozaków, postawić na nogi Polskę.

2) Braterskością Polaków spolszczyć kozaków.

Wielkie zamiary!... lecz kiedyż one wykonane zostaną?...

Pomimo ucisku berła moskiewskiego, Uralcy oprócz niektórych przywilejów, zachowali także pewne zwyczaje. Są oni niemal wszyscy w pokrewieństwie ze sobą. Oficer żeni się z córką prostego kozaka, i wzajemnie. Car nie wydał jeszcze ukazu na ich afekta miłośne. W szczepie tym nie wygasła jeszcze poezya; kobiety wyrażają swe boleści i utrapienia w wierszach nierymowych, które w przeciągłej nucie płaczliwie śpiewają, podobnie jak to czynią Rusini. Widywałem tkliwe ich pożegnania.

Młody kozak, mający rozstać się z rodziną, aby wyruszyć ze szwadronem w daleką drogę, siedział na koniu u wrót chaty, w której się wychował. Przed wrotami stała gromadka jego krewnych, i śpiewała we łzach i szlochach litanię pożegnania. Kozak był nieruchomy, słuchał jej w milczeniu ze spuszczonemi oczyma: i rumak opuścił łeb i uszy, jak gdyby przeczuwał że już nie wróci do tabunu swych czworonogich towarzyszy. Nagle pieśń ucichła, koń i jeździec puścili się cwałem i znikli pośród gaju, ocieniającego gdyby oaza nadbrzeże Uralu.

Gdy miasto Uralsk znajduje się w stanie wyludnienia, z powodu poboru wojskowego, mołodyce kozackie długo się smucą z nieobecności swych mężów; że zaś natura ich nie cierpi czczości, przybywają do koszar na pocieszenie. Jedna z nich śmielsza od innych, wchodzi ukradkiem najpierwsza z gąsiorkiem wódki, podstępuje do zakopconego obrazu ś. Mikołaja, uczepionego wedle zwyczaju na dwóch ścianach w rogu izby, kłania mu się kilkakrotnie z przeżegnaniami, wzdycha i woła:

Hospodi, prosti moje sogreszenje! (Panie, przebacz grzech mój!) Potem odwraca się do żołnierskiej gawiedzi i podnosi gąsior z okrzykiem: hulajem!

Sołdaci znoszą bałałajki bębenki, grzechotki i harmoniki, zaczynają się świsty, wycia i hołupce, i odbywają zaręczyny.

Powoli zakradają się inne niewiasty, każda z tłomoczkiem pod pachą, przeznaczonym w darze dla szczęśliwego śmiertelnika, który ją potem przez wdzięczność obedrze lub wypuści z koszar z popodbijanemi oczyma.

Zdarzają się niekiedy i zabójstwa.

Jedno, dokonane na kobiecie, miało miejsce w koszarach pewnej nocy za mego tam pobytu, w roku 1850; — tej samej nocy dom jej okradziono. Śledztwo ciągnęło się długo; władza moskiewska usiłowała dowieść policyi kozackiej, że trup będąc znaleziony za ścianami koszar, nie wiadomy jest złoczyńca...

Po tym wypadku zabroniono sołdatom przyjmować gości. Ucieszyłem się wielce z tego; odtąd mogłem lepiej rozumieć Schillera, którego dzieła rozpocząłem czytać w czasie bezecnych scen, odbywających się za memi plecami. Sołdatów coraz mniej bywało w sali, bo nie mogąc się weselić u siebie, wymykali się do miasta. Atoli kozacy, nie mogąc ich cierpieć w swych zagrodach, łowili ich, zamykali, a nawet topili.

Powrócił więc niebawem dawny nieporządek, ponowiły się baliki, a władze tolerowały je.

Od tego czasu, pamiętam, kozacy raz tylko schwytali jednego z podoficerów, a zawiązawszy go w worku, położyli nad brzegiem rzeki, wysokim na kilkanaście sążni, podczas twardej jesieni. Przeleżał w worku noc całą, nie mogąc się poruszyć; gdyż nie wiedząc, z której strony koryto, za najmniejszym ruchem mógł stoczyć się do otchłani. Nazajutrz dopiero furgoniści, idący po nad rzeką dla spławu drzewa, znaleźli worek, rozwiązali, i jakież było ich zdziwienie, gdy w miejsce zdobyczy, którą znaleść się spodziewali wyskoczył z worka sołdacik z czerwonym kołnierzem.

Pomimo zepsucia, jakie Moskale zaszczepiają w mieszkańcach Uralska, fanatyzm religijny broni ich od ostatecznej zaguby.

Uralcy, należąc do sekty zakorzeniałych starowierców,

(których ludność dochodzi w Moskwie do 9,000,000 dusz, i coraz się zwiększa, dzięki przedajności urzędników), nie nawidzą wyznawców grecko-moskiewskiej wiary.

Dzielą się oni na dwa stronnictwa: na kozaków cerkiewnych i niecerkiewnych, zwanych bezpopowszczyzną. Pierwsi uczęszczają do kościoła, drudzy odbywają nabożeństwa w kaplicach domowych. Rząd wybudował dla pierwszych wspaniałe cerkwie, których złocone banie i krzyże błyszczą z daleka na cynkowych kopułach. Starowiercy popi odprawiają w nich nabożeństwa wedle swojego obrządku — jestto rodzaj unii, pochlebiający widokom polityki carskiej.

Gdy zaszedłem do takiej cerkwi w dzień świąteczny, pop przysłał do mnie djaka z zapytaniem, czy jestem chrześcianin i do jakiego kościoła należę? Skoro mu rzekłem, że do łacińskiego, zakazano mi żegnać się krzyżem katolickim w ich świątyni.

Starowiercy niecerkiewni, modlący się w kaplicach pokątnych, nie dopuszczają nikogo obcego w czasie nabożeństwa. Wybierają duchownego z pomiędzy siebie. Starowierca, zbiegły z jakiej dalekiej prowincyi od prześladowania za wiarę, dostępuje najczęściej tego zaszczytu. Ukrywają go pomiędzy sobą.

Utrzymują oni, że Antychryst zawładnął cerkwią i że potrzeba unikać wszystkiego co ma z nią związek, aby nie wpaść do matni diabelskiej. Wyrzekają się cerkwi jako diabła i wszystkich spraw jego.

Zbiegostwo, tak upowszechnione w Moskwie i stanowiące, że tak powiem, osobny naród w narodzie, ma tyle tam ponęty dla niektórych plemion, że wchodzi w skład ich obyczajów. I tak np. u Mordwinów, plemienia fińskiego, dziewczyna i kawaler, chcący się połączyć związkiem małżeńskim, proszą o pozwolenie rodziców — ci odmawiają; państwo młodzi nalegają raz drugi i trzeci — rodzice zawsze odmawiają i gniewają się nawet. Państwo młodzi uciekają do najbliższego popa — biorą ślub i wracają do chałupy — rodzice się wtedy cieszą, wyprawiają weselisko, uważając związek za szczęśliwy.

Zbiegi składają nawet osobne sekty, sekty Brodiagów. Ci znowu utrzymują, jakoby Antychryst panował na ziemi w postaci cara. Że zaś walka z nim otwarta jest niemożebną, wedle ich zdania, znajdują więc jedyny sposób ocalenia dusz

swoich od zguby w ucieczce od Antychrysta i jego urzędników I tak, brodiagi przepędzają życie w borach i parowach. W czasie zaś zimy są przechowywani i szczególniej wspierani przez kandydatów do sekty, odbywających we wsiach nowicyat, zanim przyjętymi zostaną za jej członków i zerwą z rodziną, z towarzystwem, aby pójść się błąkać. Gdy którego przedwcześnie śmierć ma zaskoczyć, ostatnia jego wola jest, aby go pochowano w lesie. To się ma znaczyć, że umarł w ucieczce. W ogóle wierzą oni, że Chrystus zmartwychwstał, ale że koczuje, podobnie jak oni, po miejscach niedostępnych, oczekując upadku Antychrysta.

Ubiór kobiet uralskich jest dosyć piękny i poważny. Każda z nich odziewa się w materye jedwabne, które łatwo otrzymuje od karawany Bucharskiej. Najuboższa nawet ma jedwabną szatę na święto. Jestto sarafan, rodzaj tuniki szerokiej kolistej, długiej, z ciężkiej materyi czarnego, białego, purpurowego lub innego koloru. Obszywają go z przodu w podłóż srebrnym lub złotym galonem z takimiż guzikami. Zbliża się podobieństwem do draperyj, jakie widzimy na obrazach świętych. Nie ma rękawów, a nadziewa się jako wierzchnia suknia, na koszulę z szerokiemi muślinowemi rękawami. Uralki krynolin nie noszą, i bardzo im to do talii. Sarafan pani atamanowej ma dziewięć guzików dyamentowych, od szyi do pasa, a poniżej szklanne. Kozaczki arystokratki tańczą polkę, którą do nich wprowadził za mych czasów młody Uralec, powróciwszy z Wilna. Damy przewiązują do tańca rękawy wstążkami, aby nie okrywać nimi kawalera; przepasują się nadto szarfą z kutasami, plecioną ze srebrnej lub złotej lamy.

Zabobony i gusła, pochodzące z religii starowierskiej, są tak upowszechnione pomiędzy mieszkańcami Uralska i jego okolic, zwłaszcza między kobietami, że czynią nieznośnym pobyt u nich.

Przejeżdżając przez pewną wioskę w czasie wielkiego postu, i nie mogąc nic znaleźć na pożywienie oprócz kwasu i chleba, postanowiłem zrobić polowanie na gołębie, których niezliczone stada zasiadały dachy i ulice. Uzbroiwszy się tedy wiechą, zacząłem je strącać z dachów z pomocą towarzysza sołdata. Na widok tego, gromada bab i niedorostków otoczyła nas wołając, że nie godzi się zabijać ducha świętego, i nuż świstać ażeby go

spłoszyć! Pomimo tego, złowiwszy sztuk kilka, przynieśliśmy je na kwaterę. Zgłodniały mój towarzysz zaczął je niebawem paproszyć, a ja rozłożyłem ogień. Gospodyni odmówiła mi sprzedaży masła; gdy zaś spostrzegła, że przyniósłem go skąd inąd i że duchy prażyły się na patelni, uciekła z izby.

Jeden z mych kolegów zebrał w Uralsku trochę pieniędzy na handlu gołębiami. Polował za miastem, za każdym strzałem po kilkanaście zabijając, zwoził je do koszar odzierał z pierza, i przedawał sztukę po pięć kopijek asygnacyjnych (trzy grosze), a pierze osobno.

Uralcy nie jedzą i zajęcy, których jest mnóstwo w stepie, koloru białego, uważając je za zwierzęta nieczyste, jako pochodzące z rodzaju kota. Nie zażywają tabaki ani palą fajki; palacz nie ma wstępu do ich domu. Tytoń jest u nich w obrzydzeniu — zowią go czortowskaja trawa, cybuch zaś lub cygaro, czortowskaja nożka. Niektórzy nie piją także herbaty, z powodu, że pochodzi z krajów niechrześciańskich.

Gdy zaszedłem z psem do chaty, Uralka myła podłogę po mojem wyjściu. Tak dalece byłem przedmiotem jej pogardy, że nie raczyła do mnie mówić; — przyszedłem bowiem ze zwierzęciem, nie bacząc, że w izbie były porozwieszane na ścianach srebrne krzyże i obrazy.

Raz powracając z warty, spragniony nie do wytrzymania pośród upału skwarnego lata, postrzegłem w okienku kozaczkę, która bywała w koszarach. Zbliżyłem się więc do niej z prośbą, o danie mi czaszki wody. Ale jakież było me rozczarowanie, gdy spojrzała na mnie z góry i rzekła, cedząc przez zęby:

— Dać ci czaszkę wody.... a później pić z niej po tobie.... żebyś czaszkę i mię spoganił.

I znikła, zostawiwszy mię z podniesioną głową ku oknu i schnącym od gorąca językiem.

Malcy igrający na ulicy, widząc, że ośmieliłem się rozmawiać z Uralką zaczęli na mnie wołać: sidawka! sidawka! jak to czynić zwykły, przyzywając swe siwe krowy, podobne barwą do mej szynieli.

Uralcy każdego sołdata zowią sidawką, a każdego Moskala i psa poganinem. Przestają raczej z Tatarami i Kirgizami,

swymi sąsiadami, i są dla nich gościnniejsi niżeli dla człowieka w mundurze moskiewskim; oficerów uważają jeszcze jakotako, ale sołdatów, przepraszam za wyrażenie, traktują jak świnie — tak dalece Moskale nie mogą przyjść do reputacyi na Wschodzie! . . .

VII.

BIEGUNY, SEKTA MOSKIEWSKA.

VII.

Mówiąc w rozdziale poprzedzającym o zbiegostwie, nie od rzeczy będzie zamieścić tu ciekawy ustęp na poparcie słów moich.

Wiadomo, że «Ruskij Inwalid» jest dziennikiem urzędowym moskiewskim — przytacza on wszakże opis jednej z bardzo licznych sekt, odszczepionych od urzędowego prawosławia. Jestto sekta «tułaczy» (biegunów, zwanych powszechnie brodiagami).

Podaję tu niemal dosłownie w tłómaczeniu ów opis, jako rzucający światło na wewnętrzne życie Rossyi pod względem wiary, tudzież stósunków spółecznych i towarzyskich:

«Tak zwana sekta «tułaczy» powstała w Rossyi współcześnie z martynizmem i massoń每stwem; ostatnie w wyższych klasach społeczności, pierwszy w prostym narodzie.

Pojawienie się martynizmu i massoństwa, tłumaczy się upadkiem moralności i religii w XVIII wieku; sekty zaś biegunów są skutkiem czysto socyalnych przyczyn: nierówności stanów, poddaństwa, ciężarów wojennej służby.

W rzeczy samej, pierwszymi wyznawcami sekty tułaczy czyli sopiełkowszczyzny (od wsi Sopiełek w gubernii Jarosławskiej) byli zbiegli sołdaci i zbiegli poddani.

Założycielem zaś sekty zbiegów był zbiegły sołdat imieniem Eufemiusz, rodem z miasta Perejasławia, gubernii Włodzimierskiej. Z urodzenia już był odszczepieńcem, i jak się to po większej części między nimi zdarza, umiał czytać i pisać.

Pierwsze wystąpienie jego przypada na początek drugiej połowy XVIII wieku, gdy przybył do Moskwy w celu wykształ-

cenia się u tamecznych odszczepieńców (roskolników). Tam przystał on do sekty filipowców, w praktyce swej nauki sprzyjającej skłonności natury ludzkiej, silnie rozwiniętej u Eufemiusza, mianowicie swobodzie w stósunkach płciowych.

Schwytany w Moskwie przez policyę i odesłany do rodzinnego miasta, oddany został w rekruty, za wyrokiem gminy mieszczańskiej, do której należał. Zresztą nie długo się bawił rzemiosłem wojskowem i uciekł znowu do Moskwy, gdzie przystał do klasztoru zwanego «przeobrażeńskim cmentarzem» i gdzie postrzyżono go na mnicha.

W tej godności udał się on na «Pomorje», do jednej z pustelni sekty filipowskiej. Towarzyszyła mu tam jego kochanka, zbiegła włościanka z gubernii Twerskiej. Eufemiusz rozmyśliwał stać się przełożonym pustelni, do której wstąpił, i uknuł już w tym celu intrygę, aby zmusić dawnego przełożonego do odstąpienia, lecz to mu się nie powiodło.

Znów powrócił do Moskwy, ale niczego dokazać nie zdołał.

Pomimo tego pokazuje się, że Eufemiusz nie był tuzinkowej natury, przynajmniej odznaczał się jednym z przymiotów ludzi nie tuzinkowych: ambicją, pragnąc zająć w roskole nie pospolite miejsce. Lecz jak widać ów ideał Eufemiusza trudny był do urzeczywistnienia środkami mniej więcej legalnemi podług zasad roskołu. Rzucał się w tę i ową stronę, lecz nadaremnie. Być może iż stała mu na przeszkodzie jego ulubiona; a chociaż roskolnicy w ogóle nie są zbyt srogiej moralności, lecz zawsze ludzie chcący wynieść się naprzód, zachowywali pozór. Zresztą, już sam sposób życia wędrowny, przeszkadzał Eufemiuszowi osięgnąć co zamierzył.

Winniśmy tu wspomnieć o przyczynach utworzenia się różnych sekt.

Zdanie o tem wydał p. Weskiński w tak prosty i prawdopodobny sposób, że nie podobna się z nim nie zgodzić. Godne uwagi, iż każda sekta tworzyła się początkowo na zasadach ascetyzmu, to jest: surowego zakonnego życia. Sekta się rozwijała, zbogacała, powstawała wolność obyczajów, sprzeczność żywota z zasadami. Powtarzało się znane wszystkim prawo: że jeden objaw wywoływał w następstwie czasu drugi, będący

w sprzeczności z nim, choć oba objawy bezpośrednio jeden z drugiego wypływały.

Z «pomorstwa» gdy zaczęła się psuć jego prostota, powstały sekty: jedna Filipowszczyzna, druga Fedosiejewszczyzna, które usiłowały naprawić sponiewierane w życiu zasady.

A i z temi ostatniemi toż samo się stało.

Niepowodzenia Eufemiusza, co do wyniesienia się na drodze legalnej (w znaczeniu roskolnickiem), zrodziły w nim myśl założenia oddzielnej sekty. Powód do jej założenia był: odstąpienie filipowszczyzny, fedosiejewszczyzny i innych sekt od surowych prawideł ascetycznych, jakoteż ustępstwa uczynione przez te sekty rządowi i pod względem życia, itd.

Ma się rozumieć, przedewszystkiem trzeba było wystąpić w barwie oskarżyciela roskołu, i ogłosić się za najsurowszego wyznawcę ascetyzmu, nie czyniącego żadnych ustępstw okolicznościom.

Własne doświadczenie wskazywało Eufemiuszowi, jaką sektę założyć.

Temu zbiegowi od kolebki prawie, zrodziła się więc myśl sekty biegunów.

Grunt już od dawna był przygotowany, zbiegostwo istniało jeszcze przed czasem ustanowienia przez Borysa Godunowa prawa poddaństwa (kriepostnego); lecz było tylko objawem niemającym pewnej formy. Eufemiusz mu ją nadał.

W nauce jego nic nie było oryginalnego: ten sam Antychryst, ciż sami słudzy Antychrysta, jak i u wszystkich odszczepieńców! Ani Antychrystowi, ani sługom jego ustępstw czynić nie należy, a trzeba albo wojnę z nim prowadzić, albo zbiedz «do pięknej pustyni». Własność została zniesiona, a postanowiono w niej żyć «jak Bóg da», to jest cudzym kosztem.

Paszportów brać nie wolno w tej sekcie, ponieważ to prowadzi do stosunków z heretykami, z nikonjanami (to jest: carskiej prawosławnej religii). Jużeśmy powiedzieli, że sekta ta była wypływem krytyki starowierstwa, i ma się rozumieć przez to samo, wzbudziła silną polemikę ze strony innych roskolników. Filipowcy nazwali tę nową naukę jeszcze bardziej heretycką niż nikonjańska.

Eufemiusz rozpoczął swoje apostolstwo w Korowińskiej

Słobodzie w gubernii Jarosławskiej, następnie się udał do wsi Małyszewa, oddalonej o cztery wiorsty od Sopiełek. Nowa nauka szczególne uznanie znalazła u tamtejszych starych filipowców i fiedosiejewców, którzy przez tułactwo chcieli odkupić grzechy młodości.

Sekta wzrastała więc w liczbie, czemu sprzyjał szczególny nastrój umysłów w drugiej połowie XVIII wieku, odznaczającej się wojną Pugaczewa, mnóstwem samozwańców, nieustannemi poborami rekrutów, objawami, które wcale nie sprzyjały rozwinięciu osiadłości i stateczności w narodzie rossyjskim.

Po śmierci Eufemiusza, następcą w prowadzeniu sekty była jego kochanka, zamieszkująca w Sopiełkach u włościanina Krajniewa, z którym razem powiększyła liczbę stronników tułactwa.

Nie będziemy tu mówić o innych nauczycielach sekty biegunów, mniej lub więcej zasługujących na uwagę; powiemy tylko to, że z tą sektą powtórzyła się taż sama historya co z innemi, czyli, że później nastąpił zupełny rozbrat pomiędzy uczynkami a zasadami, i jeszcze większy niż w innych sektach.

Wystąpili jej reformatorowie w liczbie których najgłówniejszy był Wasyli Petrow.

Ten nauczał, że prawdziwy chrześcianiu nie powinien brać do rąk pieniędzy, i że żaden tułacz nie ma prawa do posiadania własności; lecz cały swój majątek winien poświęcić na korzyść ogółu.

Ludziom, którzy pragnęli żyć cudzym kosztem, zasada się taka podobała; lecz za to drudzy, posiadający majątki, oceniali ją jak należy.

Pewnego razu kilku tułaczy przyszło na nocleg do bogatego fedosiejewca i zaczęli go werbować do swego bractwa: — Czy mnie przyjmiecie, jeśli przyjdę do was goły?

— A gdzież ty podziejesz swój dom, swoje dostatki? rzekli tułacze.

— A co wam do tego?... Idźcie z kądeście przyszli, nie ja wam jestem potrzebny, lecz pieniądze moje, żeby pohulać cudzym kosztem. Nie — święci apostołowie nie w taki sposób opowiadali ludziom wiarę. Apostół Paweł sam pracował i nauczał: «Kto nie pracuje, ten nie wart pokarmu.»

Kredyt Petrowa wkrótce też upadł dla tego «że był już za-

nadto postępowym dla roskolników.» On uczył, że w każdej sekcie kościoła prawosławnego można zasłużyć na zbawienie, że spowiedź i komunia nie są potrzebne; niepoprawnym obiecywał miłosierdzie boże i odszczepieństwa nie potępiał.

Prócz tego, w jednem dziele, jego czy też którego z jego naśladowców, powiedziane jest: że «wszystkie sakramenta w rzeczy zbawienia są bezużyteczne, ponieważ sam Bóg przy śmierci człowieka przyjmuje spowiedź jego grzechów, obcuje z nim tajnie i oświeca go.»

Sekta tułaczy rozszerzyła się bardzo: przenikła na wschód północ, południo-wschód, w środkowe gubernie Rossyi, a nawet do Syberyi.*)

Na całej tej przestrzeni urządzone były miejsca przytułku i schronienia «dla Chrystusowych ludzi», jak sami siebie nazywać zwykli, z tajnemi wchodami i wyjściami. Urzędownie wiadoma liczba tych przytułków, w samej środkowej Rossyi w r. 1852 dochodziła do 666.

Tajemne ich schowania bywają w jamach, pod schodami, kuframi, szafami, niekiedy za ścianą lub pod podwójnym dachem.

Znajdują się całe wsie, zamieszkałe przez sekciarzy tułactwa, w których wszystkie domy są ze skrytkami, urządzonemi w ten sposób, że skrytka jednego domu łączy się ze skrytkami drugiego, trzeciego itd. a ostatni dom łączy się z ogrodem, polem, brzegiem lasu lub wielką drogą. Tułacz więc ma zawsze zupełną możność ukrycia się.

Jużeśmy mówili o sprzeczności życia tułaczy z ich zasadami. Sprzeczność ta w rzeczy samej rażąca, szczególniej pod względem ascetycznym! Podług ich ustaw, pierwszy grzech prócz surowego postu opłaca się pokutą 10,000 pokłonów, podczas dwudziestu bratnich uczt po pięćset razy przy każdej.

Za grzech w poście 12,500 pokłonów.

Za grzeszenie przez rok cały 50,000 pokłonów.

---

*) W wielu wsiach, mianowicie w Syberyi, gospodynie domów wystawiają na noc za okno naczynia z nabiałem, serem, chlebem, itp. na pożywienie dla podróżnych tułaczy. Przyp. autora.

Tymczasem nigdzie więcej, jak pomiędzy niemi, nie rozwinęła się rozpusta.

Między ich sektą przechowuje się mnóstwo złodziei i łotrów. I z tym rodzajem ludzi, choćby nie byli ich zwolennikami, oni stale przebywają na stopie przyjacielskiej, gdzie można, bronią ich i ochraniają.

Pijaństwo ich dochodzi do ostateczności.

Przyrodzone uczucia miłości do rodzeństwa, nawet do ojca i matki, przytępione w nich są do tego stopnia, iż jedna schwytana tułaczka, młoda dziewczyna, nie zważając na najsilniejsze przekonania i łzy matki uporczywie się jej zapierała *)

W razie niebezpieczeństwa, nawet urojonego, zabić człowieka nic to u tych sekciarzy nieznaczy. Jeden nauczyciel zabił swojego ucznia; dla tego, że się bał, aby z powodu młodości nie wygadał się przed urzędem. «Lepiej niech jeden umrze a wszyscy ocaleją» mówił on przed zabójstwem; a potem z fanatyzmem powtarzał: «ja nie zabiłem go, ale zawiódłem do królestwa niebieskiego — ołtarz na kościach jego wystawię!»...

Tułacze przyjmują wszystkich do siebie, nie wymagając od przybyszów żadnych formalności.

Nowo wstępującego chrzczą w rzece i to zwykle w nocy; — pogrzeby także odbywają się w nocy: zbierają się w mieszkaniu nieboszczyka, ubierają go w świeży całun, tym czasem ich duchowny czyta modlitwy; następnie obwijają ciało w nową rogożę i zakopują w ziemi, latem w gaju lub polu, w zimie zaś w stodołach lub dziedzińcach.

Nabożeństwo tułaczy niczem się nie różni od nabożeństwa filiponów:

Sakramentów mają dwa — chrzest i pokuta; obrazy mają starodawne lub miedziane odlewane przez członków sekty. Stolica jej jest we wsi Sopiełki, o piętnaście wiorst od Jarosławia, leży nad Wołgą i należała dawniej do pana von Mertens; — dziś jej mieszkańcy są swobodnymi rolnikami i rządzą się przez wybranych z grona swego.

---

*) Konwojując często tułaczy z więzienia do sali sądowej, widziałem nie jednokrotnie, jak ci wypierali się własnej rodziny stawionej im do naocznej konfrontacyi. Schwytany «bieglec» zazwyczaj odpowiada w obec urzędników sprawiedliwości, iż nie pamięta miejsca swego urodzenia ani nie zna nikogo ze swych krewnych. (Przyp. antora.)

Prawie wszyscy mają się dobrze — mówi p. Weskiński — choć żadnym wyłącznym przemysłem się nie zajmują, wyjąwszy dwóch lub trzech rodzin handlujących drzewem i zbożem — za to kwitnie między nimi przemysł przechowywania.

Każdy powiat sekty tułaczejześrodkowuje się koło jednej jakiej bądź wsi lub innej miejscowości, która ma przewagę starszeństwa.

Ciekawy ten obraz, przedstawiający nam jednę z sekt, których Moskwa obejmuje secinę w łonie swojem, charakteryzuje nam dobitnie jej wnętrze mało znane, a rozdarte różnicami religijnemi i pojęciami społecznemi.

Na zewnątrz Moskwa wydaje się jednolitym i silnie zmasowanym narodem, w rzeczywistości jest inaczej, — pod całunem niewoli, któr nad nią zawisł, wre w tajemnicy sekciarskie życie i przygotowuje materyały do przewrotu, któremu kiedyś olbrzymie państwo uledz musi.

VIII.

O POSTĘPIE MOSKWY KU INDYOM I CHINOM.

VIII.

Moskwa posuwa się cicho a systematycznie w głąb Azyi średniej — od jeziora Aralskiego ku Indyom, od rzeki Amur (Amur-Daryi) ku Chinom. Ma ona wielkie posłannictwo na Wschodzie, mogłaby tam szerzyć oświatę, gdyby zasadą jej polityki podstępnej nie było jarzmo i niewola.

Oddzielny orenburgski korpus, rozstawiony głównie wzdłuż rzeki Uralu, mający kwaterę sztabu w Orenburgu; jakoteż korpus sybirski, mogący się z tamtym porozumiewać w każdej potrzebie, tytułem sąsiada, są przeznaczone włącznie do utrzymania grobowego porządku na miejscu i do czynienia podbojów w Azyi.

Gubernator orenburgski, Perowski, czynił dwa razy wyprawę ku Chiwie. Do obu wypraw cisnęli się Polacy; jedni w nadziei polepszenia sobie losu, drudzy szukając roztargnienia, a inni niestety — śmierci.

W pierwszej wyprawie zimowej, stracił Perowski swe wojsko wśród zasyp śniegowych i mroźnych uraganów.

Zaiste, dzieje korpusu orenburgskiego są pełne czynów, godnych podziwienia ze strony ziomków naszych.

Jedną z najznakomitszych postaci był w nim bez wątpienia Witkiewicz. Potomek zamożnej rodziny, zesłany do Orenburga w towarzystwie innych Filaretów, między nimi Zana i Suzina, oddał się z zapałem nauce języka tatarskiego i doszedł przez pracę do zrobienia z siebie istnego Tatarzyna, tak pod względem mowy, jakoteż głębokiej znajomości Koranu.

Władza, korzystając z wysokich zdolności młodziana, powierzała mu różne zlecenia do sąsiednich plemion wschodnich. Witkiewicz rósł we wziętość, zwłaszcza z nastaniem Perowskiego, którego się stał ulubieńcem. W końcu wydostał się na obszerniejsze pole działania. Z ogoloną głową, w krymce, przeodziany w szlafrok tatarski, siadłszy na wielbłąda puszczał się w stepy z karawaną Bucharców, zdejmował plany, badał usposobienia Kirgizów niepodległych i rysował portrety ich sułtanów, w chwili, gdy patrząc w księgę Wielkiego Proroka, wykładał im jej znaczenie.

Posłany jako ajent moskiewski do Kabulu, działał tam przeciw Anglikowi, Aleksandrowi Burns, który zginął w wypadkach 1839 roku. Za przybyciem do Petersburga, Witkiewicz zosta obsypany łaskami, ugirlandowany zaszczytami, — gdy nagle gruchnęła wieść, że się zastrzelił.

Różnie różni mówili o przyczynie tego samobójstwa, jest ono dotąd zagadką. Pomiędzy wielu domysłami, słyszałem i to, że zaledwie złożył sprawozdanie rządowi ze swych czynności w Persyi, ujrzał jednocześnie treść onych ogłoszoną w dziennikach angielskich, i że trwoga bycia posądzonym o zdradę, skłoniła go do odebrania sobie życia.

Inni twierdzą, że cała ta sprawa była ukartowaną przez rząd moskiewski, który chciał się pozbyć Witkiewicza, jako zbyt wtajemniczonego w intrygi gabinetu petersburgskiego.

Perowski założył fortecę nad jedną z odnóg morza Kaspijskiego od strony Ayi, w celu zupełnie chybionym; gdyż po kilku latach istnienia uznaną została za niepotrzebną i zniszczoną. Garnizonu do niej dostarczał głównie batalion 1 szy (uralski); co pół roku szła tam kompania. Było to piekło dła żołnierzy. Odosobnienie na pustyni, najniezdrowsza woda, zła strawa, wszystko przyczyniało się do ich biedy. Starszyzna, zwłaszcza komendant, mieli wodę sprowadzoną z Astrachania. Perowski miał zwyczaj, wyjeżdżając w stepy, brać z sobą konserwy, to jest szczelnie zamknięte potrawy w blaszanych puszkach, nie dopuszczających zepsucia przez powietrze. Konserwy te, które się także używają w podróżach morskich, zapisywał on z Anglii.

Ale okropny skorbut grasował między sołdatami, którym zbywało częstokroć na czarnych sucharach. Ci co dożyli chwili

dostania się do głównego szpitalu w Orenburgu, byli połamani, pokurczeni, okryci granatowemi plamami po ciele, z wygniłemi dziąsłami, powykręcanemi przez chorobę rękami i nogami. Skorbut zgładził tam wielu Polaków. Często zdarzało się, że sołdaci, wpadłszy na mieliznę, musieli leźć w wodę i ciągnąć statek wiorst kilka. W dodatku, miejsce wybrane na twierdzę, pełne było niebezpiecznych owadów, jak niedźwiadków, jadowitych pająków itd.

Perowski został usunięty z posady; przyzwano go do Petersburga, a na jego miejsce mianowano Obruczewa. Był to człowiek bez żadnych zalet, stary i szorstki krzykacz. Żona jego, Niemka, sprzyjała dosyć Polakom wygnańcom, za co ją niekiedy gromił. Niemka jednak umiała zawsze wziąść górę nad nim i niejako go okulbaczyć; a z kolei rzeczy nasz kapelan katolicki, ś. p. ksiądz Zielonka, górował nad Niemką.

Obruczew odwiedzał w stepie hordy koczujące podległych Kirgizów, rozdawał ich sułtanom gwiazdy i czerwone szlafroki z galonami na znak godności, wprowadzał do nich chińszczyznę, myślał o nabiciu sobie worka, żadnego kroku naprzód przez lat kilka na Wschodzie nie zrobił; burmistrzował tylko, aż dopóki rząd, znudzony tem wszystkiem, nie przyzwał go do Petersburga w senatory, jak to zwykł czynić ze wszystkimi ustopniowanymi niedołęgami.

Perowski, zawsze ulubieniec cara Mikołaja, a nawet podobno uboczny jego krewny, wygryzłszy z posady Obruczewa, wstąpił powtórnie na gubernatorstwo orenburgskiego kraju, na którem życia dokonał.

Na kilka lat przed zgonem uczynił on drugą wyprawę, tak zwaną chiwińską, w 1853 roku, w porze wiosennej; posunął się zbrojno ku jezioru Aralskiemu, gdzie zdobył za pomocą podkopu warowne miasto kokańskie Ak-meczet, leżące nad dolną częścią rzeki Syr-Daryi, w odległości 500 wiorst od jeziora Aralskiego.

Ak-meczet nazwano od jego nazwiska Fort-Perowski, a jego osobie dano tytuł grafa.

Nie wielu w tej wojnie poległo Polaków; zginął jednak między innymi młody Bielikowicz, syn zacnego obywatela z Białorusi.

Gdy zdobyty Akmeczet oblężony później został przez wypę-

dzonych z niego Kokańców, odznaczył się były oficer wojsk polskich, a następnie jeniec moskiewski z 1831 roku, kapitan Szkup, który ocalił fortecę, i otrzymał za to stopień podpułkownika, a nawet powierzono mu dowództwo pułku kozaków. Zostawiłem go w Orenburgu, spoczywającego na swych wawrzynach.

W roku 1861 Moskwa uczyniła nowy skok w głąb Azyi średniej, do Turkestanu, wzdłuż rzeki Syru (Syr-Daryi) i zdobyła twierdzę Jany-Kurhan w Kokanie. Wyprawę tę zrobiono pod pozorem, że dla obrony mniejszej hordy kirgizkiej, podległej Moskwie, od innych hord Turkestańskich, potrzebowała ona zająć silne stanowisko nad Syr-Daryą, bo Ak- meczet miał być niedostatecznym.

Tak więc Moskwa umocniła swą władzę w punkcie, gdzie się zbiegają gościńce handlowe z całego wnętrza Azyi, i postąpiła ku Indyom.

Ważnym jest dla objaśnienia tego urzędowy raport przewódźcy ostatniej wyprawy, jenerała Bezaka, wystosowany do ministra wojny.

Brzmi on jak następuje:

«Gdy mniejsza horda Kirgiz-Kajsacka złożyła przed 120 laty dobrowolną przysięgę — (?) — na poddaństwo Rosyi, rząd nasz starał się dawać opiekę — (!) — swym poddanym, w tej hordzie zamieszkałym; lecz ważną do tego przeszkodą była okoliczność, że Rossya nie posiadała przez czas długi nad Syr-Daryą ufortyfikowanych punktów oparcia, za pomocą których byłaby w stanie bronienia swych hord koczujących, ciągnących się od ujść Syry, w górę tej rzeki po za Turkestan, który był nawet czas niejaki stolicą hanów kirgizkich. Z tego niedogodnego położenia rząd nasz zaczął wychodzić dopiero przed 15tu laty, poleciwszy jenerałowi Obruczewowi założyć twierdzę nad dolną Syrą; po czem w 1853 r. hrabia Perowski otrzymał rozkaz zdobycia Ak-meczetu (białego meczetu) i usadowienia się tam.

«Wykonawszy to, zawiadomił on piśmiennie władze kokańskie, że jeśli chcą utrzymać pokój z Moskwą, muszą znieść wszystkie swe posterunki od Ak-meczetu do Turkestanu. W skutek tego zniszczoną przez nas została najbliższa od Ak meczetu

twierdza Dżulek; poczem zażądano zniesienia Jany-kurhanu. Przytem hrabia Perowski uprzedził kuszbeka (rządzcę) taszkeńskiego, że jeżeli Kokańcy powezmą zamiar odbudowania zniszczonych lub wzniesienia innych twierdz na przestrzeni powyższej, wówczas zniewolą nas do zdobycia ich siłą oręża.

«Na zawiadomienie hr. Perowskiego nie dano odpowiedzi. Jany-kurhan nietylko nie został zburzony, lecz owszem wzmocniono go (bo się należało!) tak, iż wielkością wyrównywał Akmeczetowi. Czynności te pociągnęły za sobą spodziewane skutki. Mając punkt oparcia w Jany-kurhanie, Kokańcy posyłali często ztamtąd bandy w dół Syry i na drogę karawanową bucharską; przez co szkodzili bardzo naszemu handlowi środkowo-azyatyckiemu i dopuszczali się grabieży i morderstw w aułach uległych nam Kirgizów — (przez zemstę rozpaczy). Dodać tu należy, że w tych ostatnich czasach wszystkie ich wtargnięcia dokonywane były z rozkazu Kanaata, bechlerbeka taszkeńskiego — (To samo dowodzi, że nie bandy działały, ale naród).

«Takie nieprzyjacielskie postępowanie władz kokańskich zniewoliło nasz rząd, dla tem lepszego zasłonięcia z tej strony koczowisk naszych Kirgizów, do wzniesienia o sto wiorst od Fortu-Perowskiego twierdzy Dżulek; w skutek czego istnienie w niedalekiej od niej odległości, mianowicie o 90 wiorst, schronienia dla rozbójników, jakim jest Jany-kurhan, zaczynało stawać się niebezpiecznem dla nowej twierdzy. Okoliczności te zniewoliły mię wyjednać na wiosnę r. b. (1861) pozwolenie cesarza do zdobycia Jany-kurhanu, zburzenia tej twierdzy i pozostawienia jej niezajętą (do jakiegoś czasu!).

«Spełniając najwyższą w tym względzie wolę, oddział nasz, dowodzony przez jenerała-lejtnanta Debu, złożony z 7 oficerów sztabu, 32 ober-oficerów, 1719 żołnierzy i 250 ochotników Kirgizów — (?) — przy 9 działach, oraz 3 lawetach racowych, wymaszerował z Dżuleku 20 września (2. października), a 22go o świcie straż przednia oddziału zajęła pozycyę o półtory wiorsty od Jany-hurhanu.

«Skoro nieprzyjaciel spostrzegł nasze wojsko, począł bębnić i skierował z twierdzy wystrzały, na które odpowiedziały nasze 20tofuntowe granatniki, zająwszy pozycyę w odległości 300 sążni.

«Zbliżając się do Jany-kurhanu, jenerał Debu odkomende-

rował, dla rozpoznania miejscowości, kapitana jeneralnego sztabu Meyera i pułkownika od saperów Sacharowa, z asekuracyą złożoną z 20 kozaków.

«Wkrótce po odejściu Meyera dla wypełnienia danego mu zlecenia, ujrzano oddział 40to-konny Kokańców, zdążający do swej twierdzy. Dla odcięcia go i zasłonięcia kapitana Meyera, wysłano secinę kozaków uralskich; jednocześnie Meyer posunął się ze swą asekuracyą na spotkanie oddziału. Kokańcy, wzięci we dwa ognie, zostaliby wytępieni, gdyby nie ocaliły ich rącze konie, które uniosły ich do twierdzy ze stratą tylko 14tu ludzi. Z naszej strony jeden uradnik i jeden Kirgiz zostali ranieni (historyczny j e d e n, szkoda że nie jeden i pół).

«Z rekonesansu okazało się, że Jany-kurhan ma kształt prostokątny, z frontami długości po 50 sążni, z czterema basztami w rogach i pięcią basztami nad bramami; głębokość fosy 8 stóp, szerokość 3 sążnie; przed wrotami znajduje się przejście w kształcie domku; ściany frontowe mają powycinane dziury dla dział; a baszty oprócz otworów zwyczajnych, strzelnice w murze dla ostrzeliwania z boku fos. Miejscowość naokoło twierdzy równa, lecz poprzecinana suchemi kanałami, z wyjątkiem niewielkiej przestrzeni w stronie północnej, pokrytej małemi pagórkami piaszczystemi.

«Na zasadzie tych danych, jenerał Debu ułożył następujący plan ataku. Pod zasłoną pagórków urządzić bateryę moździerzowe i rozpocząć ogień elewacyjny; a gdyby takowy okazał się nieskutecznym, poprowadzić w nocy przekopy, ile możności najbliżej atakowanego frontu i równolegle doń; a następnie wśród silnego ognia karabinowego, przeszedłszy przy pomocy drabin szturmowych fosę, stanąć koło wałów i za pomocą podkopu zrobić wyłom.

«Dnia 22 września (5. października) o godzinie jedenastej z rana, ściągnął na pozycyę cały oddział. Na przedstawienie poddania się nieprzyjaciołom, otrzymano odpowiedź od ich komendanta, iż nie może tego uczynić prędzej jak za trzy dni, to jest po otrzymaniu rozkazu z Taszkentu. Jenerał kazał tedy rozpocząć ogień elewacyjny. Przed czwartą z południa wszczął się w twierdzy silny pożar, który trwał do nocy. Pomimo tego odpowiadała ona nieustannym ogniem.

«Przed ósmą wieczorem, pułkownik Sacharów, z 200 ludźmi piechoty, pod zasłoną sztucerników, posłany został do założenia przekopu. Zbliżywszy się do twierdzy na 80 sążni, poprowadził przekop prawie równolegle do fosy. Bombardowano noc całą, przyczem pożar wznawiał się dwukrotnie w twierdzy. Nad ranem poprowadzoną została z przekopu do fosy mina, w kierunku do baszty narożnej. Robota owa wywołała ze strony Kokańców wzmocnione, lecz nieregularne strzały. Wnosząc z tego o ich trwodze, jenerał kazał powiększyć ogień elewacyjny; wkrótce zaś potem, ogólny w twierdzy pożar rozszerzył się do tego stopnia, iż wszystkie jej budynki zakrywał gęstym dymem. Dla przeszkodzenia gaszeniu pożaru, jenerał dał rozkaz podwojenia strzałów. Wtedy komendant zawiadomił, iż zgadza się na poddanie wieczorem Jany-kurhanu.

«Otrzymawszy doniesienie o nadciąganiu wojska kokańskiego na odsiecz oblężonym, jenerał zażądał natychmiastowego poddania fortecy, i dał komendantowi pół godziny do namysłu. Wówczas przybył z fortecy Juz-baszy (setnik) z prośbą o pozostawienie załodze broni; co mu zostało odmówionem z pozwoleniem zatrzymania broni tylko komendantowi i trzem oficerom załogi.

«Wyruszyła ona z Jany-kurhanu. Składała się ze 160 ludzi, przy których znajdowało się do 40 kobiet i dzieci. Oprócz tego około 100 ludzi z polecenia komendanta, potrafiło uciec w nocy przed poddaniem się twierdzy. Załodze pozostawiono rzeczy (bardzo o tem wątpię) i dozwolono udać się do Turkestanu. Komendant oświadczył, że gdyby Moskale przypuścili byli szturm, to on poległby ze swoimi w boju; ale granat, który pękł w jego mieszkaniu, położenie załogi do niewytrzymania z powodu silnego dymu, a głównie obawa rychłego wybuchu prochu od przybliżających się płomieni, zmusiły go błagać o politowanie.

«Wyprowadziwszy załogę, stawił się do naszego obozu w celu wyjednania sobie pozwolenia schronienia się wraz z rodziną do Ak-meczetu, mówiąc, że w Kokanie czekałaby go śmierć niechybna za poddanie Jany-kurhanu. Prośba jego wysłuchaną została, i już przybył do naszego fortu.

«Zdobycz naszą stanowią: jeden buńczuk, dwa sztandary

jedenaście małych armat, czterdzieści damaskowych i trzydzieści gładkich strzelb, jeden muszkiet, trzydzieści pałaszy, itd. Prochu znaleziono do 50 pudów, nasypanego w naczynia gliniane i złożonego w dole przysypanym cienką warstwą ziemi.

«Kokańcy, obawiając się wybuchu, wyrzucali naczynia z prochem za mury. Ulice były napełnione zabitemi wielbłądami, końmi i bydłem; sufity zabudowań były gęsto poprzebijane granatami. Kokańców poległych znaleziono tylko czterech, rannych trzech. Tak małą ich stratę należy przypisać temu, że według zwyczaju narodów wschodnich, przy bronieniu twierdzy chowają się do nisz, wewnątrz grubych ścian.

«Przystąpiono do założenia min pod fundamentami Janykurhanu; dnia 25go o świcie wyrzucono go w powietrze, i jest tak zniszczony, że odnowić go nie można, tylko na nowo cały budując — czemu z powodu bliskości naszego garnizonu w Dżuleku, łatwo bardzo przeszkodzić.»

Obecnie i Taszkent, stolica Kokanu, ma już być w rękach ambitnego caratu — tudzież Chiwa.

Taszkent został zdobyty przez Moskali siłą oręża, Chiwa została zmuszoną do zawarcia z Moskwą traktatu.

Niech co chcą prawią Anglicy — Wschód zagrożony!

Moskwa szybko postępuje ku posiadłościom angielskim w Indyach....

IX.

CHANYKÓW W WIĘZIENIU. TARAS SZEWCZENKO.

IX.

Jest rozległy plac w Uralsku — plac wojskowych przeglądów.

Jednę jego stronę zajmują: koszary z kaplicą, dom rządowy dla żon sołdackich, i gromada drewnianych chałup, lepianek i ziemianek, rodzaj osady żołnierskiej, gdzie się osiedlili starzy weterani z rodzinami — jestto Moskwa azyatycka.

Na przeciwko niej, z drugiej strony placu, poczynają się równoległe ulice Uralska, głównej siedziby kozaków.

W pośrodku trzeciej strony sterczy samotnie szary ostróg, otoczony wysokim murem. Z ostrogu wyglądają z za żelaznej furty milczące istoty ludzkie, gdyby dusze czyscowe, gdyby posągi rozpaczy; a opodal na odwachu przechadza się miarowym krokiem straż moskiewska.

Na przeciwko ostrogu piętrzy się wspaniała cerkiew, z błyszczącym od złota na kopule krzyżem — godłem miłości i przebaczenia.

Plac najczęściej jest pusty; z jednej jego linii rzadko kto przechodzi na drugą. Znoszenia się między Kozaczyzną a Moskwą są małe. Zaledwie tam można ujrzeć sołdata, zdążającego na bazar, lub usłyszeć dzwonek na odwachu, zwiastujący przyjazd oficera, albo skrzyp bramy więziennej, przez którą wjeżdża wóz z beczkami napełnionemi wodą, ciągniony przez okutych w kajdany aresztantów.

Okrzyk wart pobudzających się do czujności wyrazem: słuszaj! przerywa milczenie nocy.

Stałem na warcie w korytarzu odwachu, przy drzwiach zamkniętych a zostających pod śledztwem sołdatów. Pałałem chęcią ujrzenia jak najprędzej świeżo przywiezionego z Orenburga za politykę, niejakiego Chanykowa, oczekując rychło powróci z przechadzki, na którą go właśnie wypuszczono.

Chanyków, był to rodowity Moskal, z rodziny znakomitej. Będąc studentem uniwersytetu petersburgskiego, należał do tajnego towarzystwa, zostającego pod kierunkiem radzcy stanu, Pietraszewskiego. Stowarzyszeni, w liczbie 20 młodych ludzi, zostali denuncyowani, okryci pozorem niebezpiecznych spiskowych, i skazani na śmierć w 1849 roku.

Stali już pod pręgierzem w Petersburgu, w śmiertelnych koszulach, gdy zwiastowano im ułaskawienie, jakoby wyjednane dla nich przez następcę tronu. Wsadzono ich więc do kibitek i rozwieziono, jednych do kopalń, drugich w sołdaty, innych do ciężkich robót.

Chanyków, Pleszczejew autor, i trzeci, którego nazwiska pod tę chwilę sobie nie przypominam, popadli do korpusu orenburgskiego. Szapoczników zaś, syn kupca z Moskwy, do taczek w Orenburgu.

Chanykowa przywieziono naprzód z Petersburga do fortecy Orska w orenburgskiej gubernii, zkąd kazał go sprowadzić gubernator Obruczew do Orenburga i oddać pod sąd wojenny, dając za powód uczestnictwo jego w przepiskach, zesłanych do Orska Polaków, których Obruczew wygnał następnie do jednej z najodleglejszych części Syberyi.

Perowski, za wstąpieniem na gubernatorstwo, sprawę Chanykowa przykrócić, a jego samego do Uralska na służbę przenieść rozkazał.

Tułając się z więzienia do więzienia, przybył nakoniec Chanyków na miejsce ostatecznie naznaczone, pod niebytność dowódzcy, majora Michajłowa. Obowiązki ostatniego, pełnił w zastępstwie adjutant, charakteru złośliwego i ograniczonej głowy. Ten, będąc źle uprzedzony o nowoprzybyłym, zaraz na wstępie zaczął mu dokuczać pod różnemi pozorami. Ztąd powstały między nimi spory, w skutek których Chanyków popadł na nowo do aresztu.

W czasie tych sporów znajdowałem się w lazarecie, męczony

trzęsącą febrą, której niemal każdy z Polaków w Uralsku podlega. Adjutant, schlebiający mi od dawna abym mu dawał lekcye języka francuskiego (rozumie się bezpłatne), nie mógł wytrzymać, żeby nie przyjść z żalami na Chanykowa, nazywając go zarazą, fiksatem.

Gdy wyzdrowiałem i byłem na warcie, zajrzałem przez okienko we drzwiach do celi tego więźnia. Uczucie politowania, trwogi i ciekawości objęły mą duszę. Izdebka była pusta, zmrok w niej panował; przez otwór u góry zabielonego i opatrzonego kratami okna, widać było niebo wielkości chustki od nosa. Uderzający w izdebce nieporządek zdawał się usprawiedliwiać na pierwszy rzut oka zdanie adjutanta o nadwerężonym umyśle Chanykowa. Śmiecie pokrywały podłogę. Drewniany tapczan, stojący w kącie, był pełen rozmaitych rupieci; przedmioty zbytkowe i kosztowne stanowiły sprzeczność z brudnemi gratami więziennemi. Na złamanym stołku, stojącym koło tapczanu, wyglądał gliniany dzbanek, niedopalony ogarek łojowej świeczki w wydrążonym kartoflu, jakoteż książka ze złoconemi brzegami. Z pod jasnej jedwabnej kołdry sterczał róg grubego siennika, tureckie pantofle poniewierały się obok sołdackiej siermięgi. Na ścianie były napisane węglem wiersze, których dojrzeć nie mogłem.

Więźnia zwykle zamykano na noc.

Ale otóż i nieszczęśliwy, powracający z przechadzki!

Skłoniłem mu się i otworzyłem drzwi do celi, jakkolwiek byłem w uniformie, z karabinem w ręku. Był on męczennik za swe przekonanie, a istniał na wygnaniu wśród warunków daleko okropniejszych, niźli niejeden z Polaków. Uważany tam przez własnych ziomków za szalonego, wyklętego, znalazł u nich, zaraz za przybyciem, samotność, zniewagę i pogardę. I toż to było lekarstwo na zagojenie głębokich ran serca jego? na ukołysanie smutnych pamiątek przeszłości!...

Pomimo srogiego przykazu niespuszczania oczu z więźnia, nie zajrzałem do niego w ciągu dwugodzinnej warty. Nauczony niegdyś w cytadeli' wiedziałem, o ile świecące, wytrzeszczone oczy wąsatej twarzy sołdackiej, oprawnej w ramki okienka, dały mi się we znaki. Owe oczy, zimne, zuchwałe, nieubłagane, utkwione w ciebie we dnie i w nocy, gdyby dwa sztylety!...

Gdy zeszedłem z postu, poczęstowałem junkra, naczelnika warty, i udałem się w odwiedziny do Chanykowa. Różne tam pomiędzy nami były pogadanki. W całem ułożeniu jego widać było człowieka światowego, a po rozmowie, szlachetnych i wymownych ruchach, mocy słów i rumieńcu, ożywiającym chwilowo zżółkłe jego oblicze, łatwo było poznać, że przyczyną niełaski i prześladowania, których doznał od wyznawców mikołajowskiego systemu, był najwyższy dar Twórcy: zdolności umysłowe.

Ten sam dar boski, poczytany za zbrodnię, stał się.... krew się ścina na to wspomnienie.... przyczyną jego ruiny, rozpaczy, niemal i szaleństwa! A to wszystko dla tego, że jeden despota zabronił jego rozumowi być rozumem!

Mówił o polityce tak wolno, że słuchając go, nastręczała mi się myśl, iż chyba szalony może głosić w podobny sposób swoje zasady w Moskwie. Był on komunista szkoły Furiego; przemieszkiwał myślą w Falansterze, i z rozkoszą wspominał o biesiadach, wydanych na cześć Furiego w Petersburgu.

Czasami zwroty jego były głęboko chrześciańskie, co jednak nie przeszkadzało mu uważać cerkiew za zgniłego trupa, popów za kuglarzy.

Raz dał się słyszeć ze zdaniem, które mię mocno uderzyło:

— Dobrzeby było — rzecze — wprowadzić do Rossyi Wolteryzm. Lud, przyszedłszy do pojęcia że nie ma Boga, powiedziałby sobie, że nie ma i cara.

Major Michajłow, z powrotem do Uralska dowiedziawszy się, że brat Chanykowa zajmował wysoką posadę w Petersburgu, i że jenerał Perowski, który prowadził tam niegdyś śledztwo ze spiskowych, należących do partyi Pietraszewskiego, okazał niejakie względy dla sądzonego Chanykowa, przez przyjaźń dla jego brata, uwolnił go z odwachu i namawiał do zajęcia się służbą wojskową, obiecując prędkie uzyskanie oficerskiego stopnia; — ale wygnaniec, mający wstręt do sołdaczyzny, znękany cierpieniami, wolał ostatnie chwile życia przepędzać raczej w lazarecie, niźli słuchać trąby, bębna, i wyciągać nogi na rozkazy.

Gdy mocno zachorował, major przyzwał felczera i odezwał się do niego:

— Słuchaj zwierzu! Jeśli Chanyków umrze, dostaniesz sto kijów!...

Felczer więc pilnował chorego, dawał mu w oznaczonych godzinach lekarstwa nie sfałszowane, przepisane przez doktora — Chanyków nie umarł. Fizycznie się poprawił, ale jego choroba moralna wzrastała. Objawiała się ona przez obojętność dla świata, zamyślanie się, zaniedbanie, i pewien rodzaj cynizmu i szyderstwa ze wszystkiego.

Wezwano go niespodzianie wieczorem do kancelaryi batalionowej.

Czekałem na niego, i widziałem niosącego z powrotem niebieską kopertę, opatrzoną wielką pieczęcią 3go oddzielenia z Petersburga, do niego wprost zaadresowaną. Zdziwiło mię to nie pomału, wiedząc, że 3cie oddzielenie, o którem mowa, jestto najwyższa komisya szpiegów.

Chanyków powiedział mi, że major nalegał o rozpieczętowanie koperty w swej obecności, czego uczynić odmówił; rzekł mi przytem, że major wielkie robił oczy, mając dowód, iż władze wyższe stolicy moskiewskiej, a jeszcze takie jak trzecie oddzielenie, korespondują z prostym sołdatem, i do tego z przestępcą politycznym; rzecz niesłychana w ich hierarchii wojskowej! Padliśmy na myśl, że uczynione to było rozmyślnie w celu rzucenia ziarna nieufności i podejrzliwości między naczelnikiem i jego podległym.

Wróżyłem, że tajemnicza koperta, to musi być torba łask carskich.

Chanyków rozśmiał się, rozdzierał papierową torebkę na dziedzińcu przy latarni, nucąc pod nosem tę zwrotkę: «Gdyby na tej latarni powiesić ruskiego cara, nierównie byłoby jaśniej!»

Potem zajrzeliśmy chciwie w urzędowy reskrypt, i obadwa zanieśliśmy się od śmiechu, wyczytawszy, że zagadkowa depesza obejmowała tylko drukowany blankiet z wezwaniem jenerała żandarmów Dubelta (tego samego, który głosił na posiedzeniu cenzorów w Petersburgu, że: każdy autor jestto niedźwiedź, którego potrzeba trzymać na łańcuchu). Dubelt wymagał, ażeby Chanyków zapełnił wszystkie kratki blankietu w kwestyach, dotyczących spisku Pietraszewskiego

o którym śledztwo ponowione zostało (ponowione po zapadnięciu wyroku).

Chanyków, tem oburzony, ze zgrozą przybiegł do koszar, chwycił konwulsyjnie za pióro, wielka łza spływała mu po twarzy, zapełnił spiesznie kratki odpowiedziami: nie wiem, nie pamiętam, tego nie było, itd.; a następnie, idąc drogą formalną, odniósł papier majorowi, przez co okazał, że między nim a Orłowem, Dubeltem, i całą żandarmską kompanią, żadne poufałe stosunki nie istniały.

Pomimo tego, major był od tej pory grzeczniejszym dla wygnańca, to jest: omijał go, i nie wypędzał z lazaretu do koszar.

Wkrótce też brat ostatniego, szambelan, członek towarzystwa geograficznego, który przysłużył się krajowi przez zdjęcie planu ze stepów kirgiz-kajsackich, został mianowany gubernatorem cywilnym orenburgskiego kraju, i przybył na rezydencyą do miasta gubernialnego Ufy.

Tak więc, dwóch braci, gubernator i sołdat, zbliżyli się do siebie.

Sołdat napisał list do gubernatora wojennego, Perowskiego, prosząc o dozwolenie pisywania do swego rodzonego brata, gubernatora cywilnego. Perowski przysłał to dozwolenie na ręce majora, z warunkiem, że listy wygnańca mają być przesyłane za pośrednictwem głównego sztabu w Orenburgu.

Nie długo atoli dwaj bracia korzystali z tej upokorzającej łaski.

Chanyków-sołdat, gasnący na zdrowiu, z nadejściem cholery życie zakończył.

Chanyków gubernator żywo uczuł stratę sołdata, i dostał pomięszania zmysłów. Usuniętego z posady widziałem później przejeżdżającego się w powozie w czasie kuracyi, w towarzystwie jakiegoś jenerała, po ulicach Orenburga. Był szczególnie podobny do nieboszczyka, wyraz twarzy miał spokojny i łagodny, lecz oczy obłąkane.

Drugą z najwydatniejszych ofiar despotyzmu, ze współczesnych ze mną wygnańców, był oddany w sołdaty, mało-ruski poeta i znakomity malarz: Taras Szewczenko.

Smutna i straszna, zaiste, biografia tego człowieka.

Poeta urodził się w chłopskiej chałupie, z ojca i matki poddanych — z wyrokiem więc niewoli na całe życie. W ósmym roku życia zmarli mu rodzice, i mały Taras poszedł do diaka uczyć się w szkole jako żak, popychadło. Diak nie wiele uczył, pił bardzo i bił małego okropnie. Kiedy podrósł, skończył z diakiem zemstą i ucieczką.

Chciał się uczyć malarstwa, do którego czuł pociąg wrodzony. Nikt się nie zajął sierotą, i został pokojowym kozaczkiem swego pana; nakładał fajki, siedział cicho w przedpokoju, oczekując na zlecenia.

W częstych podróżach, odbywanych w orszaku pana, uzbierał sobie Taras paczkę rycin różnej wartości, i po nocach kryjomo kopiował je z pilnością. Gdy miał lat ośmnaście, dopiero przekonał się szlachcic, że Taras nie ma dosyć lokajskich zdolności; ulegając więc prośbom, oddał go na naukę mistrzowi cechowemu rozmaitych dzieł malowniczych, tuzinkowych.

Szczęśliwe zdarzenie uwolniło Szewczenkę z poddaństwa.

Pewna bogata dama nim sie zajęła, poznawszy ogromne jego talenta, i dopomagała mu do rozwinięcia onych.

Taras wyszedł na ludowego wieszcza! Każdy Mało-Rusin nuci piosenki jego z zapałem. Ale lira poety, słowo buchające z rozżalonej piersi, były tylko narzędziem myśli innej, wielkiej, rewolucyjnej, lecz fałszywie pojętej.

W 1847 roku, Petrow, syn oficera od żandarmeryi, denuncyował wielu literatów w Kijowie o składanie towarzystwa szkodliwego rządowi. Jakkolwiek denuncyant nie poparł oskarżenia dowodami, literaci skazani zostali na wygnanie. Pomiędzy nimi znajdowali się: Kostomarów, historyk, Kulesz, romansopisarz, i Szewczenko.

Mikołaj, powodowany wyrafinowanem okrucieństwem, kazał zabronić ostatniemu zajmowaniem się na wygnaniu piśmiennictwem i rysowaniem! Jeniuszowi Szewczenki związano więc skrzydła, a jego samego zesłano na gnicie między sołdatami do koszar Orenburga.

Zwierzchność tameczna, mając go w ustawicznem podejrzeniu, postanowiła popchnąć głębiej na pustynie, do fortecy Marszłaku (Nowego-Piotrowska), wystawionej z drugiej strony morza Kaspijskiego; dokąd zaledwie parę razy na rok przybywa statek moskiewski, gdzie na widok żagla okrętowego cała załoga biegnie z krzykiem radości na wybrzeże morskie, oficer w zachwyceniu ściska sołdata, sołdat oficera, gdzie każdy w upojeniu i szale tęsknoty i nadziei, oczekuje ze drżeniem chwili, rychło otrzyma nowiny od swoich.

W roku 1850 Szewczenko przejeżdżał przez Uralsk na nowe, zamorskie wygnanie. Mówiłem z nim długo to o tem, to o owem. Nie lubił Lachów, a niecierpiał Moskali, i bynajmniej się z tem nie taił. Niepodległa Ukraina była celem jego marzeń, rewolucya dążnością; rzecby można, że patrzał na świat przez czerwone okulary.

Silna budowa jego ciała i czerstwość twarzy, zdawały się wróżyć o długiem życiu, tem więcej, że mógł mieć zaledwie około lat trzydziestu kilku. Ale inaczej się stało. Zamorskie wygnanie, brak duchowego pokarmu, brak towarzyszy, cierpiących dla świętej sprawy, były powodem, że oddał się gorzkiemu pijaństwu, popadł w nałóg, a powróciwszy za amnestyą do Petersburga za panowania Aleksandra, w nałogu tym życie zakończył, 1861 roku.

Okropne zestawienie dwóch sprzecznych uczuć — miłości i nienawiści! Siła twórcza i niszcząca, pomięszały się, zlały w jedno w duszy Tarasa, i wykazały o nieszczęśliwem istnieniu. Przywiedzione powyżej szczegóły usprawiedliwiają w nim wiele. Ten ból i niewola, jakiemi od pierwszych dni karmiło się serce poety, i szalona miłość dla dzikich wspomnień kozaczych, wytłómaczą niejedno fałszywe, nienawistne.

W dziele tego autora, pod tytułem: «Hajdamaki», uderza gruba nieświadomość historyi naszej, nienawiść do Lachów; w całym zaś poemacie kilka zaledwie ustępów jaśnieje myślą poczciwszą. Obrazy przerażającej nagości, swawola rozpasana i bezwzględna równość, są ideałami poety; a herszty rzezi humańskiej, przekupieni przez Katarzynę: Gonta, Żeleźniak, bohaterami.

Winienem tu dodać, że imię Rusina Tarasa Szewczenki,

umęczonego przez rząd moskiewski, zostało wyryte przez ten sam rząd (i znowu podobno zatarte) na pomniku nowogrodzkim w liczbie sławnych pisarzy rosyjskich. Nie dostaje tam tylko Bakunina i Herzena.

Dziwna rzecz, jak Moskale lubią mięszać nazwę Rusinów z Rosyanami. Moskwa, zmongolszczona 200to letnią niewolą u Tatarów, nie darmo nazwała się Rossyą dla zaćmienia oczów Europie; tytułem tym myślała ona usprawiedliwić swe najazdy na Ruś i jej święte lasy.

X.

UCIECZKA MIGURSKIEGO.
ŚMIERĆ POD KIJAMJ LEWANDOWSKIEGO.

X.

. . . . Tęsknota!
Czy wy wiecie, o narody,
Którym świeci dola złota,
Ile w jednem słowie takiem
Wre mąk? — Trzeba być Polakiem,
Aby znać czem jest tęsknota!

Któryś z poetów wyrzekł, że wspomnienia są to ptaszki, przyśpiewywujące nam w starości.

Szczęśliwy poeta!

W moich wspomnieniach, o ile zapamiętać mogę, górują trupy, mary, zgorzèliska — a w ciężkich snach widuję dotąd napadających mię Moskali i szamocę się z nimi. Taka jest dola Polaków, co mieli nieszczęście urodzić się pod berłem moskiewskiem.

Niewola sybirska, stała się dla nas niejako żywiołem, podobnie jak cierpienia powołaniem. Tam... ku północy i wschodowi, zdążają karawany nasze, jak do miejsca przeznaczeń swoich. Historya wygnańców jest najżywotniejszą cząstką dziejów krajowych — jestto ofiara i zasługa w obec Boga i ludów, jestto wieniec męczeństwa narodowego.

Syberya, ziemia śnieżnic i lodów, zamieniła się w ognisko spotężnionego życia duchowego pielgrzymów naszych. Tam znoszą oni nieustanny bój — bój ducha z ową najwyższą siłą ziemską, uorganizowaną za pomocą spekulacyjnego rozumu wedle widoków osobistych, dla której nie masz nic świętego, a przed którą truchleją dzikie plemiona azyatyckie.

Nie jeden, nie dziesiąty, ani setny, ginie, i często bez wieści, znudzony długą pracą i mozołem; ale z popiołów jego rodzi się fenix nowy. Ten staje na strażnicy narodowości i głębokich zasad, których poznanie i udoskonalenie jest zadaniem dla człowieka i ludzkości.

Tylko małą liczbę jęków donoszą wschodnie urągany do uszu naszych. Niepodobna jest znać wszystkich tragedyi, które każdodziennie odbywają się na ogromnej scenie ponurej krainy milczenia.

Przychodzą mi w tej chwili na pamięć dwa fakta, które zamieniły się w tradycye miejscowe orenburgskiego kraju, a te są: ucieczka Migurskiego i śmierć pod kijami Lewandowskiego.

Migurski, były emigrant, oddany podobnie jak wielu innych w sołdaty, przybył do Orenburga, gdzie wstąpił w związki małżeńskie z zacną Polką, rodem z Galicyi, która przyjechała za nim. Podała ona prośbę do cesarzowej o wstawienie się za jej mężem, lecz otrzymała odpowiedź, że: «cesarzowa nie wdaje się w takie sprawy». Migurski, pożerany tęsknotą za ojczyzną, starał się o urlop, ale i ten został mu odmówiony.

Patryotyzm dwojga małżonków dochodził do tego stopnia, że skoro im umarło nowonarodzone dziecię, woleli je przez długi czas konserwować w słoju, niżeli zaraz złożyć na cmentarzu moskiewskim.

Migurski zniknął pewnego razu. Było to w Uralsku. Suknie jego znaleziono nad brzegiem rzeki — i powzięto przekonanie że się utopił. Stroskana małżonka chciała powrócić do kraju, lecz upłynęło pół roku, zanim jej nadesłano paszport. Nie koniec na tem — podejrzliwa władza przydała jej w chwili wyjazdu konwój, w osobie kozackiego uradnika, który ją miał doprowadzić przez stepy, pod pozorem straży bezpieczeństwa, do miasta Saratowa.

Puszczono się więc w podróż. Pani Migurska ze służącą jechała we własnym, obszernym i krytym powozie; kozak zajął miejsce przy woźnicy na koźle.

Przejechali spokojnie i szczęśliwie około czterechstu wiorst,

gdy kozak powóz zatrzymał, oświadczając, że dosłyszawszy głos męzki z wnętrza takowego i powziąwszy pewne podejrzenie, zmuszony jest przystąpić do opatrzenia go. Napróżne były przeczenia Migurskiej; powóz w najbliższej wiosce został zrewidowany, zmarłe jej dzieci odgrzebane z grobów, które uwoziła z sobą, wydobyte; — a mąż jej, wydobyty także z ukrycia, okuty w kajdany i oddany za zbiegostwo pod sąd wojenny.

Sprawa ciągnęła się długo i smutny wzięłaby była obrót, gdyby obwinionego nie podciągnięto pod manifest przebaczenia, wydany dla kryminalnych przestępców, z powodu zaszłych podówczas zaślubin następcy tronu.

Migurskiego przeniesiono więc tylko do najodleglejszych batalionów korpusu sybirskiego. Pełna poświęceia żona nie odstępowała go w chwilach najcięższej niedoli, i skoro tylko jej zdrowie i sposobność dozwoliły, udała się za nim do podbiegunowego lądu białych niedźwiedzi. Ale, niestety, choć duch jej oparł się boleści, ciało uległo pod jej ciosem — wkrótce przeniosła się do wieczności.

Migurski zaś ujrzał ziemię rodzinną, drogą łaski, dopiero za Aleksandra II. Stargane już były jego siły, życie było ciągłem konaniem, w Wilnie go dokonał.

Pozostawił on listy swej małżonki, świadczące o wielkości jej archanielskiej duszy.

Co do Lewandowskiego, nie do uwierzenia to historya żywota tego męczennika, i świadcząca o jednem więcej barbarzyństwie, jakich się dopuszczali po wszystkie czasy dygnitarze moskiewscy. Na wspomnienie jej wzdryga się natura ludzka. Kat dokładniejby odemnie skreślił piórem, we krwi zmaczanem, szczegóły morderstwa dopełnionego publicznie, pod zasłoną prawa, na ziomku naszym.

Całą zbrodnią jego było jedno nierozważne słowo; a karą za nie — śmierć pod kijami!

Lewandowski, syn obywatela, oddany w sołdaty do Orenburga, na przywilejach wszakże szlacheckich, mając drobnostkowe zajście ze swym dowódzcą kompanii, został z rozkazu

tegoż odprowadzony do ostrogu i uwięziony. Kazamata była pełna aresztantów: Kirgizów, Tatarów i różnego pochodzenia wyrzutków społeczeństwa. Więzień, nasz rodak, nie mógł ani swobodnie usiąść, ani się położyć; pośród tej ciżby i plugastwa trawił noce bezsenne, — nareszcie poddał się rozpaczy. Na domiar złego, dowódzca kompanii, a jego prześladowca, zostawszy z kolei deżurnym nad wartami, przybył z obowiązku służby do ostrogu, a chcąc nasycić swą zemstę, wszedł do kazamaty gdzie się znajdował Lewandowski i zaczął lżyć biedaka i naigrawać się z niego. Tego było zanadto! Nieszczęśliwy wywiedziony z cierpliwości, rzucił się jak lew na zuchwałego oficera, i tak go poczęstował kułakiem, że ostatni wyleciał za drzwi.

Lewandowskiego oddano pod sąd wojenny za grubijaństwo. Gubernator Perowski zwiedzając ostróg, zapytał więźnia, co było powodem jego gwałtownego uniesienia się? — Znęcano się nademną — odpowie tenże w stanie gorączkowym — i gdyby wasza excellencya był na miejscu sprawcy mego nieszczęścia, urągającego się jeszcze z mej niedoli, nie inaczej bym z nim postąpił. —

W słowach tych Lewandowski wydał wyrok śmierci na siebie.

Dumny z przyrodzenia Perowski wyszedł z ostrogu obrażony i zagniewany.

Nazajutrz o rannej porze, ujrzano za wałami fortecy dwa długie szeregi żołnierzy, stojących w milczeniu, w dwóch liniach równoległych, z oczyma zwróconemi ku bramie miasta. Każdy trzymał kij w miejsce karabina. Pozycya ta wojskowa zowie się po moskiewsku s t r ó j. Na widok «stroju» oczekującego na przybycie delikwenta, tłum widzów zebrał się na stronie. Jenerał oprawca, przysłany przez Perowskiego do ścisłego spełnienia wyroku, przebiegał szeregi, wmawiając w sołdatów, że należy katować L a c h a bez litości.

Kto zna przepisy kodexu karnego dla wojsk moskiewskich, wie dobrze, że każdy z żołnierzy, biczujących ofiarę wleczoną pomiędzy dwoma ich szeregami, nie powinien oddzielać swego łokcia od boku, przez co ręka wielkiego zamachu mieć nie może; że nie powinien także występować nogą z szeregu, i że winien być opatrzonym nie kijem, lecz prętem takiej grubości,

aby ich trzy wlazło do lufy karabinowej. Atoli wiadomo, że w Moskwie prawa istnieją tylko na papierze, dla pozoru. Prawo tam rzeczywiście rządzące, jestto prawo mocniejszego. Nie widziałem, aby w orenburgskim korpusie zachowywano kiedy powyższe przepisy; — biją tam, nie żeby karać, ale mordować.

Otóż i ofiara... wynędzniała cierpieniami... snuje się powoli... jak cień wybladły... z bramy miejskiej, otoczona konwojem najeżonym bagnetami.

Ofiarą jest Lewandowski.

Ziomek nasz na widok uszykowanych w długą ulicę katów, ulicę mąk, którą przebyć musiał, wydał okrzyk; potem przeżegnał się i obnażył swe plecy.

Audytor przeczytał mu wyrok.

Przywiązano mu ręce do karabina, dwaj sołdaci pociągnęli za karabin i powlekli go między szeregi; w bębny uderzono aby zagłuszyć jęki — i grad pałek posypał się z prawej i lewej strony po ciele ofiary.

Mdło mi się robi gdy tę kartę kreślę....

Lewandowski był skazany sądem doraźnym na trzy tysiące razów.

Gdy który z żołnierzy (a byli tam i Polacy) uczuł politowanie na widok krwi po nim ściekającej, i nie śmiąc go uderzyć, dotknął tylko dla zadośćuczynienia formalności, dozorca jenerał czynił mu kredą znak z tyłu na kołnierzu, aby po skończonej egzekucyi mógł go snadniej znaleźć i obiczować za nieposłuszeństwo w biczowaniu bliźniego.

Kilka razy zdawało się, że życie uleciało z ofiary, ale znowu gdy pałka trafiła na świeży nerw, wydobywały się z jej piersi jęki przeraźliwe. Gdy Lewandowski upadał, lekarz podchodził do niego z flaszeczką i przytykał do ust i do nosa; a gdy całkiem z sił opadł i nie mógł się utrzymać na nogach, przywiązano go do przygotowanego na ten cel wózka, i ciągnięto dalej — dopóki nie uderzono na pół martwe i pokaleczone zwłoki razy tyle, ile potrzeba było do zupełnego spełnienia morderczego przykazu.

Czy temu uwierzą za lat sto historycy? czyż owego haniebnego czynu nie poczytają za jaką bajkę krwawo-mitologiczną?...

Wygnańcy byli przytomni egzekucyi. Nie można wyrzec,

czy straszniejsza była boleść tego co zrezygnowany rany odbierał, czy też wyższe, moralne cierpienie świadków, a jego współtowarzyszy!

Posiekane na zrazy ciało ś. p. Lewandowskiego, z wystającemi zeń kośćmi, przywieziono do szpitala i zamknięto w sali aresztanckiej. W ciele jeszcze się duch kołatał. Więźniowie biegli z pomocą nieszczęśliwemu, cucili go i smarowali rany oliwą, aby ulżyć boleści. Ale całe ciało przedstawiało jednę wielką ranę.

Zjawił się nakoniec naczelny doktor, Kołyszko, Polak z Litwy, tchórz nad tchórzami, dotąd może rezydujący w Orenburgu; — lecz nieboszczyk nie potrzebował więcej jego pomocy — już dusza jego uleciała do niebios, zostawiając szatanom ziemską skorupę.

Perowski, zaraz po dokonaniu zabójstwa, poczuł wyrzuty sumienia. Chodziły pogłoski, że wieść o tem dziele doszła aż za granicę, i że Perowski wstydził się swej fatalnej głośności, sławy katorżnika, Herostrata. To pewna, że nic podobnego z jego strony nie powtórzyło się więcej; że owszem, rozmaite donosy na naszych, robione przez wyrodnych kolegów w celu zasługi, były traktowane przez niego nader oględnie, i nie spowodowały przykrych katastrof; że nawet widocznie wspierał naszych przy sposobności, to awansem, to uwolnieniem. Czynił to w ciągu całego dalszego życia, aż do śmierci, jakby przez taką łagodność chciał dawną winę zagładzić. Ja sam doznawałem jego względów.

Cokolwiekbądź, historyczny fakt pozostał faktem, zaprzeczającym twierdzeniom przewrotnych Moskali, że u nich nie ma kary śmierci. Dowodzą oni, że już sto lat minęło, jak kara rzeczona została zniesioną. Filantropi zagraniczni na tę wieść płaczą z radości! Graf Tołstoj tryumfuje w książce swojej! Szczęśliwa, najmiłościwsza Moskwa, ona sama tylko potrafiła pogodzić słabego człowieka z prawem bożém, wtedy, gdy okropny wyraz śmierci panuje jeszcze w bezbożnych kodexach cudzoziemców na Zachodzie!

Precz mi z tą obłudą!!... Tak — nie ma kary śmierci w Moskwie, ale są tortury śmierci!

Nie ma kary śmierci, ale jest wygnanie. Człowiek, przenie-

siony z pod słońca ojczystego nieba, na zimną i ciemną ziemię biegunową, usycha tam i ginie, jak przesadzona roślina, od chłodu i nędzy.

Nie ma kary śmierci, ale jest — degradacya. Kat, łamiący szpadę na głowie tego co przestał uwielbiać carat, gruchoce mu czaszkę, z niechcenia, przypadkiem...

Nie ma kary śmierci, ale jest — oddanie w sołdaty. Młodzian całe życie walczy na przedpiekłu z nędzą, ze spodleniem, i umiera przed śmiercią, zużyty nieustannném oganianiem się od dziczy.

Nie ma śmierci, nie ma już nawet knutów — ale są rózgi. Ze wzrostem monarchii, wzrosły one na grube pałki. Jeźli je ofiara wytrzyma, idzie pokaleczona na resztę dni życia do kopalń sybirskich.

Nie ma, nie ma kary śmierci w Moskwie, ale jest w rządzie — hipokryzya. Jest niewzruszona zasada, nakazująca rządzić jednakowemi ukazami ludy barbarzyńskie i cywilizowane. Jest tam bożyszczem Janus o dwóch obliczach: na twarzy jego zwróconej ku Europie maluje się łagodność, a kto się dobrze wpatrzy, dojrzy w niej i szyderstwo; — z drugiej zaś strony, na twarzy wschodniej, widać prawdziwy wyraz bałwana — wyraz okrucieństwa mongolskiego. Janus moskiewski ma swoje godło, herb sobie właściwy, swój symbol, a tym jest potwór dwugłowy: z brzucha jego wygląda Polska, której strawić nie może....

Nie ma kary śmierci, ale jest po dziś dzień na cmentarzu orenburgskim samotna, ustronna mogiła, usypana dobroczynną ręką. Czarny krzyż rozpina nad nią wyciągnięte ramiona. Niekiedy smętnie zaturka tam gołąbek; tylko puszczyk przerwie nocną ciszę; tylko wygnaniec przyjdzie spocząć i westchnąć na mogile. W bliskości cmentarza słychać o wschodzie i zachodzie słońca przeciągły, przeraźliwy śpiew Tatarzyna, wzywającego z wysokości minaretu wiernych na modlitwę. Na czarnym zaś krzyżu na mogile, nieznana ręka odnawia zawsze jeden i ten sam napis, słowa zbrodni i męczeństwa:

«Pokojnik Lewandowski,
Ubijca Perowski!»

Europa zapisuje wtedy tylko biuletyny wojenne Polaków, gdy ją dochodzi huk dział, gdy przed oczyma jej roztacza się pobojowisko, zalane krwią lub zasypane zgliszczem spalonych miast i dworów. Ale nie widziała ona owych skrytych pobojowisk, w cieniach murów więziennych lub na lodowatych płaszczyznach Sybiru; a stokroć więcej zaprawdę zginęło tam synów Polski, niżeli na wszystkich polach bitew, stoczonych od 1831 roku.

W tem właśnie leży jeden z głównych powodów, które wywołały zbrojne i jawne powstanie obecne. Nad głowami całego żyjącego pokolenia zawisła proskrypcya, całe to pokolenie miało zginąć — taki wyrok zapadł. Zamiast więc zgnić w więzieniu lub zmarnować się na stepie, zamiast konać pod kijem, knutem lub od kuli czerkieskiej, wolą Polacy sprzedać drogo życie swoje i krwią okupić niepodległość ojczyzny. W tamtej walce nie ma zwycięztwa — kto tam zagrzązł, nie powraca; — w tej, pozostaje nadzieja. Wojny cichej jak tamta, nie widziała albo widząc nie pojmowała Europa; ta grzmi jej w uszach szczękiem broni, przyświeca łuną pożarów, dymem pożogi oczy wygryza, wonią krwi świeżej przeraża, i przeświadcza wyczekującą dyplomacyę, że życie Polski samo zwolna nie przygaśnie jako żar pod popiołem.

Z tego stanowiska zapatrując się na wybuch styczniowy, wydawać się on będzie jako ogromny postęp w wojnie z Moskwą. Nie już bowiem same ofiary rusztowania i Sybiru, nie samą bierną oppozycyę jak od lat trzydziestu, stawia nasz naród najzaciętszemu wrogowi, ale ściera się z nim na ostre.

Jest to przedłużenie tylko odwiecznej wojny, przerywanej nie zawieszaniem broni, lecz chwilami znużenia i wypoczynku, a prowadzonej rozlicznym orężem. Czy na polu bitwy, czy w stosunkach życia publicznego w sferze politycznej i socyalnej, walka trwa nieustannie, raz się silniej, to znów słabiej objawiając; raz zaczepna, znów w odporną przechodzi.

Przegraną ona nigdy nie będzie, bo przegraną być nie może — nie ma przegranej dla ostatecznie uciśnionych!... są tylko dla nich krwawe ciernie na stopniach, po których dążą do ołtarza wolności...

XI.

STOJĘ NA WARCIE. — MOJE POGLĄDY.

XI.

Dziś naród cały przedstawia szczytną epopeję męczeństwa. Nie będę się zastanawiał nad życiorysami pojedyńczych ofiar; bowiem bledną one i nikną w obec historyi ogółu. Przytoczę tylko, jako naoczny świadek, pewne fakta, rzucające światło na stosunki i położenia ziomków naszych oddanych w sołdaty. Heroiczna młódź nasza poweźmie ztąd próbkę tego, co ją czekało na wygnaniu, gdyby nie chwyciła za oręż z męztwem Kilińskiego.

Stałem w Uralsku na warcie za miastem u prochowni — mróz dokuczał trzydziestu gradusów — mundur i rzemienie cisnęły mi piersi — ciężki kożuch z baranów sybirskich zrywał ramiona; a ogromne chodaki wypchane słomą, wyglądały na mych nogach jak dwa jaszczyki. Sołdat, mój poprzednik, używał zapewne rękawów od kożucha w miejsce chustki do nosa, gdyż były one pokryte warstwami lodu — nie mogłem zgiąć ręki, w której trzymałem karabin.

Przejeżdżający deżurny oficer postrzegłszy z daleka, że nie prezentuję przed nim broni, zwrócił się z groźbą ku mnie. Na szczęście, oficerem tym był Małorosjanin, praporszczyk Szczerbiński, mój dobry znajomy, który poniósł wiele prześladowań od wyższych zwierzchników za to, że przestawał z Polakami. Rozśmieliśmy się obadwa za zbliżeniem ku sobie. Powiedziałem mu że mroźny uragan wywiał ze mnie wszystkie grzechy, że za pozwoleniem carskiem mógłbym pójść prosto z warty do królestwa niebieskiego.

— O! car miłosierny — odrzekł z ironią — karmi kapuśniakiem, odziewa w barany obrońców ojczyzny, aby nie umarzli na stójkach!

Po tych słowach rozstał się ze mną, rzuciwszy na pożegnanie spojrzenie, w którém zacna młodzieńca przejrzała dusza.

Niezadługo potem w dzwonek na odwachu uderzono, żołnierze wystąpili w szeregi. Mógłem dojrzeć poczciwego praporszczyka, gestykulującego coś pod nosem podoficerowi. Domyśliłem się, że szła rzecz o mnie. Jakoż wkrótce zmieniono mię z postu. Gefrejter oznajmił, jakoby Szczerbinskoj gniewał się, iż powierzono mi, młodzieniaszkowi bez doświadczenia, tak ważne miejsce jak prochownia.

Szlachetny to był gniew politowania.

Z nadejściem nocy, postawiono mię w ocieplonym korytarzu kordygardy. Pozbywszy się cetnarowego, zanieczyszczonego futra i obrzydliwych chodaków, stanąłem, wsparty na karabinie, przy izbie więziennej, oświeconej bladym płomykiem kaganka, przyczepionego do wilgotnej ściany. W więzieniu znajdowało się razem kilkunastu podejrzanych o różne występki wojskowych, prowadzących jakąś dzikohałaśliwą gawędę; a wyziewy, ulatujące przez otwór we drzwiach opatrzony kratą, raziły me powonienie. Zwolna wszystko ucichło; aresztowani usnęli na narach, przyodziani szaremi płaszczami, wyglądając gdyby kupki ziemi; kiedy niekiedy tylko sapanie ich przerywało posępne milczenie.

Godzina pierwsza po północy, uderzyła spiżowym jękiem.

Jeden z więźniów, w plugawej odzieży, podnosi się po cichu i rzuca ponure wejrzenie naokoło siebie, gdyby cień potępieńca. Powstał wreszcie i uczynił kilka znaków krzyża świętego.

Miałażby to być modlitwa pokuty za ciężkie grzechy żywota?...

Po licznych a gęstych przeżegnaniach, szukał on czegoś pod narami, i o dziwy! wydobył ogromny topór i zbliżył się z nim do śgo Mikołaja cudotworcy, zawieszonego pod kagankiem.

Byłem zdumiałym, milczącym świadkiem tej sceny, grobowej, nie spuszczając oka z nocnego indywiduum, w którem z trudnością rozpoznałem niejakiego Pośpiełowa, pisarza ze

sztabu. Promyki światła uwydatniające rysy jego, posępna miejscowość, łachmany, wszystko to czyniło postać jego szkaradną; atoli za bliższém wpatrzeniem się w więźnia, łatwo było poznać, że był to sobie śmiałek, mogący mieć zaledwie lat dwadzieścia kilka, atletycznej budowy ciała; w całej jego powierzchowności wyrażała się krzepkość, silna wola i pogarda niedoli. Zresztą, wyraz twarzy miał dość przyjemny, nie zdradzający bynajmniej wyrzutów sumienia.

Zapalił dwie woskowe świeczki przed obrazkiem, złożył topór na podłodze, ukląkł na nim na oba kolana, i modlił się gorąco, wybijając tysiące pokłonów, zwyczajem grecko-moskiewskim.

Patrząc na niego, myślałem, czy nie jest to przypadkiem lunatyk z rozwartemi oczyma. Ale powstał nagle, zwrócił się ku drzwiom, podstąpił do mnie i rzekł z cicha:

— Otwórz, bo już czas!

— A dokąd? — zapytałem, cofnąwszy się mimowolnie.

— Czy nie wiesz? Bóg da zdobycz!...

— A! — pomyślałem — to nie lunatyk; nabożniś ma na celu jakąś zbrodnię ukartowaną, jakiś rabunek, a widocznie przez pomyłkę, pochodzącą z przemiany mego postu u prochowni, zostałem wcielony do strasznej tajemnicy.

Tak rozumując, odpowiedziałem, że nie otworzę, bo jeszcze nie czas; w skutek czego powrócił on do swej pryczy i legł spokojnie nakrywszy się siermięgą, wyczekując zapewne pożądanego czasu.

Wkrótce też zmieniłem się z warty i postanowiłem, nie dając najmniejszego pozoru, przechadzać się tam i ówdzie i czuwać nad wszystkiem, co się naokoło mnie dziać będzie. Chodziło tu, rozumie się, o me własne bezpieczeństwo, o ratunek od okropnych następstw, którym najpewniej uledz mogłem. Jakoż zauważyłem, że szyldwach, mój następca, wypuścił Pośpiełowa z kazamaty; że drugi szyldwach, stojący na froncie odwachu, zdawał się nie uważać gdy ten przesunął się około niego, udał się ku miastu i znikł w cieniach nocy.

Upłynęła godzina, Pośpiełów nie powracał.

Podoficer wychodząc często na dwór i mrucząc do siebie, dawał oznaki wysokiej niespokojności.

Aliści dwie postacie, obładowane tłómokami, zbliżyły się do aresztu: jedna z nich złożyła swe juki pod ścianą i znikła w odwrocie; druga, w której poznałem Pośpiełowa poznosiła je spiesznie do więziennej celi. Wrzeciądze za nim skrzypnęły i wszystko powróciło do dawnego porządku.

Z kolei rzeczy, zmuszony byłbym za parę godzin znowu stanąć na warcie, a tém samém zasłaniać sobą łupy kradzieży lub rozboju od poszukiwań policyi kozackiej; przypuściwszy zaś, że takowe odkryteby zostały za drzwiami przezemnie strzeżonemi, czekał mię sąd, więzienie, kopalnie, piętno hańby na wieki!

Udałem więc chorego, poprosiłem o zastępstwo, powróciłem do koszar i uczyniłem radę z kolegami. Nauczeni długiém doświadczeniem, świadkowie mnóstwa przerażających scen więziennych, słuchali mego opowiadania dosyć obojętnie, jako rzeczy nie nowej dla nich. Wiedzieli dobrze, że przez donos w tym przedmiocie do zwierzchności oburzyłbym na siebie nietylko wszystkich żołnierzy, ale i deżurnego oficera, odpowiedzialnego za nich, a nawet i dowódzcę batalionu, odpowiedzialnego za podwładnych sobie oficerów. Wiedzieli nadto, że w tym stanie sprawy, nie mogąc dowieść mego oskarżenia, zostałbym skazany na taką karę, jakiej podlegało przestępstwo, o które oskarżałem winowajcę.

Zbrodnia zatem pokrytą została najgłębszém z naszej strony milczeniem.

A niechżeby mi dowiedziono, że zatajeniem zbrodni stałem się jej spólnikiem, to i wtedy czekało mię więzienie i katusze. Tak źle, tak nie dobrze. Oto drażliwe położenie, którego tylko Moskwa dostarczyć może.

Na nieszczęście, zbrodnia się na ten raz nie wydała. Nic później o niej nie słyszałem. Zdaje się, że złodzieje nie mogli sobie wybrać lepszego składu i legowiska, jak w celi więziennej, w domu rządowym, strzeżonym przez ich wspólnika, zowiącego się wartą; a wedle regulaminu warta przedstawia osobę cesarza.

Upłynęło kilka miesięcy od powyższego wypadku, nastąpiła reorganizacya wojska, i naznaczony zostałem do innego plutonu. Zaledwie wchodzę do mego mieszkania, gdy jakiś przed obrazem modlący się skwapliwie na klęczkach obrońca ojczyzny, ta-

muje mi przejście. Spoglądam znienacka na niego, i nie mogę się wstrzymać od wykrzyku: A tuś ptaszku! Był to szczęsny Pośpiełów. Przyjął me powitanie z uśmiechem spokojnym. Wypuszczony z kozy dla braku dowodów, powrócił do służby i zaczął od modlitwy. Chwalebny czyn, który jednak pobudził mię do niektórych zapytań:

— Jakże to — rzekłem — pogodzić modlitwę z toporem?

— A patrzaj, jaki to stary, zakopcony obraz, przed którym się modlę! — odpowiedział.

Są chwile, w których człowiek niedowierza słowom, które słyszy. Wlepiłem wzrok w nabożnisia, sądząc że ma bzika.

— A cóż téż za związek ma obraz z siekierą? — rzekłem dalej.

— Ba! i wielki związek. Co tak na mnie patrzysz?... Gdy się zdobycz nie udaje, gdy kogo łapią, broni się toporem; wszak to rzecz bardzo jasna!

— Jeżeli się zaś kogo zabije?...

— Cóż to znaczy w porówaniu zasługi przed Bogiem, gdy zdobycz się obróci na kupienie nowego obrazu, któremu przez długie lata cały pluton cześć oddawać, i gromnice palić będzie?

Straszna logika! Nieszczęśliwy za cenę krwi potrzebował obrazu w paradnym mundurze.

— Czy na spowiedzi mówisz o wszystkiém popowi? — zapytałem.

— Hum, ostatnią razą powiedziałem długowłosatemu, żem ukradł rogi. O nic więcej nie pytał. Rogi kazał oddać do kogo należą, podrzuciłem je więc otłuczone właścicielowi, wołu zaś co był przy rogach sprzedałem Tatarom.

Tutaj Pośpiełów dał znak, abym odstąpił od niego i nie przeszkadzał modlić się. Przez formę powierzchowną religii zdawał się utrzymywać sumienie w pokoju. Pewna nawet dobroduszność rozlewała się na jego obliczu. Pomimo to wiara jego nieoświecona napełniła mię wstrętem. Zacząłem go unikać, i po niejakim czasie straciłem z oczu i zapomniałem o nim.

W pół roku potem doszły mię słuchy, że będąc w cerkwi zapuścił pobożną rekę po srebrną tabakierkę do kieszeni jakiegoś kupca. Ten był czujny a przytem silny. Posłyszawszy szelest za sobą schwycił za kieszeń, a namacawszy w niej cudzą

rękę, ujął ją mocno i wlokąc złodzieja za sobą, ciągle z ręką w kieszeni, oddał go w ręce sprawiedliwości.

Dowód był oczywisty, Pośpiełów nie mógł się okupić, wytrzymał karę, i poszedł do Syberyi na zaludnienie.

A teraz, panowie audytorzy, wy, którzyście podpisali z najzimniejszą krwią straszliwy wyrok katowania, czy choć jeden z was baczył, że skazując słabe jestestwo za występek, wypadało potępić i zasadę, usposobiającą go do takowego? Czyli, mówię, postało wam w myśli, że w narodzie, gdzie rząd i duchowieństwo narzucają dogmat w miejsce morału, cuda w miejsce rozumowania, obrzędy i ceremonie zamiast czynów cnoty, a odpusty za pieniądze dla zastąpienia skruchy, że w takim narodzie złe wykorzenione być nie może, dopóki zasada złego trwać będzie; ani ohydna śmierć jednego lub stu nieszczęśliwców, ginących z pod pręgierza, nie wywrze zbawiennego przykładu dla innych, popychanych ustawicznie do otchłani zepsucia?

Któż z myślących zaprzeczy, że jedna z głównych przyczyn wad ludowych, jest ciemnota pod względem religii? Jeżeli w którym z narodów chrześciańskich zamieniła się ona w noc czarną, to bez wątpienia w Moskwie. Cerkwie prawosławne niedopuszczają kazań, nauk ani katechizmu, podobnie jak rząd nie dopuszcza oświaty. Cerkwie lękają się ewanielii, podobnie jak mroczny puhacz lęka się dnia słonecznego, by go nie poraził, jak despotyzm lęka się wolności. Pewien rodzaj spowiedzi, odbytej prędko, powierzchownie, jest jednym aktem, przypominającym Moskalowi o jego obowiązkach; i to jeszcze spowiednik nie poleca mu nic nad litanie i posty. To jest wszystko, czego religia grecko-moskiewska nauczyć może swych wyznawców. Wprawdzie zdarza się, że metropolita występuje niekiedy z oracyą w kaplicy dworskiej w Petersburgu; lecz słowa jego są zazwyczaj kadzidłem dla cara, który ich słucha ze spuszczonemi oczyma, a po nabożeństwie całuje rękę kaznodziei na znak wdzięczności. Co jednak nie przeszkadza, aby nazajutrz nie kazał go ochłostać: chaque baron a sa fantaisie!

Nie dziw więc, że w podobnem urządzeniu towarzyskiém ludzie wzrastają w wady i zawiść. Dopóki organizacya pozostanie taką jaką jest, indywidua pozostaną takiemi, jakiemi są. Sącząca się posoka z pod ciemnego, zatęchłego sklepienia ich

budowy społecznej nie przestanie wyradzać morowej zarazy. W zepsutej atmosferze wylęgać się nie przestaną potwory, karły i widma, zawsze jednakowe; imiona ich tylko i skóry, jak na wężach, zmieniać się będą. Przypuściwszy, że jednostkami wypleniane będą, do niczego to wszelakoż dobrego nie doprowadzi, bo zaród ich pokolenia zostanie.

Ażeby zniszczyć całą rodzinę upiorów, potrzeba światła; mało pochodni, mało latarni, trzeba wulkanu — może i iskry piorunu!...

Straszydła znikną w jasności.

Ubolewając nad poniżeniem, w którem gnuśnieją miliony ludu, potrzeba oddać sprawiedliwość oświeconym Moskalom. Jęki ich piersi dochodzą do naszych uszu. Ale są oni spętani przesądami, zabobonem, fanatyzmem, podobnie jak był spętany Gulliwer przez karzełków Liliputów. Pęta olbrzyma były wątłe i słabe jak jego malutcy nieprzyjaciele; lecz wszystkie jego włosy, każdy oddzielne, podczas gdy spał, przyczepiono do ziemi. Olbrzym nie mógł wznieść głowy.

XII.

OPOWIADANIE REKRUTA POLSKIEGO.

XII.

Oto jeszcze jeden, nader charakterystyczny rys, rzucający wydatne światło na okropną dolę ziomków naszych w sołdatach!...

Przytoczę tu opowiadanie jednego Polaka, który był do wojska oddany, aż się w końcu ratował ucieczką: zbiegł do Francyi. (O przygodach jego francuzkie gazety wspominały.)

Był to syn polskiego kapitana, który w legionach jeszcze pod Napoleonem służył, a potem osiadł na wsi w Lubelskiem, pod Moskalem.

Po roku 1831 wzięli Moskale tego kapitana — i nigdy już o nim nikt nie słyszał.

Została żona i chłopiec sierota.

Chłopiec poszedł do szkół do Siedlec. Miał szesnaście lat, kiedy w r. 1848 na wiosnę umówił się z drugiemi dzieciuchami ze szkoły iść do Węgier i pomagać im we wojnie, którą prowadzili z Austryakiem.

Wyszli, ledwo drogę wiedząc, lecz ich zaraz Moskale połapali i do więzienia powsadzali. Zabito przytem kilku, resztę odstawiono do Warszawy na cytadelę.

Słuchano ich i wypytywano, posyłano to do Modlina, to do Warszawy, wszędzie bito i poniewierano; morzono głodem, męczono robotami, bo koniecznie mieli powiedzieć, kto ich namówił, z kim ze starszych zrobili spisek; kiedy dzieciaki same to sobie umyśliły, więc też nic zeznać nie mogły.

Nareszcie w roku 1855 skończono sądy i posłano biednych, głupich a niewinnych chłopców w sołdaty, na Kaukaz, dokąd jednak nie wszyscy doszli.

Otóż tak to jeden z nich opowiada:

»Car Mikołaj umarł; zaczęto mówić o pewnych ułaskawieniach, jakie Aleksander miał udzielić. W skutek nich oznajmiono na Wielkanoc 1855 r., że nie zostaniemy już w fortecy, ale każdy z nas ma się udać na przeznaczenie, jakie mu dekretem sądowym zostało wskazane.

Przybywszy do Brześcia Litewskiego, zachorowałem mocno na febrę; oddano mię do szpitala. Jak tylko ozdrowiałem, włożono na mnie kajdany i odesłano mię pod strażą, w towarzystwie sześciu za różne przestępstwa skazanych, przez Kowel, Łuck, do Żytomierza.

W Żytomierzu zdjęto ze mnie okowy, przyłączono do oddziału żołnierzy, którzy ze szpitalów powychodzili, i odstawiono do Kijowa.

Przeznaczonemu do pułku pełniącego w ówczas służbę w Krymie, dano mi zaraz mundur i odesłano do rezerwy korpusu. Stałem przez zimę w Białej Cerkwi, i dopiero na wiosnę połączyłem się w Berdyczowie z moim pułkiem powracającym z Krymu; a z nim poszedłem do Winnicy.

Od tej chwili poczęło się dla mnie z czynną służbą inne zupełnie życie, pełne niesłychanych, nowych udręczeń:

Przyłączony do kompanii, oddany zostałem pod zarząd diadki i pod władzę bezpośrednią kaprala-instruktora, którzy mię szczegółów służby uczyli, zaczynając od tego, jak mam nazywać wszystkich moich przełożonych, począwszy od nich aż do jenerała, od jenerała do cara, wymieniając każdego po imieniu jego chrzestnem z dodaniem ojcowskiego.

Oprócz tego chodziłem regularnie na musztrę.

Na me nieszczęście, prócz wstrętu jaki miałem do służby, byłem do niej z przyrodzenia niezdolnym, i wiele, bardzo wiele ztąd doznałem cierpień.

Chociaż mój tytuł szlachectwa uwalniał mię od kary cielesnej, choć sami moi przełożeni musieli mówić mi: wy, a nie: ty, to jednak wcale nie przeszkadzało, że się ze mną jak najgorzej obchodzili, że mię znieważali obelżywemi słowy, z których najłagodniejsze było: »bezmozgłyj Polak!« albo też: »Polak Warszawu prospał!«

Zresztą nie zabrakło i kar dozwolonych. Mniejsza jeszcze lekki areszt, a nawet areszt o chlebie i o wodzie; ale kara na-

zwana czasy (godziny), to rzecz okropna! Dają ci trzymać dwa karabiny w pozycyi w ramię broń, drugie dwa kładą ci na ramiona, a na to jeszcze dwa inne w poprzek; napełniają tornister kamieniami, i tak musisz wartować jednę, dwie, a czasem i trzy godziny.

Nogi uginają się pod tobą — ramiona ci martwieją — krew bije do głowy — nic nie pomoże, trzeba stać! a jeżeli opuścisz który karabin, stawiają cię na nowo w tej pozycyi i naszturchawszy cię pięściami, przedłużają karę.

Przywilej mój szlachectwa więcej mi nawet szkodził, niż mię ochraniał, — ściągnął bowiem na mnie szczególną jakąś nienawiść, tak ze strony przełożonych, jak od równych mi w znaczeniu wojskowem, i służył wszystkim za powód do znieważania i prześladowania mnie.

Tych, co mieli prawo rozkazywać, drażniła sama myśl, że tytuł ten łudzący hamował choć na pozór ich nieograniczoną dowolność; — ci zaś, co podobnie jak ja należeli do ostatniego stopnia podwładnych przeznaczonych na cierpienie, nie mogąc sami cierpienia innym zadawać, zamiast litować się nademną i okazywać mi współczucie, patrzyli na mój ucisk z pewnym rodzajem złośliwej radości.

Nie było dla mnie ani sprawiedliwości, ani przychylności, ani braterstwa.

Przekonałem się bardzo prędko, że skarga choć najsłuszniejsza, że najmniejsze użalenie się przed wyższą władzą, powiększały tylko nieszczęścia tego, który pozwolił sobie uczynić je, ściągając nań gniew i zemstę zwierzchnika oskarżonego. Ażeby być wysłuchanym, trzeba było koniecznie kogoś mieć za sobą, ja zaś nie mógłem liczyć na względy niczyje.

Oficerowie spoglądali na mnie z ukosa i nie radzi byli spotykać mię na swej drodze. Podoficerowie, jedyni z wojskowych, z którymi mógłem żyć bliżej, odpychali mię od siebie, bo nie było w mojej mocy poddać się warunkom zupełnego z niemi koleżeństwa. Byłbym musiał podzielić ich gusta, ich sposób życia, a jakiego życia, miły Boże!

Nie znajdując we mnie towarzysza, podoficerowie brali mię czasem za cel swoich grubych rozrywek:

To niby żartując, walili mię pięściami w piersi, co mi aż od-

dech tamowało; to używali względem mnie wyrazów przykrych, aby zmusić mię do odpowiedzi, a potem wyzionąć na mnie obelgi wszelkiego rodzaju, które obrażały wszystko co było świętego w moich uczuciach człowieka i Polaka; albo też zabierali mię z sobą gwałtem, zmuszając, abym był świadkiem ich rozwiozłości.

Z tem wszystkiem, dopóki przełożeni i koledzy nie mieli mi czego zazdrościć, ani czego spodziewać się odemnie, kończyło się zwyczajnie na przykrościach przemijających.

Wkrótce spadła na mnie większa plaga.

Pułk opuścił Podole, udając się na Ukrainę; rozłożono nas w gubernii Kijowskiej. Sztab główny z kancelaryą stanął w mieście obwodowem; mojej kompanii przeznaczono stanowisko w tem samem miasteczku, gdzie był komendant batalionu.

Ja stałem na kwaterze u żyda.

Tuż koło miasteczka był dwór właściciela, który nazwano pałacem, tudzież kościół katolicki.

Panie ze dworu bywając na mszy, widziały mnie często w kościele modlącego się na kolanach, zalanego łzami.

Ciekawe dowiedzieć się, kto jestem, kazały powziąść o mnie wiadomość; poczem wezwany zostałem do dworu, gdzie mię przyjęto z wielką uprzejmością, której pamięć i wdzięczność nigdy mi w sercu nie wygaśnie.

Jedna z pań zażądała, abym opowiedział moją historyą; słuchała jej z rozczuleniem, starała się pocieszyć mię i ofiarowała mi pewną sumę z taką dobrocią, że byłoby, jak mniemałem, niewdzięcznością lub dumą nieprzyjąć jej.

Znajdowałem się zresztą w ostatniej nędzy. Mundur mój był całkiem podarty, koszule porwały się w kawałki; a nawet nie było nadziei dostania z pułku nowego odzienia, bo pod tym względem obchodzono się ze mną w sposób wyjątkowy.

Wyszedłszy wszakże ze dworu, rozmyśliłem się, i powróciwszy oddałem pieniądze zacnej mojej protektorce, dając za przyczynę, że mi się na nic nie przydadzą; gdyż skoro spostrzegą, że je mam, będę musiał powiedzieć, zkąd ich dostałem.

Ta okoliczność mocno zakłopotała szanowną moją dobrodziejkę; szukała środka, jakby trudności pogodzić, nareszcie stanęło na tem, że napisze list do komendanta pułku zawiada-

miając mię, abym się udał do niej po odebranie trzydziestu rubli przysłanych przez osobę nieznajomą.

Plan ten został wykonany, lecz niestety, niezupełnie się udał.

Jak tylko otrzymałem pieniądze, powstała w kompanii wrzawa. Stałem się dla wszystkich osobą wielce interesującą. Komendant wezwał mię do siebie, winszując w tonie po części szyderskim, po części cierpkim, żem został panem, i przestrzegał bardzo poważnie, abym przez czyn jaki nieroztropny nie ubliżył godności mojego szlachectwa. Wypytywał wszelkiemi sposobami o prawdziwe źródło pochodzenia otrzymanych pieniędzy; nareszcie dodał, że ponieważ jestem znany w pałacu, powinienem wyrobić sobie wolność polowania w parku i dostarczyć mu zwierzyny na nadchodzące właśnie święta wielkanocne.

Otrzymałem pozwolenie, i za pomocą dozórcy parku, któremu dałem dwa ruble, zabiwszy sarnę, zająca i bażanta, zaniósłem komendantowi.

Przyjął mię grzecznie i odtąd już pytaniami nie męczył.

Ale wcale inaczej miała się rzecz z przełożonymi mającemi nademną bezpośrednią władzę i z towarzyszami życia codziennego. Wszyscy patrzyli mi w oczy, jak gdyby wymagali lub spodziewali się czego odemnie. Czasem dawali mi do zrozumienia, żem powinien im sprawić ucztę; a czynili to nie bez ukrytych pogróżek.

Nie mając ochoty wdawać się w uczty, coby mię było daleko zawiodło, uznałem za rzecz stósowniejszą, ubrać się przyzwoicie. Sprawiwszy sobie więc czego miałem najniezbędniejszą potrzebę, zostało mi jeszcze siedm rubli w kieszeni.

Pogróżki i prześladowania stawały się tymczasem niebezpieczniejszemi i utyskiwałem na nie pewnego razu przed mą dobrodziejką.

Na me nieszczęście, a może i na szczęście — gdyż Bóg miłosierny tam położył zbawienie, gdzie miała być ma zguba — przyszło na myśl zacnej pani napisać do jenerała korpusnego żaląc się na ucisk jakiego doznawałem i prosząc go, aby mię swoją opieką osłonić raczył.

Jenerał przysłał naganę pułkownikowi i komendantowi.

Tego tylko brakowało, ażeby wszyscy od najwyższego do najniższego, powstali na mnie z największą zaciekłością.

Pewnego razu, niedługo jakoś po świętach wielkanocnych, powróciwszy na kwaterę, spostrzegam zegarek na moim stoliku.

Zkąd się tu wziął? — wcale nie wiem.

Zdziwiony, biorę go i idę do żyda, u którego mieszkałem, z zapytaniem, co to ma znaczyć?...

Widząc mię, zaczął żyd krzyczeć, utrzymując, że mu zegarek ukradłem i że nie mogąc go dłużej ukryć, przychodzę mu go oddać.

Tej samej chwili wchodzi kapral z dwoma sołdatami i bez żadnego tłumaczenia wszyscy trzej wpadają na mnie, przyznając słuszność żydowi.

Po kapralu nadchodzi spiesznie feldwebel, człowiek straszny, po którego posłali, — na samo wspomnienie o nim jeszcze mię dzisiaj dreszcz przejmuje. Pochodził on z dzieci żołnierskich, był srogi dla żołnierzy, niezmordowany w uciskaniu ich i bardzo zręczny w wyłudzaniu ostatniego z biednych grosza; a z tej przyczyny w wielkich łaskach u pułkownika. Wejrzenia dzikiego, niski, przysadzisty; kiedy w napadzie gniewu rzucił się na człowieka wyższego wzrostem, uderzał go tak gwałtownie pięścią w brodę, że mu o mało wszystkich zębów nie powybijał i głowy z ramion nie strącił.

Do dziś dnia jeszcze czuję znaki pięści jego na mej szczęce.

Przyleciał, pieniąc się od złości, nie dał mi ani słowa wymówić i pchnął mię gwałtownie, dając rozkaz sołdatom, aby mię wzięli do aresztu.

Wkrótce potem przyszedł i komendant.

Oczy jego gorzały płomieniem, przygryzał wargi, silił się jednak z początku mówić tonem umiarkowanym.

— To więc tak, mości panie? — rzekł do mnie — z żebraka stałeś się złodziejem; a wszak przestrzegałem, żebyś pamiętał o swojem szlachectwie. Dziś trzeba się już z niem pożegnać!...

Załamując ręce, przysięgałem, żem niewinny.

— Łżesz! krzyknął i wyszedł, zatrząsnąwszy drzwi za sobą.

XIII.

OPOWIADANIE REKRUTA POLSKIEGO.

(Dokończenie.)

XIII.

Nazajutrz, obwinionego o żebractwo i o kradzież, odstawiono mię do miasta obwodowego.

Nie wolno mi było wziąść z sobą ani rzeczy, ani pieniędzy — natomiast włożono mi na plecy tornister naładowany piaskiem, i tak miałem maszerować cztery mile.

Za cienką koszulę, którą udało mi się zachować na sobie i którą ofiarowałem konwojującym mię dozorcom, pozwolili mi wyrzucić piasek z tornistra; sami zaś w najbliższej karczmie koszulę sprzedali i upili się za nią.

Przyszedłszy do miasta, zaprowadzono mię do więzienia, gdzie przybiegł zaraz pułkownik, ogromnym pałający gniewem. Po kilku słowach zaczął mię okładać szpicrutą, powtarzając: »Już po twojem szlachectwie, będziesz biegał przez pałki!...«

Jak tylko odszedł, zostałem przywołany do drugiej izby przed audytora. Ten zapytał mię i słuchał spokojnie mych odpowiedzi, które następnie dyktował pisarzowi jako wywód słowny.

Trwało to przez dni kilka.

Nie wiedziałem już zaprawdę, co się ze mną stanie; czekałem w niepewności, poleciwszy się opiece Boskiej. Było ze mną pięciu innych więźniów, między tymi trzech zbiegów i dwóch służących. Jedenastego dnia, gdy wyprowadzono zbiegów na plac, gdzie mieli biegać przez strój, rozkazano mi udać się za nimi, abym był świadkiem spełnienia na nich sądowego wyroku, i miał zawczasu wyobrażenie tego, co mię czeka.

Zaraz po powrocie moim do więzienia przybył pułkownik, kazał wymierzyć chłostę wzmiankowanym dwom służącym,

a przy tej sposobności rozciągnąć i mnie, obnażonego. Nie wiem, ile mi dano rózg, ale byłem cały we krwi od stóp do głowy — największe cierpienia sprawiały mi uderzenia w łydki. Miała to być jednak tylko próba; chociaż dostałem konwulsyi, oznajmiono mi wieczorem, że nazajutrz mam być przez strój pędzony z całą formalnością prawną.

Byłem przekonany, że nie zniosę kary tej końca — przez całą noc gotowałem się na śmierć...

O siódmej godzinie z rana prosiłem oficera służbowego, żeby mi pozwolił wyspowiadać się. Oficer ów był dość łagodny: patrzył na mnie przez kilka chwil z wyrazem trudnym do określenia, i nie wyrzekłszy ni słowa, zaprowadził mię sam do kościoła, gdzie mię zostawił pod strażą żołnierza.

Znalazłem młodego księdza, przed którym wyspowiadałem się z grzechów całego życia, poczem przedstawiłem mu położenie moje obecne. Głęboko był wzruszony, pobłogosławił mię jak w ostatnią godzinę, niósł słowa pociechy i wlał we mnie choć cokolwiek nadziei. Po modlitwie i komunii zdjąłem mały krzyżyk złoty, który mi matka włożyła na szyję, kiedym jeszcze był w kolebce i zawiesiłem go jako ex voto przed obrazem Najświętszej Panny.

Ksiądz chciał koniecznie towarzyszyć mi do więzienia; wziął on na siebie świadczyć o mojej niewinności, a w razie potrzeby ofiarował iść do gubernatora jeneralnego. Oficer od służby, któregośmy zastali w domu straży wojskowej, powiedział memu spowiednikowi, że nie będę goniony przez strój, ponieważ wedle śledztwa istnieją przeciw mnie tylko podejrzenia, a dowodów nie ma żadnych; że jednak w skutek tych podejrzeń ciążących na mnie, stracę zapewne prawo do awansu.

W kilka dni potem odesłano mię do Kijowa z batalionem strzelców komor celnych.

Z Kijowa zostałem odesłany wprost do mego komendanta-majora.

Jak tylko mię zobaczył: »To ty! a czego tu chcesz?« I kazał mię odprowadzić do kapitana, który także nie chciał o mnie ani wiedzieć, ani słyszeć.

Tak byłem wodzony od jednego do drugiego, aż nakoniec przyszedłszy znów do kapitana, zastałem samego tylko podoficera, który przywitał mię, nazywając złodziejem. Poczem polecił kapralowi, aby mię odesłał na kwaterę, oraz aby miał baczność na mnie i stawił mię nazajutrz na plac musztry, choć byłem ogołocony ze wszystkiego, mając tylko kapotę i próżny tornister.

Ciężkie próby i uciski, przez jakie przechodziłem, wnet się okazały w skutku: tej samej nocy zachorowałem niebezpiecznie, i tu zaczęły się dla mnie nowe męczarnie.

Nie chciano wierzyć, żem był chory.

Musiałem udać się do kancelaryi batalionowej, a nie mogąc iść, upadałem za każdym krokiem; trzech żołnierzy wlekło mię po bruku, kiedy nadjechał poczciwy wieśniak kibitką, a widząc mię w ostatniem osłabieniu, zlitował się nademną i ofiarował zawieść do kancelaryi.

Zastałem tam tylko podoficera, który przyjął mię nowemi obelgami, nie chcąc słyszeć o niczem, i rozkazał, aby mię prowadzono do majora na plac musztry, o kilka wiorst od miasta.

Kapral z kilku żołnierzami pomógłszy mi zejść z kibitki, wlekli mię dalej jak mogli.

Wszedłszy w jednę z ciaśniejszych ulic, położyli mię chwilę na ziemi, abym wypoczął, a sami oddalili się cokolwiek; gdy wtem z domu naprzeciwko wyszła służąca i wyniosła mi filiżankę herbaty, dowiadując się, kto jestem. Wkrótce wyszedł za nią i jej pan w szlafroku i w pantoflach.

Był to kapitan odstawkowy, urodzeniem Polak.

Opowiedziałem mu w krótkich wyrazach me przygody; radził, abym bez straty czasu podał prośbę do jeneralnego gubernatora, księcia Wasilczykowa. Na nieszczęście dozorcy moi nadeszli w tej chwili i rozmowa na tem się skończyła.

Kapitan odstawkowy oddalił się, wsunąwszy mi w rękę pół rubla; kapral zaraz mi go odebrał, utrzymując, że do niego należy; to zaś prawda, że od tego momentu obchodził się ze mną więcej po ludzku.

Gdyśmy przybyli na plac musztry, major odesłał mię do lekarza; ale ten obaczywszy mię, zaczął wołać:

— Kłamiesz, tyś nie chory; tobieby trzeba batów!...

— Czyńcie ze mną co chcecie! zdołałem wymówić, i upadłem omdlały obok drzwi jego.

Wtedy dopiero wysłał służącego, aby mię zawrócić, napisał receptę i odprawił mię na kwaterę.

Wieczór dostałem gorączki i już wcale nie pamiętam, jakim sposobem dostałem się do szpitala.

Gdy po wielu dniach przyszedłem znowu cokolwiek do siebie, a cierpiący i bardzo osłabiony, byłem jak przykuty do łóżka, siadał przy mnie od czasu do czasu stary żołnierz, posługacz w szpitalu i zwykł mawiać:

— Ej! nie dobrze z tobą, pójdziesz na tamten świat. A czyś ty choć pomyślał o zbawieniu twojej pogańskiej duszy?...

Odpowiedziałem mu, żem chrześcianinem.

— Cóż ty za chrześcianin?.. tyś nieochrzczony jak należy... twoje chrześciaństwo jest całkiem pogańskie; a i ty sam jesteś poganinem... zapytaj naszego popa, a obaczysz co ci powie: Ot, daj się ochrzcić na wiarę prawosławną, co jedynie prawdziwa, inaczej będziesz na zawsze zgubiony!

Nie miałem siły odpowiedzieć mu, ale widząc mię w wierze mojej niezachwianym, począł obchodzić się ze mną wyraźnie jak ze psem.

Rad był powtarzać: pies, lach i żyd, to jedno!

Zresztą usiłowania starego weterana w celu nawrócenia mię nie były jedynemi. Jeszcze przed fatalną sprawą z zegarkiem, mój kapitan brał mię czasem po mustrze na stronę i przedstawiał poważnie, że odemnie samego zależy, los sobie poprawić; że gdybym chciał przejść na wiarę grecko-rosyjską, pozyskałbym względy moich przełożonych i szacunek wszystkich; że dostałbym pięćdziesiąt rubli gratyfikacyi i że mógłem nawet spodziewać się prędkiego awansu.

Później, kiedy po wyjściu ze szpitalu chodziłem znowu na musztrę, ten sam kapitan zaczął na nowo swoje apostolstwo, ale obiecywał mi już tylko łagodniejsze obchodzenie się ze mną.

— Będziesz naszym bratem — rzecze — i będziemy obchodzili się z tobą po bratersku.

— Alboż nie jestem waszym bratem w Chrystusie? — odpowiedziałem.

— Nie — odparł — ten tylko jest naszym bratem, kto

uznaje tego samego co i my Boga i tego samego cara. Wasza zaś religia jest schizmatycka, przeciwna Bogu i carowi.

Nie miałem żadnej nadziei, żeby go przekonać; oświadczyłem więc po prostu, że religia moja jest święta i prawdziwa, i że tem samem nigdy się jej nie wyrzeknę.

— O! gdyby była prawdziwa, nie bylibyście się poddali, i ja nie miałbym cię tu pod mojemi rozkazami.

Poczem rozgrzewając się stopniowo, kapitan wpadł w gniew, lżył moją wiarę, mnie, Polaków, i zakończył swą perorę wykrzyknikiem: »Niech cię djabli porwą!«...

Nie spodziewałem się bynajmniej, iżby ma choroba mogła być przyczyną zmiany mojego losu.

Między uczniami medycyny zwiedzającymi szpital wojskowy, byli i rodacy. Miałem tedy sposobność poznać się z nimi, a przez nich nabrałem znajomość z kilku junkrami.

Wkrótce po wydaleniu się ze szpitala, w dniu jakiejś gali dworskiej, przechadzałem się z owymi junkrami po mieście.

Teatra i wszystkie widowiska były dnia tego bezpłatne.

Przechodząc koło jednego z nich i mając wnijść w ulicę uboczną, postrzegliśmy studenta uderzającego laską psa, co się był rzucił na niego.

Tej samej chwili pewien pułkownik, do którego ów pies należał, wpadł na ucznia. Nie mogliśmy dobrze widzieć ani słyszeć, co między nimi zaszło, bo tłum ciekawych zebrał się natychmiast; my zaś nie śmiejąc zbliżyć się, zostaliśmy w pewnem oddaleniu pod murem.

Kilku przechodzących sołdatów zatrzymało się także obok nas.

Skończywszy ze studentem, pułkownik zbliżył się ku nam; wszyscy powitaliśmy go ukłonem. Ale widać, że musiał koniecznie złość swą na kogoś wyzionąć.

— To dopiero teraz, bałwany, zdejmujecie czapki! — wykrzyknął.

Jeden z junkrów odpowiedział, żeśmy go pierwej widzieć nie mogli.

Pułkownik uderzył junkra kułakiem w piersi, mnie zaś i drugich żołnierzy zaczął policzkować.

Krew kipiała w nas.

Wieczorem dwóch junkrów i ja, wszyscy trzej przebrani po cywilnemu, poszliśmy do teatru i tam — cóż było robić ?— oddaliśmy pułkownikowi wet za wet.

Po takim uczynku nie pozostawało nam jak tylko poddać się losowi, albo uciekać jeżeli się uda.

W nocy już nas nie było w Kijowie.

Puściliśmy się w las, nie wiedząc, jak i którędy nas Bóg poprowadzi.

Dzięki jego miłosierdziu, przeprowadził nas szczęśliwie, dostaliśmy się na wolność — i oto jestem!«...

XIV.

ŻYDZI NA WYGNANIU.

XIV.

Lubiłem przechadzać się w Uralsku w dzień piątkowy, o zmierzchu, po dziedzińcu koszar. Przechadzka ta przedstawiała mi obrazy, wyjęte ze wspomnień mojej młodości. Na ustroniu dziedzińca był mały domek (piekarnia wojskowa), zwykle wieczorem pogrążony w ciemności, wyjąwszy w piątek. Wtedy domek jaśniał zdrojem światła, które zdawało się płynąć z jego okien. W chwili, gdy zgiełk koszarowy ucichnął, gdy milczenie nocy usposabiało do marzeń, nagle szmer ludzkich głosów dawał się słyszeć z oświeconego domku. Szmer ten wzmacniał się stopniowo, dopóki nie zabrzmiał okrzykiem boleści, wielkim chórem, gdzie cała wylała się dusza pokutników.

Któż nie słyszał, przejeżdżając podczas szabasu około polskiej karczemki, owych hymnów z Tałmudu, tak przerażających i tęsknych? Hymny te wśród orenburgskiego stepu, odśpiewane piersią wygnańców starozakonnych, doznających codziennie prześladowania za wiarę, są wydatniejsze, pełniejsze, gorętsze, są wzniosłą modlitwą, połączeniem uczucia, myśli i nadziei.

Ilekroć razy im się przysłuchiwałem, zawsze poczułem wezbranie ducha; a choć nie we wszystko wierzyłem, w co Izraelici wierzą, nie mniej jednak od nich żyłem wiarą.

Wygnańcom starozakonnym pozwolono w Uralsku modlić się raz na tydzień, w piekarni poświęconej na bóżnicę. Wygnańcy katoliccy nie mieli kątka, gdzieby mogli schronić się na modlitwę. Ogromna natura była dla nas kościołem.

Lubiłem niekiedy, zbliżywszy się do synagogi rodaków naszych, wpatrywać się w jej wnętrze przez drzwi na pół otwarte.

W pośrodku komnaty stał wielki stół, na którym były porozstawiane trójramienne świeczniki. Pomiędzy temi wznosiły się piramidy z mac ułożone. Siedzący żydkowie naokoło stołu, stanowiącego pewien rodzaj ołtarza, posyłali swe pienia do niebios. Długie ich opończe z czarnego lustrynu, ich twarze żałobne, wszystko tak przystało tułaczom w rozproszeniu! Komnata, wieczerza, śpiewy, odzież, przypominały jakiś rozdział, wyjęty z Genesis.

Żydzi, im więcej są ciśnieni w Moskwie, tem gorliwiej oddają się religii; — jedyny sposób do powstania z upadku, na który ich skazano. Doświadczeńsi, wychowani w Polsce, a zagnani na służbę do karnych batalionów, panują przewagą umysłową nad innymi sołdatami. I w koszarach nie przestają handlować. Głównemi artykułami ich handlu są: szuwaks, szczotki, buty, tytoń, pożyczanie na zastawy i t. d. Mają się z tego dobrze. Dostarczają z pomiędzy siebie najlepszych rzemieślników, mianowicie krawców; tudzież felczerów, pisarzy i rachmistrzów do sztabu. Frontowej służby wprawdzie nienawidzą, wszelakoż ile razy zdarzyło mi się napotkać biegłego w broni gefrejtera, był nim najczęściej żydek, rodem z Pociejowa, z Kozienic, Mohilewa, Grodna lub Mińska. Każdy z nich miewał zazwyczaj swoje prywatne dochody, które od rekrutów pobierał. Byle handel szedł!

Ale, o jakże inny przedstawiają widok owe biedne dzieci izraelickie, których tłumy pochwycono prawie niemowlętami z objęć macierzyńskich i zagnano na pustynię. Przechrzczone na szyzmę, stanowiły i stanowią oddzielne bataliony kantonistów, na całe życie męczenników; wynarodowienie ich zupełne jest głównym celem zwierzchności.

Mikołaj kazał powiedzieć w Rzymie w 1842 roku, że ukaz konfiskaty dóbr kościelnych był wydany w celu lepszego administrowania tychże dóbr na korzyść kościoła; a co do pacholąt pochwyconych w zabranych prowincyach Polski, o czem w całym świecie głoszono, rzekł, że jako biedne i sieroty przytulił je do siebie z miłości chrześciańskiej.

Miłość ta utrzymuje zawsze w trwodze każdą matkę Polkę!

Owe dzieci przytulone marły po drodze, zanim przybyły do kresu podróży. Włościanie znajdowali martwe ich ciała, zka-

wałkiem czarnego chleba w kieszonce. W niedobitkach zaś których wcielono do batalionów, ludność żydowska znikła — pozostali niewolnicy. Każdy z nich, który dożył pełnoletności, został przeniesiony do armii czynnej i dopiero mógł się spotkać ze swymi starszymi braćmi, przybyłymi z Polski sposobem naboru rekruckiego, lub za karę.

Ci ostatni, jakkolwiek sołdaci, zawsze jednak wolni duchem, starają się nawracać wychowańców przeistoczonych; lecz próżna ich praca. Synowie jednej matki stali się dla się cudzoziemcami, zrozumieć się nie mogąc. Nie było podobnej proskrypcyi żydowskiej ludności od upadku Jerozolimy. W roku 1855 widziałem, jak uczono maszerować po stepie oddziały jej niedorostków. Byli to świeżo zaciągnięci. Pokazuje się ztąd, że Polska nie przestawała dostarczać corocznie, różnemi drogami, haraczu dla śmierci.

Dusza cara winna zdać wielki rachunek przed Mojżeszem!... Nawracał on żelazem, błogosławił knutem. Wytępiając jenialną rasę hebrajską, chciał dowieść w obec mas nieoświeconego ludu swej gorliwości chrześciańskiej. »I jakże wątpić — mówiono — że car nie jest pobożny, kiedy męczy tych, co ukrzyżowali Chrystusa?« Słowa: »Ukrzyżowałeś Chrystusa!« dają się często słyszeć w koszarach, gdy powstanie sprzeczka między żołnierzami wyznania grecko-moskiewskiego i mojżeszowego; gdy zaś zajdzie skarga z tego powodu do władzy, starozakonni zawsze przegrywają sprawę. Dobrze się dla nich skończy, jeśli wyjdą z niej obarczeni tylko pośmiewiskiem naczelnika.

W ogóle kantoniści wydają wybornego niewolnika. Skutek to wychowania na typ sołdacki.

Typ sołdacki!... Nikt nie zna go dobrze, kto mu się z bliska nie przypatrzył i długo z sołdatem nie obcował.

W tym wyprężonym automacie, pod jego obliczem marmurowem, odkryć można częstokroć zdrowy rozsądek, czasami nawet uczucie osobistej godności i pogląd jasny na rzeczy, które sobie wprawdzie tłumaczy po swojemu, lecz nie mija się z prawdą. Szczere zdanie swoje wyjawia tylko podobnemu sobie. Nigdzie tyle, ile w koszarach nie można się nasłuchać trafnych dowcipków, tak zwanych skazek, o naczelnikach, sprzedaj-

nych komissyonerach, rozwiązłych popach i t. d., które jednak nie wychodzą po za obręb koszar.

Ale wszystkie te satyry, krytyki, kończą się, gdy przyjdzie mowa o carze. O wszystkie swe cierpienia żołnierz obwinia najbliższych dowódzców — po za nich spryt jego nie sięga. Wedle niego, car nie wie o nadużyciach, bo do Boha wysoko, do cara daleko.

W słowach tych nie trzeba szukać miłości podwładnego dla swego monarchy. Grubo by się pomylił, ktoby o nią posądzał sołdata. Jedyną sprzężą utrzymującą go w karbach posłuszeństwa, jest trwoga. Wmówiono w niego, że wszelka władza od Boga pochodzi, że namiestnik boży, car, kazał słuchać zwierzchników; wykonywa więc ślepo, jak maszyna, rozkazy tych, których po większej części nienawidzi.

Żołnierze moskiewscy wyobrażają sobie w osobie cara jakąś potęgę nadludzką, zamieszkałą w ogromnym grodzie, stolicy świata całego. Po tysiąc razy słyszałem powtarzających, że car nominuje wszystkich królów; że ci mu płacą podatki, a najwięcej z nich Hrancuz (Francuz), chociaż ten się często buntuje; że Chiny nawet należą do białego cara, lecz jak się one zbuntują, to już będzie koniec świata; że po za Chinami są zamorskie kraje, gdzie się rodzą ludzie o jednem oku; że owe kraje i owi ludzie już nie są własnością cara, itd. itd.

Trwoga sołdacka nie jest bynajmniej rodzaj bojaźni, pochodzącej z tchórzostwa. Nie powiadam, że Moskale są całkiem podli; ale jestto wynik wyobraźni, stan człowieka oczarowanego przez siłę, którą sądzi być nieprzezwyciężoną, jak siła przyrodzenia. Żołnierz waleczny w boju przeciw tym, których widzi naprzeciw siebie, ustępuje przed potęgą tajemniczą, z której nie potrafi zdać sobie rachunku; władza wydaje mu się jako niezwalczony fatalizm, wypływający z istoty rzeczy. Ugina się pod ideą, jaką sobie wyrobił o owem niezmiernem cesarstwie, nosi ją, i czuje jej brzemię w komendzie oficerów. Posłuszeństwo jego nie jest tylko powierzchowne, — rzec można, że mieści się w niem pokora religijna.

Wiara sołdata w niewidzialnego cara stanowi potęgę Moskwy.

Ażeby to jaśniej okazać, przytoczę jednę z wielu scen, których byłem aktorem.

Bywa corocznie w wojsku przegląd inspektorski. Zjeżdża zwykle w jesieni na ten cel do batalionów orenburgskich jenerał dywizyi ze swoim adjutantem. Na ten wyłącznie raz dozwala ustawa żołnierzom zanosić ustne, bezpośrednie prośby i zażalenia na nadużycia przełożonych.

W roku 1850, batalion gdzie się znajdowałem, doznał tyle przyciśnień, zdzierstw, kradzieży ze strony majora, że oburzenie powszechne wywołało zmowę (rzecz rzadka w armii moskiewskiej) i postanowiono jednogłośnie zanieść skargę. Oczekiwano więc przeglądu niecierpliwie, rachowano dnie i godziny, z upływem których szmer się powiększał; w ostatniej zaś chwili gdy dano znać o przybyciu do Uralska jenerała, sarkanie żołnierstwa zamieniło się we wrzawę.

Całą noc spać mi nie dano i spoglądałem w milczeniu na kółka spiskowych, odbywających walne rady w kątach sali.

O godzinie trzeciej z rana gefrejterowie przynieśli polecenie feldfebla, aby się odziewać w pełne uniformy. Trudno sobie wyobrazić temu, kto nie służył w wojsku, co to znaczy ów pełny uniform; co on zawiera rzemieni, mosiądzów, juków; cały majątek sołdacki, sztucznie zwinięty, powiązany, który błyszczeć powinien na karku, głowie i ramionach. Cokolwiekbądź, przygotowani od dawnego czasu na paradę, o godzinie czwartej z rana wystąpiliśmy w szyku pod bronią na plac musztry.

O wpół do piątej przybył feldfebel, aby zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Potrzeba było czekać do godziny szóstej na kapitana; o siódmej zaś przyjechał major dowódzca.

Byłem bliskim mdłości. Ból piersi od ścieśnienia mi dokuczał, a rozpiąć się było niepodobna. Widziałem, jak niektórzy w szeregach upadali od znoju i jak odprowadzano ich do lazaretu.

Wtem nadjeżdża jenerał.

— Jak się macie dzieci! — zawołał za przybyciem.

— Zdrowia życzymy waszej przewoschodności! — ozwał się tłum nasz, gdyby mruk stu niedźwiedzi.

W bębny uderzono, w trąbki zadęto, zaczęły się manewry, rozwijania, krzyżowania, polowania na urojonego nieprzyja-

ciela, sygnały i strzały. Obroty wojenne ożywiły mię, chociaż pot występował w perełkach na mundurze. Czekałem końca ciekawy jaki obrót weźmie skarga sołdacka. Lecz zauważywszy wesoły humor jenerała, pomyślałem: pan inspektor coś za bardzo wesół... musiał dostać dobrego kubana... sołdaci przegrają sprawę.

I dziwna rzecz! w tejże samej chwili przypomniał mi się stary kościołek modrzewiowy z plebanią otoczoną sadem, do którego, będąc niegdyś podlotkiem, studencikiem na wakacyach, przez płot przełaziłem, aby księdzu na psotę otrząsać małgorzatki. Szczęśliwa młodość. W każdej życia dobie mile nam ona przyświeca...

Nagle inna myśl, dyplomatyczna, zajaśniała lotem błyskawicy w mej głowie. Jenerał — powiedziałem sobie — musiał się już porozumieć z majorem, bo zwykła rola inspektora w Moskwie jest być kwaśnym i ganić wszystko, a tu przeciwnie się rzecz ma... jenerał i major są więc na dziś przyjaciele... a kapitan Menszów, klin załażący mi za paznogcie, jest wrogiem majora; bywały między nimi spory, nastręcza mi się więc sposobność pozbycia się zwierzchnictwa kapitańskiej mości — dalej do dzieła!

Tak rozumując, oczekiwałem pory i oświadczyłem majorowi, że mam do niego ważną prośbę. Wziął mię na stronę.

Zapytałem, czy mi pozwoli zanieść zażalenie na kapitana.

Spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się, potrząsł głową i rzekł z miną zadowolenia:

— Ty szlachcic, ty możesz.

Właśnie też komenda jeneralska: «Prawe i lewe skrzydło zachodź! podoficery precz na stronę!» rozległa się po placu. Chwila ważna, chwila uroczysta. Zrobiliśmy koło, w pośrodku którego złotem obszyty inspektor (Tołmaczew), obsypany gwiazdami i chrestami, błyszczał jako słońce. Popatrzał na nas trochę, gotując się do wielkiej perory urzędowej, chrząknął, zażył tabaczki i zawołał:

— Dziękuję wam, dzieci, żeście ucieszyli moje jeneralskie serce, wystąpieniem godnem ruskiego sołdata. Kazałem wam dać po czarce wódki. Jedyna rzecz mię zasmuca, mnie, waszego naczelnika, ojca i opiekuna, że są między wami nie-

wdzięczni carowi za to, że ich żywi i odziewa, i że na nieszczęście nadstawiacie im ucha. Ci wolnodumcy, kusiciele, co mają języki bez kości, które mielą bez sensu, mogą w błąd wprowadzić poczciwych sołdatów. A wtedy biada wam, dzieci moje, biada! Sprują starszym szewrony i trzeba będzie na nowo zacząć służbę, pożegnać się z nadzieją obaczenia kiedyś rodziny, rozsypią batalion pomiędzy różne pułki, ćwiczyć będą. Jedni z was wymrą w szpitalach, drudzy na zawsze zostaną zhańbieni czarną notą w wykazie ich służby. Oto, co czeka bezbożników za nieposłuszeństwo władzy! Czy słyszycie?

...Ale może ja się mylę, może was niewinnie posądzam? Daj Boże, żeby tak było! Rabiata, czy was dobrze karmią? czy chleb nie stęchły? czy w kaszy nie ma robaków? czy w kazarmach ciepło? hę? — gadajcie!...

— Tak! — wrzasnęli żołnierze.

Tej odpowiedzi się spodziewałem, jakkolwiek była ona kłamstwem. Sołdat nie da innej orderowemu namiestnikowi cara, jeśli widzi, że taka jest wola ostatniego. Trwoga sołdacka podobna jest do tej, która przejmowała dreszczem Izraelitów na samo imię groźnego Jehowy.

— A czy was nie biją bez śledztwa i sądu? — pytał dalej jenerał.

Milczenie.

— Jeźli którego biją, to pewnie na więcej zasłużył. Komendant ukarze rózgą po ojcowsku, i basta; nie dopuszcza, aby sołdata gnojono w więzieniu i w dodatku pędzono przez pałki między szeregami, jako kryminalistę, publicznie, sromotnie. Wszak prawda dzieci? hę!...

— Tak! — ozwały się tłumy.

— Więc, spodziewam się, nie macie żadnej skargi (żałoby)?

Milczenie.

— A! to tak? Kto ją ma, niechaj wyjdzie natychmiast na środek!

Sołdaci stali nieruchomi gdyby posągi. Nikt się ani nie ruszył.

Sam wystąpiłem.

Tołmaczew zmierzył mię chytrą mordeczką od stóp do głowy, a widząc, żem się nie zmięszał, zawołał:

— Ty Polak?
— Tak, jenerale.
— Szlachcic?
— Tak jest.
— Dawno w służbie?
— Od roku.
— Jeszcześ rekrut. O co prosisz? hę!...
— O przeniesienie mię do innej kompanii.
— Z jakiego powodu?
— Z powodu wymyślań, odgróżek i pomiatań kapitańskich, ubliżających godności wojskowego, godności mojej.
— Ej! co tam z tą godnością... Adjutant! zapisać jego nazwisko — przyzwać komendanta.

Major zadyszany nadbiega, i salutując ręką podniesioną, wyprężony staje.

— Majorze, jak się ten sprawuje? — pyta go inspektor, wytykając mię palcem.
— Bardzo dobrze, jenerale.
— Majorze, możesz odejść! Sołdaci, bądźcie zdrowi! dziękuję wam — już nikt nie ma żadnej pretensyi.

Po tych słowach Jego przewoschodność zawracał się, aby odejść, gdy w tem jakiś młody rekrut występuje niespodzianie. Był to świeżo zaciągnięty żydek. Niedoświadczony a zachęcony moim przykładem, zaczął się nieborak uskarzać, że gdy go uczą maszerować, za każdem podniesieniem nogi instruktor nie pozwala mu jej spuścić, lecz woła: «A co, czy dasz na wódkę?» że tym sposobem wyłudził już od niego wszystkie pieniądze otrzymane od matki przy pożegnaniu; ale że niedowierzając temu, morduje go jeszcze, bijąc szpicrutem, gdy nie może ustać na jednej nodze...

Zażalenie to wywołało zgorszenie ogólne; do tego poczciwy żydek wyrażał się śmiesznie w braku znajomości języka i zastąpił mimiką to, czego powiedzieć nie umiał.

Jenerał kazał zapisać jego nazwiska, a adjutant, satelita jeneralski, pogroził mu palcem. Pierwszy kiwnął ręką na sołdatów; ci wrzasnąwszy hurra! rozsypali się w pary i swobodnym marszem pospieszali do koszar. Ja z nimi.

Nic komiczniejszego nad ów marsz niby swobodny, w którym przebija się cała niewola moskiewskiego żołnierza.

W lewej ręce trzyma karabin, oparty na ramieniu, prawą musi machać do taktu, zgodnie z towarzyszami. Owe poruszające się jednostajnie, machinalnie ręce kilkuset razem ludzi, ów ruch niby wolny a widocznie zmuszony, przedstawia widok śmieszny i przykry zarazem.

W koszarach dano nam owego czasu obiad znośny. Szafliki na zupę były wyskrobane i wymyte. Przy każdym stanęło po dziesięciu żołnierzy, dobywszy z za cholewek drewniane łyżki. Ponalewano w szafliki szczy (kapuśniaku); woń napełniła kuchnię. Główną nowalią, którą spostrzegłem przy tym obiedzie, były oczka pozłoty, pływające po kapuśniaku; — jakoż i mięso nie cuchnęło, a cebry od wody napełniono kwasem na napój, do którego nie szczędzono dorzucić kawałków lodu — wszystko, aby się podobać jaśnie wielmożnemu inspektorowi.

We dwa dni potem przyszedł rozkaz dzienny przeprowadzenia mię do innej kompanii. Instruktora rekrutom zmieniono. Jenerał odjechał.

Ale miejscowy komendant, major Michajłów, o którym już tyle razy wspomniałem, zaledwie się pozbył swego dygnitarza, nie omieszkał wpaść do koszar, aby obaczyć żydka, co nie lubiał stać na jednej nodze.

— A sukinsyn! — zawołał doń piorunującym głosem — jak ty śmiałeś języczyć? Skarzyć umiesz, a guziki masz niewyczyszczone. Gefrejterze, dać mu dwieście kijów i nauczyć polerować guziki!

Żydek zmrużył oczy z przestrachu.

Pochwycono go, odbito coś w nim i powieziono do lazaretu, gdzie życie zakończył. Okropny zgon jego przedstawiał się długi czas mej wyobraźni. Uległ barbarzyńskiej karze, iż poszedł moim śladem! Zżymałem pięści, miotany uczuciem pomsty, zgrzytałem zębami na moję bezsilność!...

Na liście szpitalnej położono napis obok nazwiska zamordowanego: z woli Bożej umarł, rzucono w dół martwe zwłoki, a pustynia stała się dlań grobowcem.

Oto fakt. Moskwa jest szranką wypadków, zdających się nieprawdopodobnemi, tak wiele mieszczą one okropnej prawdy!

Żydzi w Uralsku mogą przynajmniej szukać ulgi w modlitwie, na którą się zbierają, i pocieszać się nawzajem. Katolikom i to zabroniono. Raz tylko na lat kilka dozwalają kapelanowi wydalić się z Orenburga na objazd gubernii. Żydzi obchodzą swoje święta; katolików w czasie świąt używają do ciężkich robót, wyjąwszy tych, którzy obchodzą uroczystości moskiewskie. Wiadomo, że Mikołaj zadał kłamstwo astronomii i matematyce, narzucając stary kalendarz, opuszczony od reszty świata.

Zauważyłem, że w czasie świąt Wielkiejnocy, starozakonnych na wartę nie posyłano. Nie od rzeczy będzie wspomnieć o przyczynie tego, wedle podania, które słyszałem.

Wielkanoc jest obchodzona w Moskwie w sposób nader oryginalny. Zwyczaj nakazuje mieszkańcom składać sobie wtedy życzenia i całować się potrójnie: w usta i policzki. Wielu nie ogranicza się pod tym względem na swoich znajomych, lecz zwraca się w ogóle do młodych kobiet. Dzieje się to pod powagą religii, i najskromniejsza dziewica nie śmie wyłamywać się z pod tego prawidła, chyba że należy do arystokracyi, gdzie obyczaje cudzoziemskie zastępują własne. Cesarz całuje się w pierwsze święto z dworzanami i gwardzistami go otaczającymi. Cesarzowa daje im tylko rękę do pocałowania. Jest w zwyczaju mówić wtedy: «Chrystus zmartwychwstał» i odpowiadać: »Rzeczywiście zmartwychwstał!»

Wieść niesie, że Mikołaj, przejeżdżając przez ulice swej stolicy, zawołał do stojącego na posterunku żołnierza: «Chrystus zmartwychwstał!» a żołnierz mu odpowiedział, że to szkaradne kłamstwo. Okazało się, że był to żyd polski. Car wydał ukaz niestawiania odtąd starozakonnych na warcie podczas Wielkiejnocy.

XV

BIBLIA ZAARESZTOWANA.

XV.

Wcielony do nowej kompanii (roty) z rozkazu jenerała inspektora, przepędzałem długie noce zimowe na tłumaczeniu z języka francuskiego Rozbioru Pisma Śgo., dzieła, które mi nadesłano z kraju na ręce jednego z zaufanych praporszczyków. Obszerna ta praca zapewniała mi dochód na zaspokojenie ograniczonych mych potrzeb i na wkładanie pewnej kwoty do kasy tak zwanego podatku postępowego (w stosunku do dochodów), przeznaczonego przez wygnańców na wsparcie świeżo przybywających z kraju, a wynędzniałych długą podróżą ziomków.

Skoro żołnierstwo, ujęte snem, chrapać zaczynało, ja usadowiwszy się przy stołku w rogu izby i zapaliwszy świeczkę, oddawałem się spokojnie pracy literackiej.

Tak upłynęło parę tygodni, żadna przeszkoda w mem zatrudnieniu nie zaszła.

Pewnego razu słyszę jakiś złowróżby szelest, odbywający się za ścianami, zmięszany z niewyraźnym chrzęstem zbroi. Nadstawiam pilnie ucha, gdy w tem wpada policya kozacka, w gronie jej członków poznaję i mych najbliższych naczelników: kapitana i majora; wydzierają mi papiery i książki z pod nosa, wiążą je szpagatem, kładą na paczce dwie pieczęci: kozacką i batalionową; mnie zaś odsyłają pod konwojem na odwach.

Wszystko to stało się w okamgnieniu. Nie miałem czasu wyjść ze zdumienia na taką nagłość.

Na odwachu przepędziłem w ciemnicy może godzinę, gdy zjawił się do mnie major Michajłow. Zamknąwszy drzwi za sobą starannie, postawiwszy latarkę na oknie i obejrzawszy się

dokoła, zbliżył się ku mnie. Niezwyczajna jego bladość, głos drżący i ton mowy łagodniejszy niż był zwykle, tak dziwną stanowiący sprzeczność z ruchami gorączkowemi i całą postacią, wzbudziły we mnie rodzaj niepokoju; ale nie poczuwając się do niczego, nie traciłem odwagi.

Rozmowa nasza była następująca, niemal co do słowa:

— Wyznaj szczerze — rzecze do mnie — póki czas jeszcze, póki rzecz nie odeszlą do głównego sztabu, pókiby jeszcze można o ile się da zaradzić złemu, co mieszczą twoje nocne bazgroty?

— Jakie bazgroty, panie majorze?

— Nie bełtaj mi tu naprózno! Nie ma minuty do stracenia. Chcesz siebie i mnie zgubić!... Gadaj otwarcie... Donos jest w Orenburgu... gadaj prawdę, szczerą prawdę; a obaczymy co można będzie w tym przypadku poradzić; — jedno słowo kłamstwa — zginąłeś!

— To co się podoba panu majorowi nazywać bazgrotami, jest Biblia, Pismo Święte, którego rozbiór tłumaczyłem z francuzkiego.

— Łżesz, łżesz, Biblia nie potrzebuje żadnego rozbioru. Co ty tu obracasz wilka ogonem!

— Daję majorowi słowo honoru, że mówię prawdę.

— Czy najświętsze słowo?

— Najświętsze.

— Że mówisz rzeczywistą prawdę?

— Jak najrzeczywistszą.

Michajłow nieco się udobruchał i zadumał.

— To oni duraki — rzecze dalej — Biblią zaaresztowali.

— Nie inaczej, panie majorze. Bezbożnicy!...

— Odkryję ja donoszczyka... ale mu też zadam pieprzu!...

Po tych słowach postąpił ku drzwiom, i już był na korytarzu, a mruczał jeszcze do siebie: Polaki... laki... przysyłają mi na kark... niech się z nimi ujada sobaka Michajłow.

Wniosłem z tych urywków, że mój naczelnik zowiąc się sobaką (psem), uważał mię po prostu jako niebezpieczny towar, narzucony jego czuwaniu.

Nazajutrz dowiedziałem się, że podobny los spotkał dwóch moich kolegów. Rewizya była ogólną pomiędzy zesłanymi. U je-

dnego z nich znaleziono starą książkę pod tytułem: Conspiration de Fiesque przez Schillera. Wyraz «conspiration» snać nie podobał się policyi, bo właściciela książki wzięto pod klucz.

U drugiego, który był na nieszczęście matematykiem, znaleziono rękopism z równaniami algebraicznemi. Kozacy, nierozumiejąc rozmaitych znaków, potęg, kresek, osądzili je za kabalistyczne hieroglify masońskie. Matematyk więc również dostał się pod klucz.

Siedzieliśmy wszyscy trzej w kozie, każdy oddzielnie, przez trzy tygodnie, zanim przysłano z Orenburga rozporządzenie, aby nas uwolnić — drogą łaski.

Drogą łaski? Czy popełniliśmy jaki występek? mówiliśmy jednogłośnie do majora, gdy nas wypuszczono.

— Tak, tak, drogą łaski! — odrzekł nam. Wy już jesteście sołdatami, winniście się raz na zawsze wyrzec pustot dawnego życia (co się miało rozumieć: zabronić rozumowi być rozumem), a zastósować się do nowego stanu. Sołdat nie powinien mieć nic do czynienia z żadną algebrą, ani z farmazonem Schillerem. Biblia też żadnych wykładników nie potrzebuje. Poszli won! dam ja wam tu przychodzić do kancelaryi z pretensyami!...

W rok po tem zdarzeniu wydało się w skutek kłótni, zaszłej między dwoma sołdatami, że jeden z nich, chcąc się pomścić na majorze za odebranie niewinnej plagi, zrobił doniesienie na mnie do atamana kozackiego, który był w nieporozumieniu z majorem, posądzając mię o niebezpieczne nocne przepiski.

Szpieg uczynił to w nadziei, że jeżeli w samej rzeczy co się na moję niekorzyść wykryje, major dostanie odstawkę za niedozór, lub przeniosą go gdzie indziej, i że tym sposobem jego zemsta nasyconą zostanie.

Lecz inaczej się stało.

Major, dowiedziawszy się o szpiegu, wpadł jak sokół do koszar i na nowo wygarbował mu skórę — nie za jego donos, broń Boże! ale wedle swego zwyczaju za guziki niewyczyszczone.

XVI.

ZOSTAJĘ TANCMISTRZEM MEGO DOWÓDZCY.

XVI.

Mój nowy kapitan, dowódzca kompanii, pewnego razu zbliżył się z łaski swojej do mnie w koszarach, a zoczywszy leżącą przy mnie książkę, dobył z futerału okulary, wytarł je starannie fularową chustką, włożył na nos i zaczął sylabizować; nie mogąc się zaś zrozumieć, rzekł: «Okulary nie pomogą, kiedy czytać nie umiesz; ale sołdaci tej książki nie ukradną, bo by jej nikt w Uralsku nie kupił.» Cała rzecz, że to było dzieło francuskie.

Kapitan musiał wysokie powziąść wyobrażenie o mej uczoności, i z tego zapewne powodu raczył wszcząć ze mną rozmowę, i zaprosić mię do siebie na czaj.

Zaprosiny były na pół urzędowe, zaszczyt niesłychany, odmówić było niepodobna.

Z nadejściem dnia oznaczonego, nawoskowawszy wąsy, nadziawszy świeżą szyniel, opięty i sztywny, stawiłem się punktualnie na kwaterze kapitana. Był on wdowiec, zastałem go w brylantowym humorze, odzianego w jedwabny szkarłatny szlafrok — a złota, kamieniami wysadzona szpilka, którą szlafrok był spięty pod szyję, dała mi do poznania, że stare kapitanisko cenił gościa i wystroił się na jego przyjęcie.

Miał on trzy córki, każdej z osobna mię przedstawił; jak widać miał też pretensyę i do etykiety; — po wzajemnych dygach i powitaniach, zasiedliśmy do stołu, na środku którego kipiał samowar.

Najstarsza z panien, będąc gospodynią, nalewała czaj w filiżanki i czyniła honory domu.

Rozmowa toczyła się światowa, o wszystkiem i o niczem;

zaczęło się od pogody, nastąpiło kilka tuzinkowych grzeczności, i t. d.

Kapitan zupełnie inaczej wyglądał w kole rodzinnem, niżeli w koszarach. W tych to był ustopniowany żołnierz w całem znaczeniu, gdy w domu poczciwy ojciec familii. Nie odebrał w młodości wychowania, zdolności jego nie wynalazłyby prochu, urodził się dzieckiem sołdackiem, dosłużył rangi; a przez to samo należał do klasy dorobkiewiczów, tak zwanej w Moskwie burbonów, którą inni oficerowie, szlachta z urodzenia, mają zwykle w pogardzie; pomimo tego wszystkiego był znośnym w towarzystwie.

Napiwszy się herbaty i przeżegnawszy razy kilka, ni stąd ni z owąd ofiarował mi posadę metra tańców i języka francuskiego do córek swoich.

Tego tylko nie dostawało do mej biedy! Zdumiałem na propozycyę przyjęcia owej godności!...

Rzadko który dramat obejdzie się bez ustępów komicznych. Przypomniał mi się djabeł Twardowskiego; gotów byłem pójść za jego przykładem i czmychnąć przez dziurkę od klucza, gdyby było można. Z tem wszystkiem przyjąć posadę wypadało, by nie obrazić pana kapitana. Tak też uczyniłem i jako faworyt kapitański powróciłem do koszar.

Zaczęła się odtąd nowa epoka mego żywota.

Feldwebel i podoficerowie, widując mię siedzącego na kanapie w salonie dowódzcy, gdy oni zmuszeni byli czekać na jego rozkazy w przedpokoju, chociaż pałali zazdrością, jednak byli grzeczniejsi dla mnie, zdawali się nie uważać, gdy czasem nie poszedłem na musztrę, miałem nad nimi pewną przewagę; — ala za to służba tancmistrza sołdata na pokojach naczelnika, była cięższą w swoim rodzaju, niż się to niejednemu z pozoru zdawać mogło.

W długiej po kostki siermiędze, podobnej do szlafroka szpitalnego, uwijałem się między trzema dorosłemi pannicami, gdyby na pokutę. Śmiać się i tańcować trzeba jednak było, bo tak rozkazano. Trzeba było wybijać hołupce do taktu przy chrapowatych skrzypkach, na których kapitanisko rzempolił. Było także potrzeba oduczać moje trzy gracye niektórych zastarzałych przyzwyczajeń, jak na przykład: nie kłaniania się,

skakając w kucki; nie ściągania z palca pierścionka zębami i nie podawania go do gry oślinionego; nie siadania na kraju krzesła, ale na całem; nie ocierania czoła warkoczem, lecz chusteczką; i t. p.

Uzbroiwszy się atoli w cierpliwość, zdołałem doprowadzić powoli me uczennice do jakiego takiego ułożenia.

Co do języka francuskiego, ponieważ nie chciały ani słuchać o gramatyce, uważając ją za nudną, a życzyły sobie uczyć się tylko na pamięć rozmówek, powtarzając je głośno po mnie, jak za panią matką pacierz; godziny więc, przeznaczone na wykład zasad języka, poświęciłem wykładowi, mającemu za cel wybić biednym panienkom z głowy zarozumiałość; pochodzącą z tytułu kapitanówny i nauczać miłować bliźniego.

Trudne było wprawdzie zadanie, lecz zczasem ujrzałem bardzo korzystną przemianę w domu kapitańskim, cieszyłem się nią, podobnie jak to czyni ogrodnik, widząc rozwijające się pielęgnowane przez niego kwiaty, nawykłem do tego domu i chętnie doń chodziłem. Zniechęcony ciągłem słuchaniem bębna i zgiełku koszarowego, miłą niekiedy znajdowałem rozrywkę w świegotaniu, a nawet i dąsaniu się dziewiczem.

Upłynęło dziesięć miesięcy na mych kursach.

Podczas tych zostali zaproszeni trzej moi koledzy do wykładu innych przedmiotów naukowych. Uczyniliśmy rozkład godzin pomiędzy sobą; a tak dom kapitana zamienił się wkrótce w mały instytucik płci żeńskiej, do którego i kilka panienek z miasta uczęszczało (zawsze bezpłatnie). Niektóre z nich były już dojrzałe, wszelakoż lepiej było dla nich zacząć edukacyą późno, jak nigdy.

Pewnego dnia, gdy przybyłem o zwykłej porze na lekcyą, zastałem tam nad me oczekiwanie jakąś cygankę, wiodącą żywą rozmowę z panną Saszą, najstarszą kapitanówną.

Za mem ukazaniem się gawęda nagle ucichła, cyganka zagarnąwszy karty ze stołu, oddaliła się, Sasza zaś oznajmiła mi, że zamiast lekcyi, chciałaby pomówić ze mną sam na sam, i nie oczekując odpowiedzi, skinęła na siostry — zostaliśmy sami.

Kapitanówna, rozparłszy się w fotelu, spojrzała na mnie i zarumieniła się trochę, poczem rozśmieliśmy się wzajemnie. Nakoniec Sasza, nabrawszy otuchy, zapytała mię śmiało, czy

znajduje się jaki świeżo przybyły porucznik, wysoki, brunet, nie gruby, nie chudy, etc.

W samej rzeczy znałem podobnego i powiedziałem jej o tem, Twarz się panny rozjaśniła, nastąpiły z jej strony tysiączne pytania, a mianowicie: czy porucznik bogaty? czy trzyma konie? gdzie bywa? czy się nie wdaje z kochankami? i t. d.

Nie mogłem zaspokoić dostatecznie ciekawości panieńskiej we wszystkich szczegółach, a udawszy się do koszar, zszedłem się trafem na drodze z pomienionym porucznikiem, i zowiąc go szczęsnym śmiertelnikiem, oświadczyłem w najniewinniejszej myśli, jak dalece płeć piękna nim się interesuje. Na nieszczęście wspomniałem i o cygance, nie będąc bynajmniej proszony przez Saszę o utrzymanie sekretu.

Był to krok najnierozważniejszy, jaki kiedykolwiek w życiu uczyniłem. Ta drobna powierzchownie okoliczność wywołała piekło całe, przez które jak Dante za życia przejść zmuszony byłem.

Wieść o cygance gruchnęła niebawem między młodą oficeryą, która nie mając w małej mieścinie co lepszego robić, trudniła się plotkami i dowcipkowaniem.

Wieść ta, upstrzona w karykaturę, doszła i do Saszy; — gracya przemieniła się w furyę, i wszystkie ciosy przeciw mnie wymierzyła, jako sprawcy wszystkiego złego.

Pewien praporszczyk, wielki paliwoda, korzystając z tego, narysował Saszę z rozczochranemi włosami i ułożył wiersze, w których każda zwrotka kończyła się słowami: «A pfe mościa panno być taką!»

Gniew Saszy przeszedł wszelką granicę!

Trudno sobie wyobrazić, jak niektóre kobiety mścić się potrafią za urazę osobistą, jakkolwiek źle zrozumianą, zwłaszcza gdzie idzie o miłostki. Wtedy człowiek, który gada, staje się w ich oczach najobrzydliwszą gadziną. Chociaż przestałem uczęszczać dom kapitanówny, prześladowania tej damy za pośrednictwem jej tatunia ścigały mnie aż do głębi koszar, tak dalece trudno im było przebaczyć sołdatowi obrazę kapitańskiego majestatu.

Wielka to prawda, że poskrob tylko cienką politurę na Moskalu, a ujrzysz w nim istnego Tatarzyna.

Porucznik, dowiedziawszy się o wszystkiem, a będąc dobrego serca, żałował swego wielomowstwa; i chociaż zaczął już bywać u kapitana, przynęcony tam zabiegami jego córeczki, nagle zerwał z tym domem — co przyczyniło się do powiększenia mych kłopotów.

Jednak nie masz tego złego, coby na dobre nie wyszło. Gdy pobyt w Uralsku stał mi się nieznośnym, napisałem do mej familii, zobowiązując ją do podania prośby do władz o przeniesienie mię do Orenburga przez wzgląd na kilkoletnią służbę.

Jakaż była moja radość, gdy po upływie pewnego czasu oznajmiono mi z korpusu najwyższą tę łaskę!

Porzuciłem więc Uralsk, o którym wspomnienia straszą mię jeszcze niekiedy w nocnych mrzonkach, gdyby upiory przeszłości. Przybyłem do Orenburga, gdzie nieco odżyłem, i gdzie niezadługo skończyć się miała scena mego dramatu.

XVII.

ZGON CARA MIKOŁAJA. TRUCIZNA.

XVII.

Na horyzoncie orenburgskim ustał ruch ludzki, zmartwiały języki; dzwony tylko wydawały jęki na różne tony z pod cerkiewnych kopuł. Huk ten nadzwyczajny, owe grobowe dźwięki zdziwiły mieszkańców; każdy słuchał ich w milczeniu i spojrzeniem pytał drugiego, co by to znaczyło? Tymczasem odgłos o zgonie cara przebiegł tajemniczo z domu do domu, a nikt nie poważył się wyraźnie głosić, że mocarz północy przeniósł się do wieczności. Byli i tacy, którzy wątpili, aby należał do liczby śmiertelnych...

W tej niepewności upłynął wieczór i noc cała.

Nazajutrz dopiero rano zgromadzone władze wezwały garnizon na plac wojskowych przeglądów, zgon Mikołaja urzędownie obwieszczono, odśpiewano z duchowieństwem i wykonano przysięgę z podniesionemi rękoma na wierność Aleksandrowi II.

Po dokonaniu tej formalności rzeczy powróciły do dawnego stanu, jak gdyby żadne zdarzenie znakomite nie miało miejsca; rozmowy toczyły się wesołe o nowym carze, i polecono ogólną żałobę dla zwyczaju. Nie widziałem przecież żadnej twarzy, któraby ją nosiła. Mówiłem sobie: jeden despota mniej, jedna nadzieja więcej.

I tak, z owej ziemskiej wielkości nic nie pozostało oprócz garstki prochu! Fortuna, co ze krwi potokami i bojów łoskotem kładła zwycięzki laur na skronie żołnierza, odwróciła się od niego w ostatnich chwilach żywota.

Znikł marnie z tego świata potężny władzca, jednoczący w swej osobie wielkie i okrutne postacie samowładztwa, na któ-

rego tronie odżył Iwan Groźny, Piotr Wielki i awanturnica niemiecka: Katarzyna II.; odżyły namiętności Nerońskie, które druzgocąc wszystko, wzniosły na gruzach pomnik dla osobistości nieboszczyka.

Bo jakaż to zaprawdę epoka rządów Mikołajowskich, opartych na zaborze i na kuciu kajdan?

Ten sam Mikołaj, zaraz po wstąpieniu na tron, ćwiartował Persyą aż do 1827 r.

Pomiędzy 1827mym a 29tym wydarł od Turcyi opiekę nad Mołdawią i Wołoszczyzną.

Od roku 1830 do 32go zaćmił ostatni promyk wolności w Polsce.

W roku 1833 podtrzymywał Portę we własnych widokach przeciw jej wazalowi Mehemet-Alemu, królewiczowi Egiptu.

Od 1848 do 50go restaurował tron króla pruskiego i cesarza austryackiego, tłumiąc powstanie węgierskie, przez obawę, aby nie przeniosło się do Polski.

Gdy zaś przez swą postawę wojskową sfanatyzował dostatecznie sołdactwo; gdy przez srogość, popędliwość, groźną i okazałą minę ujarzmił szlachtę, przez powierzchowną surowość obyczajów wzbudził w ludzie poszanowanie; nakoniec, gdy przez odegraną doskonale wiarę i ufność w siebie, jako duchownego, nieomylnego ojca kościoła prawosławnego, zmusił naród, duchowieństwo, dygnitarzy do padania przed nim na kolana i uważania go za półbożka; wtedy postanowił ze swego imienia zrobić dźwignię świata, i gotował się do wykonania testamentu Piotra W.

Uzbroiwszy należycie porty Baltyku, pokrywszy fortecami dwieście przeszło mil brzegów morza Czarnego i Azowskiego, nadawszy silny popęd marynarce, organizacyi kozaków, wywozowi kopalń, rękodzielniom broni, fabrykom kul i prochu; ujrzawszy Moskwę możebną do zgromadzenia w obrany punkt ogromnych zapasów wojennych, przybrał postać natchnionego, język proroka, w obec ludu moskiewskiego, przyuczonego widzieć w nim pomazańca, którego miała być dziełem sława cerkwi tryumfującej.

Wtedy to Mikołaj, sądząc się być dość silnym do urągania się bezkarnie z państw zachodnich, zrzuca maskę obłudy, bun-

tuje Greków i przywłaszcza sobie władzę duchowną w Turcyi, którąby zamieniła sułtana w służalca moskiewskiego.

Ani cesarze, najwyżsi kapłani starożytnego Rzymu, którzy kazali wznosić ołtarze na cześć własną; ani papieże, królowie nowoczesnego, gdy zabraniali ziemi się obracać, nie pokazali więcej zarozumiałości!

Bóg, gdy chce poniżyć pysznego, to mu rozum odbierze.

Mikołaj I., pokładając całą nadzieję w mocy pocisków ryczącego spiża, mniemał, że Francya i Anglia ukorzą się przed nim, jak jego właśni niewolnicy.

Nie postępując z duchem czasu, nie wiedział on, że zbroja feudalizmu już zardzewiała, że podboje siłą zwierzęcą stały się niemożebne w tym czasie przejścia ze starej, spruchniałej epoki, nad którą odśpiewaliśmy od dawna hymn pogrzebowy, w nową, świetną, opartą na podstawie miłości i poświęcenia; że obecnie prawdziwa idea rewolucyjna, jedyna, która zmieni postać rzeczy na globie ziemskim, jestto idea moralności, mająca za czynniki: światło, porządek, pracę a raczej parcie pracującej siły, zapewniającej nam prawo do życia, postęp, uczucie sprawiedliwości i oręż — w razie niezbędnej potrzeby!

Jeżeli car rzucił przed skonaniem spojrzenie po za siebie, jakże gorzkiego musiał doznać rozczarowania! jakże okropne panorama rozwijało się przed jego oczyma!

Olbrzymi gmach samowładztwa, utrzymywany barkami Herkulesa, rozpadający się nagle na wszystkie strony, — gwiazda pomyślności carskiej blednąca, — podwójny krzyż, znak godności zbrojnego papieża, ustępujący w poniżeniu przed półksiężycem, — wojska, które sławił za niezwyciężone, mówiąc: Pokorytìes jazycy! (Upokorzcie się cudzoziemcy, poganie!), pobite, — flota, arcydzieło jego zabiegów i zręczności całego życia, zniszczona. A co najważniejsza, wpływ caratu obalony; widmo, straszące Europę, znikłe!...

Car konający ujrzał naokoło próżnię. Nic w niej nie było, o coby mógł zahaczyć swą dłoń żelazną, — nic, co by go mogło przekonać, że wzniósł budowę na fundamencie, a nie na piasku...

Zgasł — a wyciągnięta ręka jego z grobowca, zimna i skrze-

pła, trzyma jeszcze sztandar despotyzmu, lecz ręka ta pruchnieje, sztandar chyli się do upadku.

Historya ostatnich chwil żywota Mikołaja, tajona z początku nie wiadomo dla czego, dziś jest powszechnie znaną.

Zgon cara nagły, przedwczesny, którego nic nie wróżyło, nastąpił z przyczyn następujących:

Doszedłszy on, jak wiadomo, do potęgi, głównie przez osłabienie Polski i Węgier, nabrał przekonania, że nic w Europie nie jest w stanie oprzeć się jego przemocy.

W czasie kampanii krymskiej oczekiwał z niecierpliwością nowin z teatru wojny, najpewniejszy wygranej. Za przybyciem gońca kazał go wprowadzić do swego gabinetu i rzekł z uśmiechem ufności na ustach:

— I cóż?... wszak pobiliśmy ich?

— Przysłany jestem, aby przedstawić Waszej Cesarskiej Mości depeszę — odrzekł goniec.

— Co?! walka miałażby być wątpliwą?...

— Racz przeczytać Cesarzu!

— Masz mi odpowiedzieć na zapytanie nim przeczytam!

— Najjaśniejszy Panie!... zostaliśmy pokonani.

— Gdzie?

— Pod Almą.

Na te słowa Mikołaj zbladł, zsiniał i podskoczywszy machinalnie z krzesła, jak gdyby z procy wyrzucony:

— Kłamiesz! zawołał.

Goniec stał przy drzwiach wyprężony, milczący.

Car zerwał pieczęć z podanej mu depeszy i utopił w niej surowe spojrzenie. Mieściła ona sprawozdanie z pola bitwy. Menszczykow wyznał wszystko: Francuzi i Anglicy wzięli górę.

Car zadrżał i padł na fotel, jak gdyby obie nogi raptem mu się złamały.

Za miesiąc przybyła druga wiadomość o nowej a ważnej przegranej.

Dumny mocarz, którego woli nic się nigdy nie sprzeciwiło, na którego marszczenie czoła drżało sześćdziesiąt milionów lu-

dzi, który wiedział o tem i dla tego często je marszczył; doświadczywszy w Krymie nie tylko podwójnego, niesłychanego oporu, ale i podwójnej przegranej, nie mógł znieść na raz tych ciosów. Od tej chwili był mocno cierpiącym moralnie, z każdym dniem nikł na ciele, a nie mogąc umrzeć, postanowił się otruć.

Ustąpić nieprzyjaciołom, było to zadać kłamstwo swej, przez trzydzieści lat sławionej, potędze; prowadzenie zaś dalszej wojny zagrażało upadkiem całej Rosyi. Wypadało zawrzeć pokój: misyą tę pozostawił do spełnienia synowi.

Przyzwawszy nadwornego lekarza, car rozkazał wręczyć sobie taką ilość trucizny, żeby po połknięciu onej pozostało mu jeszcze kilkanaście godzin życia.

Lekarz, uczyniwszy zadość najwyższej woli, opuścił Petersburg dnia 17 lutego 1855 roku, opatrzony kartą bezpieczeństwa spisaną własnoręcznie przes monarchę samobójcę.

Dnia 18 marca z rana Mikołaj I przyjął truciznę.

Później przywołał następcę tronu, objawił mu ustnie ostatnią swą wolę — polityczny testament — następnie żegnając się z rodziną, kazał Wielkiemu księciu Konstantemu pojednać się z bratem Aleksandrem — i skonał, dnia 18 lutego o południu, minut dwadzieścia.

Moskwa zmieniła Pana.

XVIII.

POSTANOWIENIE WYSWOBODZENIA SIĘ.

XVIII.

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie,
Młodości! orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię.“
A. M.

Z pomiędzy licznych chorób miejscowych, którym podlegają zesłani do orenburgskiego kraju, obawiałem się mianowicie jednej: pomięszania zmysłów na myśli ucieczki. Myśl ta nigdy mię tam nie opuszczała, wzrastała z czasem; z nią chodziłem, z nią się kładłem, z nią się budziłem, aby westchnąć. Przyzwyczaić się ani do miejscowości, wygnania, ani też do opończy sołdackiej w żaden sposób nie mógłem. Tłumaczyłem sobie, że to inaczej być nie może; atoli wszelkie rozumowania pod tym względem były daremne.

We śnie Moskale mię ścigali, łapali; ja im na nowo uciekałem, i znowu taż sama historya!

Stan ten zamieniał się niekiedy w gorączkowy — wtedy nieprzyjaciele moi przedstawiali mi się w najdziwaczniejszych stadach potworów; raz pośród lasów, drugi raz na mych rodzinnych błoniach, to znów wpośród zwalisk zamków i zburzonych przez nich kościołów. Zawsze obcierałem się o nich, nikłem im na przemiany i popadałem w ich szpony.

W chwilach spokojnej rozwagi różne układałem plany, utrzymywałem je w największym sekrecie, nie mając blisko siebie nikogo, komu mógłbym skutecznie z niemi się zwierzyć, ktoby mi pomógł do dźwigania tajemnicy i posiadał dosyć chęci i odwagi do towarzyszenia mi w strasznem przedsięwzięciu. Dla wielu życie emigrantów na Zachodzie Europy nie przedstawiało

tyle powabu, ażeby się kusić mieli, na chybił trafił, o powiększenie ich liczby, i wystawiać się na zgubę lub męczarnie w razie pojmania. Z dwojga więc złego wybierając, przestawali na mniejszem; może i słusznie! Lecz dla mnie, którym już niegdyś przeszedł wszystkie te koleje i otrzaskał się z niebezpieczeństwy, niczem były przeszkody.

Chodziło tylko o to, jak przebyć samemu, niemając zniskąd pomocy, ów nieszczęsny step, mieszczący na brzegu Azyi jeden tylko szlak, jedną drogę, zwaną linią graniczną, utrzymywaną na wojennej stopie, pokrytą pikietami kozackiemi, które ominąć o głodzie i chłodzie, i do tego z ostrzyżoną krótko czupryną, zdawało się niepodobieństwem: zboczenie zaś z drogi zagrażało zabłąkaniem się na pustyni.

Ilekroć razy przyszło mi na pamięć zdanie filozofa, że kto zrobił plan a nie ma środków do wykonania go, nic nie zrobił, wpadałem w czarną posępność. Nazajutrz na nowo łudziłem się rojeniami o ucieczce i nowe rodziłem dla się smutki!

Pewnego razu przyjechano z menażeryą do Orenburga; niesłychane to było zjawisko w mieście.

Szukając jakiego takiego roztargnienia, zaszedłem tam. Ciekawi widzowie cisnęli się wesoło do małp i patrzyli na nie z zachwyceniem; zdziwione małpy przyglądały się widzom; — moją zaś uwagę zwrócił niedźwiedź polarny, który bez ustanku wkładał nozdrza pomiędzy żelazne pręty, usiłując wydobyć się z klatki. Zamknięty niedźwiedź sprawił na mnie przykre wrażenie — położenie jego miało tyle podobieństwa z mojem!

Wychodząc z menażeryi, spostrzegłem jejmość kasyerkę, rozmawiającą po francuzku z dozorcą zwierząt, należącym do koczującej trupy. Widok ten przypomniał mi Europę, świat, życie.

Zbliżyłem się do dozorcy, serce mi biło gwałtownie, wziąłem go na stronę, wszcząłem rozmowę; dowiedziałem się, że był w Polsce, mile o niej wspominał; chwyciłem go ze drżeniem za rękę i błagałem, aby mię przyjął, gdy wyjeżdżać będzie, bezpłatnie do trupy na czas krótki, bylem się tylko mógł przedrzeć do środkowej Moskwy.

Próżne były me prośby.

Dozorca zdawał się rozumieć mię, rozumieć sercem, gdyż

oko mu się zwilżyło; ale spojrzawszy na czerwony mój kołnierz, uścisnął mię, wyraźnie na znak pożegnania, i znikł pośród ciżby gapiów, otaczających katarynkę przed namiotem menażeryi.

Inną razą, chodząc na targ, porozumiałem się z Bucharcami. Ci ofiarowali mi chętnie swoje usługi za umówioną nagrodę kilkunastu rubli. Miałem udać się samotnie pod pozorem przechadzki za most na rzece Uralu, i zejść się z karawaną na umówionem miejscu. Bucharcy mieli ogolić mi głowę, przebrać po swojemu, posadzić na wielbłąda i doprowadzić aż do Chiwy, gdzie spodziewałem się znaleść ajenta angielskiego i udać się pod jego protekcyę; ztamtąd ruszyć dalej, roznosić po świecie tajemnice Moskwy, a może też zostać w Chiwie i uzbrajać jej mieszkańców, stósownie do okoliczności.

Byłem blizkim wykonania tego olbrzymiego przedsięwzięcia; nawiedzałem odtąd częściej mych kolegów, rozstawałem się z nimi z rzewnem słowem, ze ściśnionem sercem, w przekonaniu, że ich więcej nie ujrzę, i że gdy im zniknę, zrozumieją wtedy sposób, jakim ich żegnałem.

Podróż przez nieznane kraje, podróż w zawoju na wielbłądzie, nieprzewidziane przygody, przedstawiały mi się fantastycznie w dalekiej perspektywie. Potem jednak następowały chwile zimnej rozwagi, w których mówiłem sobie: I jakąż mam rękojmię, że Bucharcy, wyłudziwszy odemnie pieniądze i zawiózłszy daleko na puszczę, nie zechcą mię sprzedać, zwyczajem azyatyckim, któremu z pokoleń mongolskich? Któż mię zaręczy, iż zamiast dostać się do Chiwy, celu mych najgorętszych pragnień, nie przyjdzie mi się jako niewolnikowi, z rozciętą piętą i zarosłą w niej szczeciną, spędzić resztki życia na pasieniu trzody w jakim nieznanym kącie świata? A może też obdartego i zostawionego pośród stepu przez Bucharców czekała śmierć głodowa, lub napaść Kirgizów i wydanie przez nich za worek mąki Moskalom?...

Po tych zastanawianiach się, po tych walkach wewnętrznych, dziki uśmiech, głucha boleść i szyderstwo z Boga, ze świata, z siebie samego, wstrząsały mną gwałtownie. Był to upadek na duchu.

Nazajutrz te same męki Tantala, taż sama przerażająca idea

ucieczki wrzała w mem łonie, tem mocniej, im więcej zawad napotykała.

I znowu mierzyłem przestrzeń, dzielącą mię od Paryża, Londynu, Ameryki, i t. d., i powstając z upadku, przenosiłem się w szczęśliwe krainy.

Roiłem sobie przebrać się za kobietę, owiązać chustką głowę i opuścić Orenburg w czasie, gdy garstka bogomodlców z tego miasta i jego okolic, po kilku i pojedyńczo, zwykła odbywać pielgrzymkę o żebranym chlebie na odpust do Kijowa, żeby tam pocałować relikwie i dostąpić przez to zbawienia.

Świtała także w głowie nadzieja ciągnięcia jako urlopnik za żołnierzami, by nie zwrócić na się w drodze uwagi kozackiej, i tym fortelem przesunąć się, z mapą w kieszeni, do miejsca dróg rozstajnych, gdziebym się mógł skryć pomiędzy ludźmi.

Wszystkie atoli te zamiary, podobnie jak mnóstwo innych, nie były bezpieczne, zważywszy, że przy zniknięciu z koszar, puszczonoby się za mną konno w pogoń po linii i snadno doścignięto. Z deszczu, jak to mówią, popadłbym pod rynnę.

Nakoniec myśl okropna, szalona, owładnęła mój mózg, strudzony drganiami. Był to ostateczny upadek; — że zaś rozpacz jest złym doradzcą, zamierzyłem w samobójstwie utopić poddaństwo, a dla dopięcia tego pójść do znanego mi aptekarza Niemca, pochwycić u niego słoik z trucizną, wsypać do kotła zupy sołdackiej, zamięszać, nalać sobie w czaszę, i gdy cała rota wraz ze mną konać będzie, zawołać jak Walenrod: Ja to sprawiłem!... tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!...

W takiem byłem opłakanem nastrojeniu, gdy zadzwoniono na śmierć Mikołaja.

Spodziewano się manifestu.

Choć nie miałem wiary w łaski od następcy cara, uzbroiłem się przecież w cierpliwość i oczekiwałem rezultatu. To jednak nie przeszkadzało, abym wałęsając się o zmroku po ulicach, i usłyszawszy dźwięk fortepianu, nie doznał wzruszenia, które mnie parło do ucieczki.

Może kto zarzuci: I cóż to za związek muzyki z ucieczką? jakże pogodzić jedno z drugiem? Na to odpowiedzieć nie umiem; upewniam jednak, że melodya muzyki władała memi uczuciami, przenosząc je do lepszego świata.

Czasami na widok światełka, błyszczącego w oknie samotnej chaty, oddalonej po za wałem miejskim, zatrzymywałem się, wpatrując w nie chciwie; mówiłem sobie: szczęśliwi ludzie, co mają własny kącik, co mają kółko rodzinne, ciepło i światło na rozkazy, i psa przyjaciela — ale wygnaniec wszędzie jest sam!

Gdy ujrzałem opadające listki z krzaków, rozpraszane przez uragan na wszystkie strony, to pomyślałem: oto los Polaków! Dokąd też przyjdzie nam jeszcze błąkać się po świecie?...

Oczekiwany manifest przywieziono nakoniec.

Gdy się car rodzi, żeni i umiera, najwyższa łaska dworska ogranicza się na niesieniu ulgi zbrodniarzom, od której są wyłączeni przestępcy stanu. I tak: zbrodniarzów z katorgi posuwają do rot aresztanckich; tych co byli w rotach, do Syberyi na zaludnienie, i tak dalej, zachowując stopniowanie w ułaskawieniu, równie jak rząd je zachowuje w awansowaniu swych zasłużonych poddanych. Zanim więc wyrokowany przejdzie te wszystkie stopnie, zestarzeje się, umrze, a zaledwie jednemu na stu uda się powrócić do ojczyzny, by w niej złożyć kości swoje.

Manifest następcy tronu Aleksandra II. nie zwiastował żadnej łaski dla Polaków, zesłanych do wojska za tak zwane polityczne przestępstwa. Uczyniono wprawdzie małe przemiany w losie niektórych, zwłaszcza tych, co mieli za sobą starania w Petersburgu; lecz ulgi im poczynione zależały od kaprysu cara, ministra, jego zastępcy, damy dworskiej, i trzeba było mieć kogoś, któryby ten kaprys wzbudził, na niego czyhał; nadewszystko zaś, żeby umiał z wyżebranej obietnicy korzystać, bo obiecać a dotrzymać, u dygnitarzy są to dwie rzeczy przeciwne.

Bardzo mała, wyjątkowa była liczba tych, których imiona łaskawy kaprys sam przez się napotykał dla okazania światu swej wysokiej wspaniałomyślności. I to, ułaskawienia ostatnich, podlegając stopniowaniu, pomogły im niemal tyle, co umarłemu kadzidło.

Ułaskawienie tego rodzaju padło i na mnie.

Wezwano mię do sztabu i szumnie ogłoszono najmiłościwsze przebaczenie, wykreślenie mnie z listy politycznych winowajców, przenosiny pod Sewastopol, wcielenie do armii czynnej

wojującej, stopień junkra i obietnicę oficerskiej rangi, jeźli się w bitwach odznaczę.

Tyle łask naraz! aż mię głowa zabolała.

A to wszystko na przychylne przedstawienie do tronu przez Perowskiego, który przez wzgląd na mą sześcioletnią służbę, moralne zachowanie się, a nadewszystko (jak się wyraził) zmianę sposobu myślenia, raczył okiem miłosierdzia wniknąć w moją dolę.

Ze sztabu polecono mi udać się do jenerała dywizyi. Zastałem go w pantoflach, w wykrochmalonych kołnierzykach i w dobrem usposobieniu.

— A! jak się masz — rzecze do mnie — widzisz! stałeś już nad przepaścią; jeszcze jeden fałszywy krok, a byłbyś wpadł do otchłani. Na szczęście twe władza podała ci rękę i wyciągnęła z biedy (do której mię sama wepchnęła). Umiejże szanować to dobrodziejstwo. Jesteś młody, możesz się dochrapać czynu, schwycić chreścik; ale przedewszystkiem trzeba, żeby wszystkie muchy wyleciały z nosa, zachować się ciszej od wody, niżej od trawy, i jak najmniej językiem bełkotać... No, bywaj zdrów, pozdrawiam cię z marszem! Idź i wysługuj się!

Po tej perorze winienem był pójść z kolei rzeczy do dowódzcy o stopień niższego, do jenerała brygady.

Proszę sobie wyobrazić ogromny brzuch na nogach, piersi w brzuchu, szyję w piersiach, głowę w szyi, wszystko obciągnięte w ciemnozieloną kurtę, a będzie to portret urzędowej figury jenerała brygady Fediajewa. Zasapany podstąpił ku mnie, wyprostowanego przy drzwiach z furażerką w ręku, i wystawiał, jak zadowolony być powinienem, że mi dozwolono walczyć z Francuzami, Anglikami i Turkami za wiarę czysto chrześciańską, za cara i ojczyznę; potem życzył szczęśliwej podróży.

Odpowiedziałem: słuszaju! i zrobiłem na lewo w tył.

Udałem się ztamtąd do pułkownika, następnie do kapitana; a pożegnawszy całą przezacną hierarchię, i nasłuchawszy się wszędzie rad już to niedorzecznych, już ubliżających, powróciłem do koszar, aby się obaczyć po raz ostatni z towarzyszami broni.

Boleść mną miotała na myśl, że pozostawiam ich na ziemi ucisku.

W nocy długo spać nie mógłem pod wzruszeniami dnia całego. Najdzielniejszą część życia zmarnowałem w stepie. Wykrzykniki przekleństwa wrzały w mej duszy.

O! — mówiłem sobie — jeśli teraz nie wyrwę się z waszych kleszczy, jeźli zmusicie mię nadstawiać łeb pod jatagan turecki i mordować własnych braci, nazwiecie mię krugom durak!...

XIX.

PRZENOSINY POD SEWASTOPOL. CHOLERA W POSTACI KOBIETY.

XIX.

Obszywszy naramienniki mej kapoty galonkami, na znak godności junkierskiej, przyczepiwszy na plecy tornister, w podróż wybrany, stawiłem się do oddziału, zebranego na punkcie zbiorowym. Przybył podoficer od inwalidów, wiodąc za sobą gromadę aresztantów w okowach, i wszyscy razem puściliśmy się w pochód piaszczystym szlakiem, wiodącym z Orenburga do Styrlitamaku, miasteczka tatarskiego.

Orenburg znikł mi już z oczu, ja się jeszcze nań oglądałem; o tyle jest prawda, że dziwnych człowiek doznaje wrażeń, gdy opuszcza miejsce, gdzie spędził długie, jakkolwiek szare pasmo dni swoich. Oglądałem się, mówię, na ów czyściec mojej przeszłości, w którym tylu jeszcze pozostało rodaków!

Aresztanci szli przodem, brzęcząc łańcuchami. W koło nich lśniły bagnety moskiewskie, za nimi postępowali wojskowi tranzlokowani do różnych pułków; a wszyscy byli smutni i milczący jak głucha pustynia, po której stąpaliśmy.

Odszedłem na stronę i zdążałem za oddziałem ścieżką obok gościńca, bo nieznośnie było iść w gromadzie i w kurzawie.

Bezbrzeżny step rozwijał się poważnie.

Ileż to wielkich, tkliwych zdarzeń mógłby on opowiedzieć, gdyby mówić umiał! Tam ziemia i piekło zjednoczyły się z despotą na oniemienie ludzi. Rząd moskiewski, jak śmierć fatalny, grzebie na tym cmentarzu bez granic, męztwo, cnotę, żywotność narodów całych. Ponure procesye nie mają końca, nie zatrzymują się; rodziny całe ciągną na puszczę i na niej giną.

W miarę zbliżania się wieczoru, step coraz posępniejszym się stawał. Porównywałem Kamczatkę z owym stepem kirgiz-

kim, któremu zorza północna wcale nie przyświecała: «Przechadzałem się nad brzegiem morza (napisał Kopeć), a gdy nadeszła burza, widziałem potwory, wieloryby, lwy i psy morskie. Niedźwiedzie rzucały do mnie kamieniami, żeby mię zabić i pożreć. Bałwany, uderzające o ląd, wstrząsały półwyspem. Ocean huczał, nieprzeliczone stada psów, karmiących się rybami, wyły straszliwie; niedźwiedzie odpowiadały im mrukiem, a wulkany nadbrzeżne wyrzucały z grzmotem płomień i popioły.»

W kirgiz-kajsackim stepie nie ma tych rozmaitości, tych cudów przyrodzenia. W nagim stepie nie ma nic... nic... oprócz kiru, rozciągnionego przed tobą, na który patrzysz z tęsknotą. Jestto dno, zapadła kotlina wyschłego drzewa.

Przybyliśmy do Styrlitamaku. Na niebie zawisły chmury; wśród chmur przyświecała gdzieniegdzie gwiazdka, co niebo osiadła; z pośrodka wyglądał księżyc bladem obliczem; a tam po za miastem coś się bieliło, jakoby duchy chodziły. To nie duchy, to mogiły! to stosy kości ze zwierząt i ludzi nieznanych, służące dziś za drogoskazy. W cieniach wieczora piramidalne wieżyce meczetów rysowały się na tle powietrznem, i smętny głos muezyna zwoływał Tatarów do świątyni.

Za wnijściem do miasta znalazłem całego majątku u siebie zaledwie rubli kilkanaście, uzbieranych długą oszczędnością; posiadałem nadto jedyny list rekomendacyjny od pewnego praporszczyka, wychowańca szkoły kadetów, do jednego z jego zaufanych przyjaciół.

Nie tracąc czasu, zrzuciłem z siebie ciężki pakunek i udałem się z listem wedle adresu. Pan N., rodowity Moskal, przyjął mię nader gościnnie. Jeżeli która z cnót, to bez wątpienia gościnność, ofiarowana w imię Boga, jest najwięcej upowszechnioną u niezepsutych Moskali. Obawiają się oni jednak okazywać ją publicznie dla zesłanych Polaków, by nie ściągnąć za to na siebie prześladowań od biurokracyi.

Widziałem na twarzy mego nowego znajomego malującą się radość, gdy mi winszował, że szczęśliwie i zapewne na zawsze porzuciłem ziemię kozacką, i że zbliżam się do mego kraju. Częstował mię ponczem i jako szczególność, słoniną ukraińską, która będąc surową, twardą a kruchą jak ser szwajcarski, dosyć mi przypadła do smaku. Przenocowawszy u niego i spędziwszy

dniówkę, otrzymałem od niego list do lekarza najbliższego miasta powiatowego, i udałem się z etapem w dalszą drogę. Winienem dodać, że przy pożegnaniu mój Moskal, wyprowadziwszy mię do sieni i wylewając się jeszcze ze swemi uczuciami, tłumił głos, aby nie być podsłuchanym przez sąsiadów.

Nie mam zamiaru opisywać tu wszystkich stacyi mej podróży, odbytej wedle urzędowej marszruty. Nie będąc turystą z powołania lecz z musu, zapisuję z nieśmiałością te tylko z odebranych wrażeń, których ani czas, ani oddalenie zatrzeć w mej pamięci nie zdołały, i które po większej części na przyszły mój los wpłynęły.

Podróż była długa, jednostajna, licząca się na tygodnie i miesiące. Codziennie odbywałem zaledwie wiorst kilkanaście, a co parę dni spędzałem dobę całą na wypoczynku, wedle przepisów wojskowych. Czas ten obracałem zwykle na zbieranie miejscowych wiadomości, które uważałem za użyteczne do spełnienia mych tajemniczych zamiarów.

Wszędzie napotykałem Polaków, jużto obywateli zesłanych na mieszkanie w głąb Moskwy, którzy przypominali mi panów konfederatów barskich, rozsypanych w niewoli; już synów majętniejszej szlachty, obowiązanych ukazem służyć dwa lata w Moskwie; jakoteż urzędników skarbowych, tudzież oficyalistów w dobrach prywatnych, tak zwanych karyerowiczów, przybyłych tam dobrowolnie na posady, mianowicie z Litwy i ze Żmudzi. Mnóstwo także napotykałem rodaków wojskowych, inżynierów, leśniczych i lekarzy; również żydków, użytych do kancelaryi, do szpitali i do warsztatów rękodzielniczych. Witany z powrotem z Sybiru, wszędzie u nich doznawałem najlepszego przyjęcia; a Moskale widząc to, radzi byli oglądać w mej osobie ułaskawionego carskiego. Rzec mogę, że przenosiny me pod Sewastopol były dla mnie ustawicznym balem.

Przypominam sobie, że na pewnym przestanku za Styrlitamakiem, setnik wiejski postawił mię na kwaterze w chałupie, gdzie się odbywało weselisko. Najpierwszym gościem był tam pop, który, dowiedziawszy się, że wracam z Sybiru, zbliżył się do mnie z pokłonami, wołając wielkim głosem:

— Hospod z toboj i siła niebiesnaja!

Nadeszła pani popowa i panna popówna. Widząc uprzejme

obejście się ich, dosłyszawszy nadto niektóre szepty, zamienione między niemi a starszyzną wiejską, zauważyłem, że mają mię za znakomitszego człowieka, aniżeli to mój mundur okazywał. Każdy tam był podochocony, i ja ufetowany przy stole biesiadników, stałem się jakoś weselszym, zwykły niepokój ustąpił na chwilę z serca.

Popówna, Marya Wasilewna, była niczego mołodyca. Mimowolnie wszczęła się między nami rozmowa; postrzegłem, że młoda kapłanka umiała się rumienić na wyrazy grzeczności, a bardzo jej to było do twarzy. Ośmieliwszy się nieco ku mnie; opowiadała z całą naiwnością, jak cholera grasowała niedawno w okolicy, jak wielu chłopców i panienek wymarło, jak wieśniacy chcieli ukamienować dwóch urzędników, co żywą cholerę naumyślnie z sobą przywieźli...

— Jakto, żywą cholerę? zawołałem.

Tu Marya Wasilewna wyjaśniła mi rzecz dokładniej, mówiąc, iż wiarogodni we wsi mużyki widzieli na własne oczy, jak pewnego wieczora przejeżdżający policmajster z sąsiedniego miasta wraz z kapitanem sprawnikiem zatrzymali się przed wrotami sioła; jak izwoszczyk zlazł z telgi, aby im otworzyć, gdy tymczasem czynowniki, będący wyraźnie w porozumieniu z djabłem, wydobyli z tłómoka małą osóbkę, która w okamgnieniu rosła, jak na drożdżach. Włościanie, widząc to z daleka, schowali się z przestrachu za stogi; patrzyli jednak ukradkiem, co dalej będzie? Czynownicy obejrzeli się dokoła, a sądząc, że nikt na nich nie uważa, wzięli pod ręce chudą, wysoką cholerę, w postaci niewiasty, odzianą w białe prześcieradło — miała ona nawet mieć skrzydła — i wprowadzili ją do wsi. Razem z nią nocowali w gościnnym dworze.

Nazajutrz ludzie zaczęli umierać, padać jak zatrute muchy; chłopstwo puściło się w pogoń za sprawcami złego i byłoby ich obdarło ze skóry, lecz ci przewąchawszy pismo nosem, ratowali się ucieczką, schronili do miasta i otoczyli się sotnią kozaków.

Jejmość popowa przerwała wielce ciekawe opowiadanie córki, zapraszając mię do swego domu; a jejmościanka popówna, hoża jak wiewiórka, dodała, że: czem tylko chata bogata, będzie na przyjęcie pana Polaka rada. Chcąc niechcąc wsiadłem z niemi do wózka i potoczyliśmy się na plebanią. Nieza-

długo przybył za nami gospodarz; kobiety zaczęły się krzątać około hojnej wieczerzy, lecz po liczbie nakryć wniósłem, że oczekiwano na kogoś.

Jakoż turkot przed sienią dał się słyszeć; damy zdążały do okien, pop na ganek i ja za nim. Przed gankiem zatrzymała się jednokonna powózka; była ona napełniona kurami, prosiętami, faskami z masłem i jajami, leżał tam nawet związany baran z wytrzeszczonemi oczyma; w pośrodku zaś stał brodaty dyakon parafialny, wielce krotofilny; wystąpił z perorą, błogosławiąc dom, do którego wnosił dostatek. W jednej ręce trzymał lejce uprzęgu i batog, a drugą gestykulował.

Dowiedziałem się, że był to dzień dziesięciny — wielka uroczystość w plebanii.

Zjechało się kilku popów z okolic, przybył i pisarz sielski, jakoteż głowa i propinator z rodziną — zaczęła się uczta.

Gdybym wierzył w gusła, powziąłbym był z mego towarzystwa złą wróżbę dla siebie; gdyż w Moskwie upowszechnione jest to przysłowie, że gdy spotkasz popa na twej drodze, nieszczęście znaczy.

Początek uczty był jaki taki, ale gdy w końcu rozjaśniły się przy kieliszkach rubinowe policzki i nosy szanownych biesiadników, nastąpiła wrzawa, z której nigdy nie zapomnę wykrzykników: Co ty tam pleciesz?... ty nic nie wiesz!... jeden Bóg wie wszystko!... jeden Bóg bez grzechu! —

Znudzony, zwróciłem się na nowo z rozmową do Maryi Wasilewny, a dowiedziawszy się od niej i na ten raz wielu pożytecznych rzeczy, jak n, p. że najlepszem lekarstwem od szkorbutu jest jadanie na czczo zupki, sporządzonej z kwasu, chrzanu, okowity, cebuli, czosnku, soli, pieprzu i musztardy, a najskuteczniejszym środkiem ocalenia swej twarzy od skąsania komarów, jest noszenie na głowie siatki wysmarowanej dziegciem, uścisnąłem jej rękę na znak pożegnania, bo już było późno w noc, i wyniosłem się cichaczem.

Aż tu ktoś goni za mną w podworcu i łapie mię przy furcie. Napadnięty znienacka, oganiam się i szamocę jak mogę z napastnikiem, psy nas opadają i szarpią obydwóch; z plebanii ktoś wychodzi z latarką, przyświeca, i dopiero poznaję, że mam do czynienia z jednym z pijanych dyakonów, który po uciszeniu

hałasu zaczął mi przedstawiać, iż nie godzi się pogardzać ich kompanią; że będąc wojskowym nie powinienem się wstydzić niewiast, lecz wychylać do dna szklanice; że nakoniec jeźli mi goście na zawadzie, wyniesiemy się — rzecze — w kilku do cerkwi i tam zamknąwszy się, palniemy sobie swobodnie łykantego.

Zaledwie się wyrwałem. Jedna więcej przygoda podróży!...

Usprawiedliwia ona opowiadanie, które słyszałem, że włościanie zamykają niekiedy popów w sobotę, aby im dać czas wytrzeźwienia się i bycia gotowymi do odprawienia nabożeństwa w niedzielę. Pijaństwo jest upowszechnioną wadą między duchowieństwem moskiewskiem. Zdarza się, że chłopi toczą bójkę z podchmielonymi popami; nieraz pobiją ich, podrapią; ale niechże ciż sami popi ukażą się pontyfikalnie w świątecznych szatach, złocistych ryzach, i zaśpiewają: Hospodi pomiłuj! lud padać przed nimi i całować ich będzie.

Pijaństwo coraz bardziej zamienia się w nałóg i między ludem moskiewskim. Znajduje on ku temu otuchę w rządzie swoim, który ciągnąc z monopolu wódki największe korzyści, proteguje opilstwo, podobnie jak rządy cywilizowanych narodów protegują towarzystwa wstrzemięźliwości.

W Moskwie dosyć jest być pijanym, zataczać się po ulicach, aby mieć przywilej za zrobioną burdę wytłumaczenia się przed policyą i bycia uwolnionym, przypisując bezecny postępek nie sobie, ale gorącemu trunkowi.

Monopol wódki, psując i bydlęcąc lud, jest zarazem, jakby zwierciadłem systematycznie urządzonej a podstępnej i najnikczemniejszej grabieży rządowej, prawie niesłychanej w kronikach narodów.

Lecz wszystko jest sprzecznością w Moskwie, w tej olbrzymiej budowie azyatyckiej z europejskim frontonem. I tak: pijaństwo naprzykład, jak widzieliśmy, władza popiera: sam nawet car teraźniejszy jest podobno zwolennikiem Bachusa i z przyjemnością pogląda na winną latorośl; — lecz w odwrotnym tam rzecz się ma stosunku do innej wonnej rośliny, której używanie publiczne jest zakazane — wojna zapamiętała trwa tam nieustannie między policyantami a fajczarzami.

Policyant patrzy z uśmiechem na włóczęgów odurzonych trunkiem, chwiejących się i potrącających przechodniów na tro-

toarach; alc niech no on przypadkiem zawącha zapach tytoniu, lub dostrzeże zapalone cygaro w ustach spokojnego przechodnia, rzuca się na niego jak zwierz czychający na zdobycz, każe sobie płacić trzy ruble kary, w niedostatku zaś onych prowadzi do kozy.

Za przybyciem do następnego miasta, udałem się z listem, polecającym mię lekarzowi. Nie zastałem go w domu, lecz zostałem przyjęty, tytułem junkra, przez jego małżonkę. Poznała ona od razu, żem Polak — i proszę sobie wyobrazić mą radość, gdy ozwała się dźwięcznie po polsku:

— Niechże pan będzie łaskaw usiąść, spocząć po podróży... tutaj, obok mnie... pomówimy o naszym kraju, o Warszawie.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad współczuciem, okazywanem mi w domu pani doktorowej. Mąż jej, rodowity Moskal, były uczeń uniwersytetu petersburgskiego, należy do liczby tych, którzy w obecnym czasie składają zastęp przeciw barbarzyństwu rządowemu. Chciał ile możności swojej przyjść mi w pomoc, i żałował, że ograniczając się jedynie na wydaniu świadectwa słabości zdrowia, na mocy którego mógłbym otrzymywać podwody jednokonne w granicach powiatu, może ulżyć nieco mej doli.

Drobna ta atoli na pozór łaska, którą mi wyświadczył, wpłynęła na przyszłe losy moje; dzisiejsza nawet wolność ma osobista jest w części jej owocem, jak to się okaże.

Dzięki doktorowi, podróż odbywałem na wózku, z czego partya etapowa była ucieszoną, bo jakkolwiek wszyscy w niej oprócz mnie postępowali pieszo i mogli pałać zazdrością, lecz ponieważ zabierałem ich tłomoczki, z pośrodku których głowa mi tylko wyglądała, byłem więc bardzo ceniony u wszystkich, jako użyteczny człowiek dla ogółu. Co większa, za pomocą podwody mojej utrzymywałem konwój w sforności, gdyż niechże który żołnierz wyrządził krzywdę aresztantowi, zrzucałem za karę jego tornister z wózka, wystawiając go na pośmiewisko.

W następnem powiatowem mieście udałem się wprost do tamecznego lekarza, przynosząc mu ukłon od poprzedzającego; że zaś przyjąłem sobie za zasadę w tej podróży: korzystać z okoliczności, oświadczyłem obecnemu lekarzowi, że będąc słabym iść dalej nie mogę; że jako żołnierz winienbym po-

zostać w szpitalu, lecz że w skutek najwyższego rozkazu winienem być odesłany bez zwłoki do piątego korpusu piechoty, należy mi się zatem podwoda, której otrzymać nie mogę bez urzędowego na to upoważnienia powiatowego medyka.

Na poparcie mych słów okazałem świadectwo, wydane mi przez jego współkolegę.

Nowy lekarz, wysłuchawszy mię cierpliwie, spojrzał na przedstawione mu świadectwo, a wyczytawszy, że choroba moja była tam oznaczoną wyrazem uduszie (ciężki oddech), sporządził od siebie dokument z takimże napisem, i przybiwszy na nim pieczęć, złożył go we czworo i wręczył mi, o nic się nie pytając, nie obejrzawszy nawet mych piersi. Czyn czyna poczytajet!

Tak więc dwoma uzbrojony świadectwami, już śmielej udałem się do horodniczego po rozkaz na obywatelską furmankę. Tę uzyskawszy, puściłem się dalej.

Szkapina lazła powoli, zawsze jednak jechałem, gdy oddział maszerował.

Zanim tym sposobem przywlókłem się do Kazania, ujrzałem się posiadaczem paczki doktorskich świadectw, które za pośrednictwem polecających listów, grzecznego ukłonu, rozumowania, narzekania, poproszenia w porę, stósownie do okoliczności i do osób, otrzymywałem. Wszystkie zgadzały się na to, że mam uduszie, o czem ani mi się śniło — oddychałem jak najlepiej. Jeżeli panowie doktorzy nie znali ceny swych zeznań, to ja je oceniłem. Chodziło o to, jak umknąć z Moskwy kosztem rządowym.

Nie wdając się w obszerny opis mej pielgrzymki i rozlicznych drobnych jej przygód, czysto osobistych, nie mogę się wstrzymać, aby tu nie wspomnieć, z jaką dziecinną radością poglądałem na rozłożyste drzewa, które najpierwsze witały mię szmerem liści swoich! jak dalece smakowały mi owoce, których od lat wielu nie kosztowałem! A był to dopiero mój wstęp do krainy zaludnionej. Zaprawdę, żaden może wędrowiec nie czuł się tyle uszczęśliwionym na widok cudnych okolic Alp lub Tyrolu, ile ja byłem owej pamiętnej epoki.

Wszystko jest sprzecznością w Moskwie, wszystko zależy tam od rządowego widzimisię; z jednej ostateczności wpada się tam w drugą: z prowincyi uprawnej w zaniedbaną, z nę-

dznej ziemianki wieśniaka do pałacu pomieszczyka, z cerkwi do zbudowanego obok ostrogu, z meczetu do klasztoru mnichów, z gleby ziemi opuszczonej do kwitnącej kolonii niemieckiej. Żaden może kraj nie jest w stanie dostarczyć badaczowi tyle tajemnic do rozwiązania, tyle nagromadzonych a różnorodnych żywiołów, ile ich mieści Moskwa, mianowicie na Wschodzie.

Jakże to wielką ludność mogłyby wyżywić owe pola nieuprawne gubernii kazańskiej, leżące jeszcze odłogiem! Zdaje się, że pozostaną one bez użytku aż do czasu, kiedy klasa rolnicza otrzyma wolność, a mogąc rozporządzać sobą, osiedli się w wyludnionych częściach kraju, przedstawiających wiele środków do łatwego utrzymania.

Nowa rasa zastąpi rodzinne plemiona tatarskie, które pod tyrańskim rządem niknąc w postępie rosnącym, widzą, że wyraz ojczyzna stał się dla nich równoznacznym z wyrazem spustoszenie, mogiła.

Trudno sobie wytłumaczyć to wyplenienie ludności na niwach, gdzie dosyć jest pracować, aby istnieć.

Zważywszy atoli okropne prześladowania, jakich Tatarzy doznają pod rządem moskiewskim, jako też napływ w przemagającej liczbie sąsiadów Moskali, z którymi żyć razem nie mogą, znajdziemy przyczynę wyludnienia narodu, nie posiadającego zresztą potęgi duchowej świętych męczenników, za pomocą której mógłby się oprzeć zaciętym nieprzyjaciołom.

— Zkąd pan żołnierz jedzie? — zapytał mię pewien mułła tatarski.

— Wracam z Syberyi — odpowiedziałem.

— O! o! o!... wolne żarty... czyż to kto powraca z Syberyi?... rzekł z uśmiechem niedowierzania.

Słowa te charakterystyczne nie potrzebują wykładu.

XX.

UCIECZKA KOSZTEM RZĄDU MOSKIEWSKIEGO.

XX.

I tak, ujrzałem ten sam Kazań, dawną stolicę tatarską, którędy przed sześciu laty jadąc na wygnanie, zwątpiłem o powrocie. Teraz inne myśli, inne czucia, bo nadzieja coraz wyraźniejszą się stawała!...

Zameldowałem się władzy jako słaby, potrzebujący wypoczynku, zanim udam się w dalszą podróż. Usłuchano mię i dozwolono zatrzymać się kilka dni w mieście, który to czas obróciłem na robienie znajomości, mianowicie z młodzieżą uniwersytecką.

W Kazaniu, podobnie jak w każdym grodzie, odległym od granic Polski, mieszkało wielu rodaków, którzy byli mi użytecznymi przez swoje wpływy.

Zebrawszy wszystkie świadectwa lekarskie, spisałem podanie do pułkownika garnizonu, i całą paczkę oddałem na ręce jednego z ziomków, oficera w służbie moskiewskiej, który będąc w przyjaznych stosunkach z pułkownikiem, obowiązał się mu ją wręczyć i wstawić się za mną o wyjednanie mi u gubernatora otwartego listu na podwody do przejazdu całej gubernii. Jakoż pułkownik przyzwał mię do kancelaryi, skreślił na załamku mego podania kilka słów przychylnych, i polecił zanieść adjutantowi gubernatorskiemu, dając przytem przestrogę, żebym jak najmniej wałęsał się po mieście, tak w moim własnym interesie, jak w celu nienarażenia go na odpowiedzialność.

Zaledwie rozstałem się z nim, napotkałem w ulicy pewnego poczciwca profesora, moją świeżą znajomość, któremu skoro oświadczyłem, dokąd i po co zdążam:

— Czekaj! — rzecze — adjutant, to dobry mały, a przytem

hulaka; poznam cię jutro z jednym z jego kolegów szkolnych, który cię do niego sam zaprowadzi. Będzie to skuteczniejsze, niźli wszystkie foliały...

Nazajutrz o oznaczonej porze udałem się, jak było umówione, z moim nowym dobrodziejem do sztabu. Powierzchowność adjutanta wskazywała, że należał do dobrego towarzystwa. Przewodnik mój odrekomendowawszy w mej osobie junkra wojsk cesarskiej mości, dodał:

Dajże mu co prędzej list na konie! Biedak tuła się... a wojna się skończy i ranga go minie, jeżeli zamiast ułatwiać mu przejazd, odsyłać go będziecie od Anasza do Kaifasza.

Adjutant przyjął nas bardzo grzecznie, zawołał pisarza, a przejrzawszy moje dokumenta, wszyć je do akt, a natomiast list żądany zredagować kazał, i zamiast odesłać go do pułkownika, oddał mi go w ręce.

List na parę koni, podwoda oficerska! bezpłatna! mająca wieść junkra z rozkazu carskiego do 5go korpusu. Oniemiałem z radości!...

Brała chętka nie powracać więcej do koszar, siadać i zmykać co tchu. Powróciłem jednak, list gubernatorski okazałem podoficerowi etapowemu i z całą skromnością udałem się w dalszą drogę.

Odtąd władze podrzędne, komendanci drobnych etapów byli dla mnie względniejsi, domyślając się, że muszę mieć wielkie za sobą plecy; na podoficerów zaś, jako i sołdatów konwojujących, mało odtąd zwracałem uwagi, lecz przeciwnie, używałem ostatnich na usługi dla siebie. Żadnych też świadectw lekarskich, ani kłaniań się u horodniczych i sołtysów o wyżebranie nieprawne podwody, więcej mi nie trzeba było.

Rola moja zupełnie się zmieniła. Postanowiłem mieć do czynienia tylko z gubernatorami, a postępować z nimi podobnie jak czyniłem z lekarzami.

Przybyłem do Symbirska, gdzie gubernatorem był Bibików. Umundurowawszy się należycie, wyszwarcowawszy, spiąwszy na haftki kołnierz pod brodę, pospieszyłem do Bibikowa, i życząc mu dobrego zdrowia wedle zwyczaju sołdackiego, poprosiłem o przemianę otwartego listu.

Oto rozmowa nasza:

— Ty z kogo pochodzisz? (Ty z kakich?) — zapytał na wstępie.

— Ze szlachty — odpowiedziałem.

— Czy z Rosyan?

— Z Polaków.

— Z zesłanych?

— Z ochotników.

— Gdzie ci wydano najpierwszy list na konie?

— Wydano mi go na miejscu, gdzie służyłem, w Orenburgu, a w Kazaniu przemieniono.

— To dobrze — rzecze Bibików — Graf Perowski wiedział, na jakiej zasadzie go wydawał; w Kazaniu go przemieniono „comme de raison“, to i ja przemienić go każę. Jedź z Bogiem i dosługuj się!

Przewidziałem, że taka będzie odpowiedź. Znając rozdzieloną administracyą cesarstwa moskiewskiego, byłem pewien, że fortel mi się uda. W każdym razie Bibików nie byłby był w możności przekonania mię, bez umyślnego na to śledztwa, że dane mu przezemnie objaśnienia były improwizowane.

Zaszedłem śmiało do sali posłuchalnej, i za kwadrans pożądany papier mi przyniesiono, wiernie przekopiowany z kazańskiego.

Polacy w Symbirsku, dowiedziawszy się, że tak prędko załatwiony zostałem, śmiali się, mówiąc, iż Bibików byłby mi dał i pieniędzy na drogę, gdybym ich był żądał, zważywszy, że brat jego za niesłychane ciśnienie Polaków świeżo wyleciał z gubernatorstwa kijowskiego.

Opatrzność przewodniczyła mi w tej pamiętnej podróży.

Podobnym jak powyżej sposobem przebyłem gubernie: Penzeńską, Tambowską, Woroneżską, i dostałem się do Kurska, gdzie widziałem jeńców francuzkich z wojny krymskiej.

Wszystkie me spostrzeżenia ówczesne wydają mi się obecnie gdyby jakieś zaćmione panorama. Byłem tak pogrążony w myślach, że tłumiły one różnorodne wrażenia, odbierane z ponazewnątrz.

W Kursku rozwinąłem mapę i przekonałem się, iż był to punkt najbliżej położony granic Polski, do którego bezkarnie, trzymając się rządowej marszruty, dojechać mogłem; ale że za

każdym krokiem ztamtąd ku Krymowi oddalać się od ojczyzny będę, co naturalnie trwożyło mię mocno; postanowiłem więc ostatecznie zejść z drogi legalnej moskiewskiej na tę, którą mi wskazało sumienie, i zamiast do Krymu obrócić się ku Polsce. Słowem, postanowiłem umrzeć lub zwyciężyć.

Zamknąwszy się samotnie na kwaterze, zastanawiałem się jeszcze długo nad mem położeniem, obrachowywałem wszystkie dane, a czego rozumem dosięgnąć nie mogłem, zostawiałem opiece boskiej. «Stało się!» ozwał się głos w mej duszy, a z nim pobiegłem do bióra gubernatora, przypilnowałem tam piszczyka, trudniącego się transportami; a gdy ten otrzymał rozkaz wydania mi otwartego listu, wymogłem, aby do treści zwykłego szematu: «gubernator wzywa władze gubernii kurskiej, etc.» raczył dodać: «a inne władze uprasza» (o dostarczanie podwód), dowodząc mu, że tym sposobem dojadę do miejsca, nie tracąc drogiego czasu na ustawicznem przemienianiu papierów.

Wsunięty piszczykowi bilet trzech-rublowy był argumentem silniej niż me usta do jego serca przemawiającym.

Udało się! Schwyciwszy dokument żądany, poskoczyłem do kancelaryi etapu, i powiedziałem tam najstarszemu pisarzowi, że pragnę być oddzielonym od partyi, z którą pełznąć jak żółw dotąd musiałem, gdyż otrzymawszy od rządu konie i woźnicę, dniem i nocą zdążać do piątego korpusu będę.

Fatygę pisarską w tym interesie obiecałem uwieńczyć rublem.

Galonkowy skłonił się nisko, przyznał, że mam słuszność, przyrzekł przedłożyć to adjutantowi i załatwić wszystko. Jakoż w rzeczy samej nazajutrz wyprawił oddział, pozostawiwszy mię, i wręczył mi etapowe papiery, dotyczące mnie samego, wraz z marszrutą. Błogosławiony pisarz!

Na odchodnem zapytałem go niby z niechcenia, czy nie wie, który korpus stoi na Litwie? Zajrzał w jakiś kalendarzyk i odpowiedział: Pierwszy piechotny korpus.

Trzeba tam jechać, pomyślałem.

Od owego łaskawcy za pieniądze udałem się wprost do najbliższej apteki i kazałem sobie podać za kilka kopiejek wody chlorowej (aqua chlorina).

— A to na co? — zagadnął farmaceuta.

— Ucząc się niegdyś malować, używałem tej wody do wywabiania kolorów z papieru; dziś do tego samego jej potrzebuję.

Nalano mi we flaszeczkę. Unosząc ją, mówiłem sobie:

— Wszak i atrament jest kolorem; gdyby też można wywabić tę przeklętą piątkę w liście, oznaczającą piąty korpus, a postawić jednostkę, oznaczającą pierwszy korpus, i ruszyć na Litwę...

Jak pomyślałem, tak też zrobiłem... Wprawdzie ręka mi drżała, gdy zabierałem się do operacyi; bo od zgrabności jednej cyfry zależały losy moje. Atoli wszystko poszło wyśmienicie. Jednostka na miejscu piątki tak zalotnie wyglądała, że aż się do niej uśmiechnąłem z radości.

Doczekawszy niecierpliwie wieczora, wyszukałem podwodę, wyprowadziłem ją na szeroki gościniec północno-zachodni, wsiadłem i zawołałem: «paszoł!» na izwoszczyka. Ten ruszył z kopyta, w sercu się mem rozjaśniło, i zdało mi się, że tak pięknie uciekam, iż gdyby dusza Mikołaja obaczyła mię z tamtego świata, powiesiłaby się z rozpaczy.

Jechałem noc całą, nad rankiem zadrzemałem na bryczce, potem posiliłem się trochę na poczcie, wziąłem wiktuałów i puściłem się dalej. Byle dalej! o to mi głównie chodziło.

Przejazd ten będąc w czasie wojennym, na stacyach napotykałem stada koni i mnóstwo oficerów, galopujących w różne strony. Unikałem wszelkich z nimi rozmów. Za przybyciem wyskakiwałem, wołając: konie! z rozkazu carskiego! co prędzej! Niejeden spojrzał na mnie z podełba; władze sielskie dostarczały podwód, czasami podano mi księgę sznurową do pokwitowania, rozpisywałem się więc i pędziłem dalej.

Izwoszczyki, zacinający konie, dostawali na wódkę; ci zaś, którzy się lenili, kijem po grzbiecie.

Niektóre sceny z tej podróży przypominają mi się dziś gdyby fantasmagoryczne widziadła. Zdarzało się, że przybywszy pośród deszczu i ciemnej nocy do nieznanej wioski, zamieszkałej pośród lasów przez sekciarzy, i nie zastawszy żywego ducha przed domem uprawy, kołatałem do drzwi w sposób, mogący obudzić nieboszczyka, zanim wysłano malca lub babę, aby mię wpuścić do izby. Wchodzę, słyszę chrapowaty głos zaspanego

mużyka, leżącego na deskach, uwieszonych pod sufitem. Ten mi burczy, że nie ma koni, że poszły w rozgonie na cztery wiatry. Grożę mu carem, knutem i Sybirem. Wyłazi nakoniec z barłogu, zapala łuczywo, wzdycha i stęka; a obejrzawszy na wszystkie strony mą kartę, wynajduje przecież jasno-kościste szkapiny, które zmuszony byłem sam poganiać, batożąc nielitościwie, aby nagrodzić czas stracony.

Zdążałem tak dni kilka, aż utrudzony zachorowałem w jednem miejscu. Zdawało się, że ślady do poszukiwania za sobą straciłem; postanowiłem więc odpocząć, wzmocnić zbolałe kości. Złożyłem wizytę głowie i popowi, odwiedzałem chaty wieśniacze, gdzie w każdem oknie błyszczał mosiężny samowar. Za ukazaniem się mojem nastawiano go, chata przybierała postać świąteczną, zapominało się na chwilę o wszystkich kłopotach; gościnne włościanki, zajęte przędziwem, gawędziły ze mną to o tem, to o owem; drobną dziatwę częstowałem suszonemi obwarzaneczkami, które tam zowią barankami, gdy tymczasem poważny samowar mruczał na stole, obiecując nam herbatę.

W Moskwie każdy, bogaty czy biedny, chłop czy szlachcic, ma pewien rodzaj szacunku, więcej niż szacunku dla swego domowego samowaru. To jedno uczucie jest tam wspólne pomiędzy warstwami społeczeństwa przeciwnemi sobie. Dziedzic sprzedałby za samowar wieśniaka; ten zaś oddałby wszystkich dziedziców za owo ulubione naczynie, rozweselające go w ubogiej szopie.

Rzecz pewna, że gdyby car zabronił ukazem samowary, nastąpiłaby rewolucya w całem państwie, i byłby to koniec samowładnej Moskwy. Jakże ograniczone być muszą przyjemności ludu, przywiązującego tak wielką cenę do prostego czajnika!

Mając zamiar opuścić wioskę, położyłem się wcześniej niż zwykle na spoczynek. Nazajutrz skoro wyszedłem z kwatery, postrzegłem w ulicy gromadę chłopców, których rozprowadzał starosta po chałupach. Był to transport kantonistów. Jeden z nich, z jasną twarzyczką blondynek, przybiegł do mnie mówiąc, że dowódzca jego obaczył mię przez okno i zaprasza do siebie.

— A kto ten dowódzca?

— Pan R... podpraporszczyk, Polak — rzecze, otwierając drzwi do jego kwatery.

Spotkanie to spóźniło mój wyjazd, bo rodak puścić mię od siebie nie chciał. Jak się zdawało, był on dosyć dobrego serca, ale wielki paliwoda, junak, przywykły do oszukiwania Moskali przez fałszywie pojęty patryotyzm, i chlubiący się z tego. Cokolwiekbądź, zapoznawszy się bliżej ze mną, wyświadczył mi koleżeńską przysługę; gdyż skoro pomiarkował, że odległa podróż wyczerpać musiała mą kieszeń, zawołał:

— Potrzeba ci pieniędzy? powiedz ziomku! — i nie czekając odpowiedzi, wsunął mi za mankiet, sposobem pożyczki, bilet 10 rublowy.

Była to nieoceniona pomoc właśnie w chwili, gdy z całego majątku pozostało mi kilka groszy, i do Polski było jeszcze daleko.

Pan R... kazał wyprawić suty obiad, na który zaprosił starszyznę wiejską. Kantoniści usługiwali, chór zaś złożony z niedorostków i dziewcząt miejscowych wyśpiewywał pod oknami moskiewską piosenkę: «Po ulicy mostowoj!...»

Zdziwiła mię zbytnia szczodrość rodaka, który podochociwszy sobie, rozrzucał srebrne grzywny pomiędzy śpiewaków; gdy mu zaś czyniłem małe uwagi pod tym względem, przerwał je, podając na usprawiedliwienie zdarzenie, z którem nie zdawał się bynajmniej taić:

— Gdy kapitał leży martwy — rzecze — można go uważać za skradziony, pieniądz toczyć się powinien. W Moskwie, aby istnieć jako tako, trzeba odzierać jednych, a nadzielać drugich. Kto nie smaruje, ten nie jedzie. Włościanie tutejsi zwrócą mi podwójnie me koszta, trzeba tylko umieć zajechać ich z mańki. W Moskwie wszystkie korzyści pieniężne są prawe, jakimby sposobem nabyte były, gdy się uda zaczerpnąć je bezkarnie. Ba! ale na to trzeba mieć głowę.

Tutaj mowca poklepał się po czole.

— Posłuchaj! — rzecze dalej. — Kilka tygodni, stanąłem z mym oddziałem w wiosce, gdzie w okolicy grasował pomór na bydło czworonożne. Czemuż nie na dwunożne? — pomyślałem sobie — i ot, przyszła mi idea... zrobienia pieniędzy! Pozostawiam tedy oddział, a sam pospieszam do miasteczka, zgła-

szam się tam do fizyka, i powiadam mu po prostu, że jeźli wyda mi zaświadczenie, iż pod tę porę okazała się w okolicy zaraza na ludzi, dostanie piętnaście rubli za tą sztukę. Fizyk, snać przezorny ptaszek, stary wyjadacz, zrozumiał, zkąd wiatr wieje, wiedział gdzie raki zimują. Oświadczył więc chęć wydania takowego, byle policya potwierdzić je chciała. Nuż ja w pędy do horodniczego! a wetknąwszy z kolei i temuż rubli piętnaście, akt żądany, wedle wszelkiej formalności sporządzony, stanął na mą uciechę. Wówczas rozsypałem kantonistów po sąsiednich wioskach; poczciwe kmiotki karmić bębnów darmo musieli, gdy tymczasem pieniążki skarbowe przeznaczone na podróż, okrągłe, potoczyły się do mego trzosika. Rozumie się, że wysłałem w tym razie sztafetę z raportem do ministra wojny i że wszystko się zrobiło należycie; a zaczem jasny pan raczył odesłać rozkaz ominięcia zarażonej Sodomy wraz z wydanym na ten cel drogoskazem, upłynął kawał czasu, z każdym zaś dniem trzosik mój nabierał lepszej tuszy... A teraz wnoszę zdrowie wygnańców sybirskich, kaukazkich i orenburgskich. Wiwat!

— Wiwat! — powtórzyli hałaśliwie biesiadnicy i śpiewacy za oknami, nie wiedząc o co rzecz idzie.

Pop tylko spuścił głowę i zamyślił się trochę.

Wyjątkowość mego położenia zmuszała mię wstać jak najprędzej od stołu, tem więcej, że czas był drogi.

Podpraporszczyk odprowadził mię za wieś, gdzieśmy spostrzegli z podziwieniem krzyż katolicki przy gościńcu, wykuty z kamienia, pokryty mchem i bluszczem odwiecznym.

Kto ten krzyż wystawił, kto był fundatorem wioski, trudno się było dowiedzieć. Pod figurą więc męki pańskiej pożegnałem się z rodakiem, radząc mu, aby nie bardzo okpiwał Moskali.

O kilkadziesiąt wiorst ztamtąd poznajomiłem się z pewnym naczelnikiem weteranów, którego nigdy nie zapomnę z powodu szczególnego wypadku, mającego miejsce na etapie, powierzonym jego pieczy.

Rzecz tak się miała:

Etap, będąc punktem środkowym kilku dróg, nie mógł częstokroć objąć licznych oddziałów aresztantów w sposób, aby zajmowały osobne komnaty. Zdarzyło się, że naczelnik zmuszony był z tego powodu (przytaczam słowa jego) pomieścić

dwa oddziały razem. Jabym mniemał, że ponieważ to stało się w zimie, uczynił on tó raczej przez oszczędność drzewa opałowego, co się dziać zwykło na zborniach.

Bądź co bądź, indywidua, zamknięte społem, prędko się pokamraciły.

Nieszczęście zbliża ludzi do siebie.

Znajdował się tam Warszawiak, skazany do Tyflisu, który korzystając z okoliczności, pomieniał się na nazwiska z Baszkirem, wkluczonym do partyi, maszerującej do Polski. Nazajutrz, gdy przybył pisarz z listą imienną, aby rozklasyfikować więźniów, łatwo został oszukany, i zamiast wyprawić Polaka w stronę wschodnią, wysłał go z powrotem na Zachód. Baszkir zaś puścił się drogą, przeznaczoną wyrokiem dla ziomka naszego i dostał się do Gruzyi.

Nieszczęście mieć chciało, że Polacy tam pokutujący, a zawiadamiani naprzód za pośrednictwem przedajnych piszczyków ze sztabów o nazwiskach nadchodzących do ich grona rodaków, wyszli na spotkanie ostatniego; lecz jakież musiało być ich rozczarowanie, gdy na pochopne powitanie go po polsku: «Jak się masz, bracie?» usłyszeli odpowiedź mongolską: Sellam allejkim.

Sprawa niezadługo się wykryła w obec rządu, Baszkira osadzono na odwachu, ziomka naszego poszukiwano, oficera zaś od weteranów oddano pod śledztwo, bez usunięcia go jednak z posady do czasu ukończenia procesu.

XXI.

BYWAJ MI ZDROWA OJCZYZNO KOCHANA!

XXI.

Pada piękny łan jęczmienia
Pod sierpami stu żniwiarzy,
Brzmią w około śmiechy, pienia,
Sam tu dziedzic gospodarzy.

Ujrzałem się nakoniec w granicach Polski. Udało się... O, bodaj każdemu w jego zamysłach tak szczęśliwie się powiodło!

Żałuję, że nie mogę tu rzucić kilka szkiców mych przygód we własnej oczyźnie, że zmuszony jestem uczynić przerwę w opowiadaniu. Jeszcze nie pora.... jeszcze kat trzyma miecz zakrwawiony nad głowami tych, których rzewnie witałem i żegnałem wyrazem wdzięczności.

Wyznaję atoli, iż mimo całej rozkoszy, pochodzącej z obaczenia ziomków w ich własnych zagrodach, myśl, że skruszyłem me pęta dla tego tylko, aby ujrzeć i opuścić niezwłocznie jednych, a westchnąć na mogiłach drugich, była nie do zniesienia.

Tak pielgrzym, co obszedł w życiu i morza i kraje, powraca do rodzinnej chaty, znajduje ją pustą, bracia i druhy od dawna wymarli, pod cudzą strzechą nie śmie głowy skłonić, porzuca więc sioło, śle do Stwórcy modły gorące, ociera łzę żalu, jeszcze raz tęskno spogląda za siołem, i składa pieśni z dawniejszych pamiątek!

Oto los wygnańców; — taki był i mój.

W Bobrójsku, przebrany w lichą cywilną odzież, zrobiwszy zawiniątko ze wszystkich rzeczy, które carskie były, uwiązałem do nich kamień i w studni zatopiłem. Niech się złe nie mnoży!

Na Litwie, gdy odmówiono mi dawać bezpłatne podwody

na rzecz skarbu, przez wymaganie których w dobrach szlacheckich o mało co nie wpadłem w połapkę, przedłużałem wędrówkę o własnych siłach, w żydowskich brykach z budami, jakoteż z przejeżdżającymi pocztylionami, obok których czułem się dosyć bezpiecznym: miałem minę gońca. Noclegi na wózku odbywałem.

Czyniłem to, dopóki nie dobrałem się do miasta, gdzie miałem nadzieję napotkać przyjacielskie twarze i znaleźć pewien punkt oparcia, którego tak mi trzeba było! Pragnąłem snu, pociechy, spoczynku!

Nadzieja mię omyliła. Moi dobrzy znajomi wyjechali o kilkanaście mil na wieś.

Przebycie ubocznych dróg, aby dostać się do nich, narażało na nieprzewidziane wypadki; pisać do nich lub zatrzymać się w mieście, bez opieki, również było niebezpiecznie. Ale że potrzeba jest matką wynalazków, powziąłem fortel udania się do nich o kiju, w charakterze służącego.

Kupiwszy za ostatnie pieniądze ziółek i parę słoików, puściłem się w podróż o głodzie, przebywałem nieznane mi lasy i pola, tłumacząc się tym, którzy mię pytali, co jestem za jeden, że nie jestem jeden, ale pospieszam z lekarstwami do mych państwa.

Dostawszy się nakoniec do dobrodziejów, odetchnąłem pełną piersią. Wywieziono mnie ztamtąd, jako towar zakazany, do poblizkiej mieściny, gdzie odgrywałem rolę świeżo przybyłego z Korony agronoma. Krótki czas mego tam pobytu spędziłem na polowaniach, i odwiedzałem tylko burmistrza, któremu mię przedstawiono dla usunięcia podejrzeń.

Pewnej nocy zastukano do mej okiennicy w oberży, bryczka stała przed bramą, a w niej walizka z sukniami, bielizną i różnemi drobiazgami. Były tam i ruble i paszport na cudze imię do Królestwa. Był i koszyk z pieczonemi kurczętami, szynką i świeżemi bułeczkami, w których zapachu można było poznać skrzętność gościnnej gosposi.

Bądź zdrowa Litwo!... Wołyniu! Podolu! Bądź zdrowa piękna Olimpio!!...

Brześć-Litewski obudził we mnie najprzykrzejsze wspomnienia. Ujrzałem tam stojący jeszcze ów szary ostróg, gdzie

w 1846 roku, w dziewiętnastej wiośnie mego istnienia, więziono mię. Zdawało mi się, że powracam starcem. W obliczach, jakie napotykałem w twierdzy, postrzegałem piętno urzędowe, wojskowo-policyjne. W kobietach nawet odgadywałem, że ta musi być pani komendantowa, ta podkapitanowa, owa felczerowa.

Minąwszy wały, fosy i most na Bugu, raźniej mi się zrobiło.

Byłem i w Warszawie. Zawsze taż sama, młoda, dzielna, pełna zdrowia, piękności i życia Warszawa. Cześć Tobie Polko!...

W Suchedniowie zatrzymałem się przed karczmą, gdzie się odbywały jakieś gody kuźniaków. Zmuszony tam krzyknąć na stangreta, że za długo się guzdrze z popasem, wyrwało mi się zaklęcie po moskiewsku. Któryś z kuźniaków usłyszawszy to, zawołał do towarzysza:

— A bijze tego psią krew Moskola w kusym kaftoniku!

Stanąłem w Kielcach. Wałęsałem się tam po ulicach, gdyby cień pokutnika, który dręczony tęsknotą, wyrwał się z piekieł, aby przybyć w odwiedziny do swoich.

Gdzieś za Chęcinami i Jędrzejowem wsiadłem na kolej żelazną. Nikt mnie już tam o paszport nie pytał. Pędziłem gdyby do wieczności; zdawało mi się, że zerwałem ze światem.

Lato było cudowne, cała przyroda oddychała szczęściem, naokoło wrzawa, wagon pełen ziomków, na ich czołach jaśniejący jaki taki pokój, na każdym przestanku brat spotykał oczekującego nań brata, córka ojca, mąż żonę; w mem tylko sercu była przedwczesna mogiła — wiózłem ją sobie pędem na nowe wygnanie, zwane emigracyą.

Do najdziwniejszych zrządzeń Opatrzności, należy bez wątpienia owo bajeczne prawie rozproszenie synów Polski w dwóch przeciwnych świata krańcach: na Sybirze i na Zachodzie. Wygnańcy i tułacze, sybirczycy i wychodźcy, jakże to odmienne dole jednego i tegoż samego nieszczęścia!

Katorżnicy, posieleńcy i sołdaci, stracili wolność i ojczyznę, stracili wszystko, prócz wątłej nadziei na starość, ckliwej nadziei w łasce nieprzyjaciela.

Wychodźcy uszli rąk mściwego cara i rozsypali się po obcych lądach — wolni na pozór, ale biedni i bezdomni, po-

zbawieni najdroższego prawa człowieka: oddychania powietrzem rodzinnem.

Pierwsi poszli pogrzebać całą głębokość uczuć, cały dobytek wiedzy, wśród dzikiej natury i dzikiego społeczeństwa, wśród kopalń zatęchłych i zaraźliwych koszar; drudzy dostali się na obczyznę bez sposobów do życia i bez znajomości cudzej mowy; przybyli do ogromnego ogniska oświaty narodów, po większej części prostaczkowie Chrystusowi, z jedną tylko myślą o własnym kraju; podlegali pokusom, na które wystawia chaos zdań socyalnych, rozbudzone namiętności nieszczęśliwem położeniem, a co najgorsza — nędza!...

Jeźli pierwsi narażeni byli pośród puszcz azyatyckich na moralną śmierć dla braku duchowego żywiołu, który to brak zabija człowieka, co raz poczuł potrzebę doskonalenia się, podobnie jak rdza stal niszcząca; jeżeli wystawieni byli na straszne cierpienia owego Prometeusza, co niedaleko od ich siedzib, gdzieś przykuty do kaukazkiej skały, konał na okropną szarpaninę wewnętrzną; — to też i drudzy, na emigracyi, wymierali zdala od swoich, trawieni tęsknotą.

Tu da się zastósować wiersz Syrokomli:

»Jak więźnie rozsadzeni, każdy w obcej celi,
Łzy nasze i krew naszą osobnośmy leli.«

Im bliżej byłem Prus, tem więcej i w mojej duszy rozwijała się tęsknota.

W pasie granicznym, w Dąbrowie, jeden z górników wziął dla się u wójta gminy tak zwany półpasek dla przebycia granicy i ofiarował mi go. Na mocy półpaska mógłem zostawać ośm dni w Prusach w obwodzie trzechmilowym. Odwieziono mię, o ile sobie przypominam, do Modrzejowa, gdzie ujrzawszy rogatkę przy moście, odesłałem konie, gotując się do ostatniej przeprawy.

Czyniłem to dosyć obojętnie. Znajdowałem się, porzucając kraj, w usposobieniu, gdzie nic mi nie było miłe.

Przy rogatce nadstrażnika nie zastałem; zastępca jego zlecił mi czekać. Postawszy minut kilkanaście, i widząc, że fury jakieś przejechały a nie zatrzymał ich, puściłem się podwójnym krokiem po moście, wcale się nie oglądając. Słyszałem tylko za sobą wołanie:

— Ale co Pan robi? Nadstrażnik się rozgniewa! czy pan z Prus?

— Tak! tak! — odrzekłem, gdy już byłem daleko i podniósłszy półpasek w górę, potrząsałem nim, gdyby chorągiewką.

I tak stanąłem w Szląsku Pruskim, w Mysłowicach. Z drugiej strony mostu rozwarty szlaban sterczał samotnie; w oknie zaś przyległego domku siedział blady Niemiec w szlafmycy, wielce zadumany.

Zaszedłem do Gasthausu, pełno tam było szwargotu, którego nie rozumiałem. Ależ napotykam fartuszkową Mädchen i każę sobie dać eine Stube.

Zaprowadziła mię pod strych, ukazała małą szopkę, ległem tam w pierzynach i niewygramoliłem się z nich aż nazajutrz.

Wypoczynek dodał mi trzeźwości. Poszedłem do Bahnhofu, kupiłem bilet do Wrocławia i wlazłem najspokojniej do wagonu, o niczem złem nie myśląc; gdy raptem się drzwiczki za mną zamykają, a potem zjawia się urzędnik i pyta wędrowców o papiery; przyszła kolej i na mnie, wydobywam mój półpasek. Niemiec nim niezadowolony, odzywa się z kiepska po polsku, aby mu okazać bilet. Przytykam mu go do nosa. Niemiec wyczytawszy, że bilet do Wrocławia, każe mi wysiadać natychmiast, gleich! gleich! mówiąc, że mię tam nie puści, bo nie mam prawa oddalać się więcej nad trzy mile.

Powstaje spór, ludzie się gromadzą, niektórzy z podróżnych podtrzymują mą stronę — z tem wszystkiem wysiąść musiałem, parowiec świsnął, wagony poleciały, Niemiec schował półpasek do kieszeni i oddalił się do bióra, zostawiając mię przy drodze.

Wolność ma trzymała się na jednym włosku.

Lękałem się nadewszystko skompromitować tego, który mi dał paszport.

Bywają chwile, że w niedoli po krótkiem wzruszeniu doznajemy spokoju i odwagi ludzi, przygotowanych na śmierć. Ha! jeźli cię ma spotkać nieszczęście, pomyślałem, idź przeciw niemu, a może zwyciężysz.

Nuż tedy w pędy za Niemcem!

Doganiam go i mówię, że chciałem na parę tylko godzin jechać do Wrocławia w celu obaczenia miasta; lecz kiedy tak się stało, powracam do Królestwa; — że zaś nieprawnie skonfisko-

wał mi jedyny dowód legitymacyjny, jaki przy sobie miałem, wszelki więc przypadek, który z tego powodu wydarzyłby mi się na drodze, spadnie na jego głowę.

Niemiec wyraźnie się temi słowy zafrasował. Wyjął papier i oddał mi go, rzekłszy:

— Ja nie chciala panoskiego psipadku, ja tylko nie puścic go nach Breslau.

— Bodajeś pękł! — pomruknąłem.

Ochłonąwszy nieco, udałem się w głąb miasta.

Ale co tu teraz począć? Jeżeli na dalszych stacyach miałyby mię spotykać podobne zawody, to mogę się uważać za zgubionego. Z tą cierpką myślą kołując po rynku Mysłowic, zaszedłem do sklepiku po cygaro. Uderzył mię tam dobroduszny wyraz twarzy kupca, Szlązaka.

Gdy zwierzyłem mu się z tego, co mię spotkało, uczynił uwagę, że nie godziło się siadać do wagonu w miejscu, gdzie się stykają trzy granice: pruska, polska i austryacka; że gdybym się był udał do pierwszej stacyi za Mysłowicami, toby mnie tam nikt o nic nie był zapytał.

Przestroga była zbawienna. Poczciwy Szlązak wyprowadził mnie za miasto.

— Widzi Mospan Polak tę drogę — rzecze — prosta jak strzelił, i do tego drzewkami wysadzana. Ona doprowadzi ich do Katowic, gdzie już Niemcy o nic pytać się nie będą. Niech przyjmą odemnie laskę na drogę. Gdyby zaś w Breslau potrzebowali oni czego, to niech się udadzą do studentów z Poznania. Szczęść Boże mospanu!

Bóg mi poszczęścił.

Przybyłem do Katowic.

Przechadzając się w oczekiwaniu na pociąg, który miał mię ztamtąd unieść w odległe świata krańce, potoczyłem wzrokiem na około siebie; a oczy i rozpierzchłe mrzonki moje spoczęły raz ostatni na czarownych niwach Polski. Za kilka minut miały one zniknąć dla mnie, może bezpowrotnie. Szum jodły i wierzby ojczystej miał mi zastąpić skrzyp masztów i brzęk łańcuchów na pokładzie okrętu amerykańskiego.

Patrzyłem na złociste łany nasze z uroczystą modlitwą w ustach.

I ukazały mi się, gdyby na jawie, trzy sztandary, jak Trójac w jednej osobie. Przy jednym z nich byli bracia rozsypani po za Wołgą i Uralem; pod drugim stała matka boleściwa, w orszaku krzyżowych rycerzy; trzeci jaśniał na Zachodzie, otoczony gronem starców.

Potem, nie wiem jak się to stało, wszystkie sztandary spłynęły ku sobie i zlały się w jeden, a osobistości zmięszały się w hufcach niezliczonego ludu.

Zaśpiewano: «Alleluja!»...

Potem znikło widzenie. Spojrzałem po nad siebie, obaczyłem wszechświat cały!...

Mowa J. Gordona

na pogrzebie śp. jenerała Stanisława Krzesimowskiego

dnia 5. Kwietnia 1865 r. w Dreznie.

Rodacy słuchacze!

Była gwiazda, która pięknie i jasno na niebie świeciła, dopóki przez ziemską mgłę zaćmioną nie została. Był człowiek, którego żywot doczesny jaśniał, a każdy miłujący prawdę zwracał nań spojrzenia. Dziś, niestety! widzimy tylko zwłoki Jego spoczywające w Bogu. Zgasł, znikł, przeminął, jak wszystko na świecie przemija. «Z prochuś powstał, w proch się obrócisz!» — ale to nie odnosi się do duszy... Duch jenerała Krzesimowskiego żył, żyje, żyć i odradzać się w potomności będzie, gdyż wielkie czyny zawsze znajdą swoich naśladowców.

Istnienie doczesne nieboszczyka nie było balem, nie było czczą marą; grób i zapomnienie nie były Jego celem; istnienie jego jest rzeczywistością nawet za mogiłą, a zarazem nauką, jak i pośród śmierci żyć potrzeba.

Celem Jego żywota był czyn, ale takiego rodzaju, że z każdym dniem parł Go do doskonałości.

Na obszernem polu walki świata, w namiocie życia, nie naśladował milczącej trzody, którą pastuch przed sobą pędzi, ale był bohaterem w boju!

Nie ufał przyszłości, dla niego przeszłość pogrzebała swoich umarłych; działał w teraźniejszości, z sercem w łonie i z Bogiem nad sobą!

Dzieje przodków Jego przypominały Mu tylko, że można istnieć z pożytkiem i wielkością, tudzież pozostawić ślady stóp swoich na kurzawie ubiegłych czasów. Tak też czynił, w słod-

kiej nadziei, że nie jeden z młodszych a zabłąkanych braci ujrzy te stopy pielgrzymie i pójdzie wytkniętą drogą.

Gotów zawsze na wszelkie przygody, mąż ten umiał pracować i wytrwać.

Porzucił on złote niwy swojej rodzinnej dziedziny w Sandomierskiem — zaparł się siebie samego dla dobra ogółu — smętno było na roli jego praojców — duchy ich szeptały mu o upłynionej wielkości kraju — posępny umarłych przybytek smutnem do niego przemawiał echem. Nadzieją rannych lat przyodziany młodzian ujrzał wątek zbawienia Ojczyzny w działaniach Napoleona I., a więc w r. 1809, po ukończeniu nauk uniwersyteckich, zaciągnął się pod sztandar wojenny. Wśród ryczącego spiża i bojów łoskotu, męztwem i prawością dosłużył się stopni i oznak sławy; następnie w r. 31, jako pułkownik na czele walecznego hufca, zasłaniał kraj rodzinny od wroga — później zniósł więzienne lochy w Bobrójsku — a później przeszedł ową tysiąc-milową ścieżkę, zroszoną łzami i krwią męczenników — ścieżkę wiodącą do lodowatej krainy podbiegunowej, na wygnanie syberyjskie...

Oto są czyny pojedynczego człowieka... ale nie dosyć na tem!

Z wygnania powrócił On starcem — starcem fizycznie, ale nie moralnie. Silne charaktery nie upadają pod ciosem niedoli i tęsknoty, lecz wychodzą z nich potężniejszemi niż były. Kajdany są namaszczeniem myśliciela, podobnie jak miłość jest chrztem oczyszczenia. Chrystus Pan wołający z krzyża: «Nie płaczcie nademną, ale nad sobą i nad dziećmi waszemi» wiekopomny dał tego przykład.

Ś. p. Stanisław Krzesimowski powróciwszy z ziemi ucisku na łono rodziny, został wybrany przez współziomków na sędziego pokoju (sędziego pojednawcę); piastował tę godność aż do chwili powstania narodowego, będąc wzorem cnót obywatelskich i domowych.

Ale przezacny starzec nie uważał za stósowne zasypiać na zasłużonych wawrzynach.

Na odgłos szczęku broni, ostatnie chwile skołatanego przeciwnościami żywota poniósł jeszcze na ołtarz Ojczyzny, jako jenerał, organizator dwóch województw: Sandomierskiego i Krakowskiego.

I za tyle poświęceń, o wielki Boże, za tyle ofiar, czekało Go nowe a straszliwe wygnanie, zwane Emigracyą! Na niem onegdajszego poranku życia dokonał, z pogodą atoli na czole, ze spokojem w duszy, zwiastującym czyste sumienie. Śmierć jego była chrześciańską, cichą, łagodną, słowem taką, o jakiej powiedziano jest: że Najwyższy nagradza nią sprawiedliwych.

Widzicie Obywatele, iż życiorys ś. p. jenerała Krzesimowskiego jest wyższy nad wszelkie pochwały. Chwalić zbyt poświęcenie, byłoby to ubliżać ważności zasługi.

Zaprawdę, Bracia moi! jeżeli z rzeczy ludzkich może sobie co rościć prawo do nieśmiertelności, to bez wątpienia mądrość, zasługa i cnota. Wszelkie inne zalety, bądź władzy, bądź bogactw, bądź urodzenia, przemijającą mają wartość. Lśnią one niekiedy pozornym swym blaskiem mniej uważne oczy, lecz zgon wraca je wkrótce nicości, z której napróżno wydobyć się usiłowały.

Któż zaprzeczy, że dostojnemu mężowi, którego oto dzieli od nas deska trumny, nie należy się palma zwycięzka i głębokie westchnienie rodaków?... Oby nazwisko zmarłego zachowane zostało w relikwiarzu najdroższych pamiątek — w sercu każdego Polaka!

Zaiste, naród co takich synów wydaje, zaginąć nie może, choćby wszystkie piekła sprzęgły się przeciw niemu!...

KONIEC.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

Gordon, Jakob
Sołdat czyli Sześć lat w Orenburgu i Uralsku
Wyd. 2., przejrz. i dop.


UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 14 05 06 08 010 9